

John Marsden

Jutro 4

Przyjaciele mroku

Darkness Be My Friend

tłumaczenie

Anna Gralak



*Dla Neila Elliota Meiersa,
ur. 10 stycznia 1984,
zm. 29 grudnia 1995,
który odszedł ku następnej przygodzie*

Podziękowania

Dziękuję Charlotte i Rickowi Lindsayom, Roosowi Marsdenowi, Felicity Bell, Paulowi Kennyemu, Jill Rawnsley, Julii Watson i uczniom Hale School za pomoc, której nigdy mi nie odmawiali.

1

Nie chciałam wracać.

Brzmi to całkiem zwyczajnie, prawda? Zupełnie jak: „Nie chcę iść do kina”, „Chyba odpuszczę sobie tę imprezę”, „Dzisiaj nie mam na to ochoty”.

Jak jedno z wielu zdań, które wypowiadamy.

W rzeczywistości na myśl o powrocie robiło mi się jednak tak niedobrze, że moje wnętrze zaczęły się rozpuszczać. Miałam wrażenie, że łaki będą się ze mnie wylewać tak długo, aż żołądek w końcu się zapadnie. Mogłam to sobie nawet wyobrazić: zebra dotykające kręgosłupa.

Moje wnętrze wcale jednak nie wyciekły. Po tym jak nam powiedzieli, czego chcą, co chwila biegałam do łazienki, ale na próżno. Siedziałam na sedesie, obejmowałam się ramionami i zastanawiałam, czy kiedykolwiek znów poczuję się dobrze.

To dlatego, że gra szła o życie. O moje życie. Myślałam, że będzie mnóstwo czasu, żeby to wszystko przemyśleć, by dokładnie się nad tym zastanowić, że czekają nas długie dyskusje. Że wszyscy będą wygłaszali własne opinie, usłyszymy mnóstwo rad i tak dalej, a potem się oddalę, by całymi tygodniami rozważać różne możliwości.

Stało się zupełnie inaczej. Udawali, że mamy wybór, ale wiecie, po prostu chcieli nam poprawić humor. Okej, może tak naprawdę żadne wybory nie wchodziły w grę, bo sprawa była zbyt ważna. Nic mnie to jednak nie obchodziło. Miałam ochotę krzyknąć: „Posłuchajcie mnie, do diabła! Mam gdzieś wasze wielkie plany, chcę się schować pod łóżkiem i zaczekać na koniec wojny. Dobrze? Nic więcej mnie nie interesuje. Koniec, kropka”.

Poza tym chciałam, żeby ktoś, ktokolwiek, przyznał, że proszą mnie o położenie na szali własnego życia. Że to, czego ode mnie oczekują, jest wielkie, olbrzymie, gigantyczne.

Jedno jest pewne: życie to niewielka strata;

Lecz młodzi mężczyźni myślą inaczej, a my byliśmy młodzi.

To z wiersza napisanego przez żołnierza z pierwszej wojny światowej. Dał mi go nauczyciel w Dunedin. Jasne, nie jestem młodym mężczyzną, tylko młodą kobietą, ale ja także nie chcę stracić życia. Znam się na niewielu sprawach, lecz akurat tego jestem pewna.

No więc potrzebowałam tygodni na zastanowienie, na skupienie, na czucie. Na oswojenie się z myślą o powrocie. Na przygotowanie się.

Potrzebowałam tygodni, a dostałam dni. Ściślej mówiąc, pięć dni. Pięć dni dzielących pytanie pułkownika Finleya od naszego przybycia na lotnisko.

Chyba przede wszystkim byłam zła. Czułam się oszukana. Obchodzili się z moim życiem, jakbym była plastikową zabawką. Bierzesz ją, przez chwilę się bawisz, a potem ciskasz w kąt. Masz przecież jeszcze wiele innych.

Pułkownik Finley zawsze przemawiał do nas tak, jakbyśmy byli żołnierzami pod jego dowództwem. Jakby nie widział różnicy między nami a swoimi podwładnymi. Oni jednak zaciągnęli się do wojska z własnej woli, by podejmować ryzyko, walczyć i strzelać do ludzi. My nie! Mieliśmy wrażenie, że jeszcze wczoraj potrzebowaliśmy pani z czerwonym lizakiem, która przeprowadzi nas na drugą stronę ulicy przed szkołą. Tak, wiem, tysiąc razy mówiono mi o tym, że w niektórych krajach dzieci idą do wojska w wieku jedenastu lat, ale wtedy nie zwracałam na to uwagi.

„My tak nie postępujemy! - miałam ochotę krzyczeć. - My jesteśmy inni!”

Tylko to się dla mnie liczyło.

Miałam wrażenie, że Fi jako jedyna rozumie moje emocje. W każdym razie do pewnego stopnia. Nie mogłam się pozbyć odczucia, że nawet ona patrzy na tę sprawę odrobinę inaczej niż ja. Muszę przyznać, że to mnie zaskoczyło. Nie chciałam wyjść na mięczaka w porównaniu z innymi. Chciałam być najsilniejsza. Fi też miała mocne strony, oczywiście byłam tego świadoma, ale lubiłam myśleć, że mam w sobie więcej z przywódcy niż ona. A jednak Fi zgodziła się w zasadzie natychmiast, podczas gdy ja siedziałam zszokowana, wahałam się i pragnęłam wyjechać na kilka lat, by dobrze to przemyśleć.

Szczerze mówiąc, byłam na nią zła, i to wydawało mi się najdziwniejsze.

Choć może wcale nie było aż takie dziwne. Przecież wściekałam się na wszystkich. Równie dobrze mogłam się złościć także na nią.

Zaczęło się po niespełna pięciomiesięcznym pobycie w Nowej Zelandii. Uciekliśmy z koszmaru, a przynajmniej tak nam się wydawało. Prawda jest taka, że z niektórych koszmarów nie da się uciec. Ten podążył za nami przez Morze Tasmana. Przetransportowali nas śmigłowcem z zaatakowanej przez wroga ojczyzny. Dotarliśmy do Nowej Zelandii poparzeni, ranni i oszołomieni, z połamanymi kośćmi oraz bliznami na ciele i w jego wnętrzu. Straciliśmy kontakt z rodzinami, widzieliśmy śmierć przyjaciół, świadomie uśmierciliśmy innych ludzi.

Chyba byliśmy typową gromadką ludzi ocalałych z wojny.

A potem wszystko zaczęło się od nowa.

Był koniec wiosny, zbliżało się lato. Sezon pożarów lasów. To istotny szczegół, bo cała sprawa rozpoczęła się trochę jak pożar. Wiecie, jak to jest. Najpierw słyhać ostrzeżenia w radiu, potem charakterystyczny szelest w oddali, coś jak szczekanie na wietrze, następnie widać biały dym - może to chmury, może nie, nikt nie ma pewności - aż w końcu czuć zapach, woń spalenizny, której nie sposób pomylić z niczym innym.

I nagle ogień jest już przy tobie. Nagle drzewa eksplodują sto metrów od domu, a wokół robi się tak gorąco, jakbyś usiadł przed otwartym piekarnikiem, słyhać huczące podmuchy wiatru i rozszalałe, przekłete płomienie tańczące wśród szaro-białego dymu.

Dla nas pierwszym sygnałem, pierwszym ostrzeżeniem, była krążąca wśród uchodźców plotka, że ktoś z nas zostanie znów wysłany na okupowane terytoria. Albo z nowozelandzkimi oddziałami, albo - jak twierdzili niektórzy - bez żadnego wsparcia. Albo po to, by wykonać konkretne zadanie, albo by stworzyć partyzantkę, która zajmie się działalnością podobną do tej prowadzonej przez nas w okolicach Wirrawee i w Zatoce Szewca.

Widocznie jestem głupia, bo nie przypuszczałam, że poproszą o to akurat nas. Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Pierwszy wpadł na to Lee.

- Założę się, że mają nas na swojej liście - powiedział.

Nie zwróciłam na to uwagi. O ile dobrze pamiętam, czytałam wtedy *Emme*:

Muszę starać się pisać szczerze, tak jak od początku, więc powinnam powiedzieć, że moje przekonanie o naszej nietykalności brało się z poczucia, że już i tak bardzo dużo zrobiliśmy. Boże, czy to nie wystarczy? Czy nie przeprowadziliśmy akcji, wielu akcji? Czy nie wysadziliśmy w powietrze statku, niszcząc Zatokę Szewca? Czy nie zabiliśmy generała w Wirrawee? Czy Lee nie został postrzelony w nogę? Czy nie straciliśmy pozostałej trójki (teraz nie jestem nawet w stanie wymówić ich imion)? Czy nie patrzyliśmy śmierci prosto w oczy, czując jej zimne palce zaciskające się na naszych karkach? Co jeszcze mamy zrobić, by ich zadowolić? Czy wszyscy musimy zginąć, zanim w końcu powiedzą: „No dobra, już wystarczy, do końca wojny damy wam spokój”?

Co jeszcze musieliśmy zrobić?

Myślenie o tym wszystkim strasznie mnie dołuje.

Wiem, że nie ma w tym żadnej logiki. Wiem, że gdy toczy się wojna, nie mogą po prostu powiedzieć: „Słuchajcie, przez jakiś czas poradzimy sobie bez was, odpocznijcie sobie z parę lat”.

Jednak gdzieś po drodze, już w dzieciństwie, nauczono nas, że życie jest sprawiedliwe, że wyjmujesz z niego to, co wcześniej włożysz, że jeśli wystarczająco mocno czegoś pragniesz, możesz to osiągnąć.

To bzdury. Teraz już o tym wiem.

Nagle, w chwili, w której najbardziej potrzebowałam tej sprawiedliwości, wszyscy przestali o niej wspominać. To słowo wypadło z naszego słownika. Nie odpowiadała mu żadna karta w Pictionary. W słowniku Macquarie nie było takiego hasła.

Muszę przyznać, że do tej chwili Nowozelandczycy traktowali nas dobrze. Oczywiście tym trudniej było odmówić pułkownikowi Finleyowi. Ale tak, byli dla nas dobrzy. Od samego początku zapewnili nam pomoc psychologów i tak dalej. Wszyscy z niej skorzystaliśmy, nawet Homer i Lee, którzy dawno, dawno temu nie poszliby do terapeuty, nawet gdyby ktoś chciał im za to zapłacić. Bardzo się zżyłam z Andrea, psychologką, którą mi przydzielili. Stała się dla mnie kimś w rodzaju drugiej mamy.

Poza tym naprawdę mieliśmy wakacje. Nie żartuję, żyliśmy jak bohaterowie. Dawali nam wszystko, o co poprosiliśmy. Przez kilka tygodni ja i Fi zrobiliśmy z tego swoistą grę i prosiliśmy o wszystko, co nam przyszło do głowy. Potem ta gra nagle mi się znudziła.

Byliśmy jednak na South Island, jeździliśmy na nartach w Remarkables, poleciałyśmy do Milford Sound, przejechałyśmy przez tunel, odwiedziłyśmy Górę Cooka, a potem zwiedziłyśmy wschodnie wybrzeże aż po Invercargill.

Andrea powiedziała, że to „zaprzeczenie”, że biegam tu i tam jak maniaczka, bo nie chcę spojrzeć na to, co nam się przytrafiło. Oczywiście nie nazwała mnie maniaczką. Byłoby to niezbyt taktowne ze strony terapeutki.

Najśmieszniej było wtedy, gdy mieliśmy popływać ślizgaczami wodnymi niedaleko Queenstown i wszyscy stchórzyliśmy. Mam na myśli prawdziwe tchórzostwo. Na początku żadne z nas nie zadało sobie trudu, by chociaż spytać, czym są te ślizgacze. Myśleliśmy, że to jakieś małe fajne rzeczne łajby. Kiedy dotarliśmy na miejsce, zaczęło do nas jednak docierać, że to wodne potwory, które z rykiem prują rzeką ze sto kilometrów na godzinę po wodzie głębokości jakichś pięciu centymetrów.

I gdy już zdaliśmy sobie z tego sprawę, żadne z nas nie chciało do nich wsiąść. Staliśmy na brzegu i dygotaliśmy jak żałosne stadko owiec czekające na kąpiel w płynie odkażającym, podczas gdy kobieta czekająca na pierwszym ślizgaczu mówiła: „No, dalej, załogo!” Ale my nie byliśmy w stanie się ruszyć.

Co za wstyd. Kobieta spojrzała na nas, jakby się zastanawiała, czy wszystko z nami w porządku, i w końcu pani kapral Ahauru, która miała nas wtedy pod opieką, wzięła ją na

stronę i długo z nią rozmawiała. Doskonale wiedziałam, co mówi - wiedziałam z dokładnością do każdego przecinka i każdej kropki. Mówiła: „To ci, o których mówili w wiadomościach, te nastolatki, które przypuściły atak w Zatoce Szewca, w Australii, a teraz, biedactwa, mają problemy emocjonalne, więc chyba ta przejażdżka wydaje im się trochę zbyt niebezpieczna, trochę ich przerasta”.

Pani kapral Ahauru to pielęgniarka - wspominałam już o tym?

Tak więc nie wsiedliśmy do ślizgaczy i tamta kobieta pewnie nadal uważa nas za tchórzy i oszustów. W tamtej chwili nawet pułkownik Finley nie wysłałby nas z powrotem na wojnę.

Gdzieś po drodze musiało nam się jednak odrobinę polepszyć. Nie jestem pewna, jak ani kiedy to nastąpiło, ale chyba po jakimś czasie zaliczyliśmy parę dobrych dni, a po nieco dłuższej chwili liczba dobrych dni prawie dorównała liczbie tych złych. Nie wiem, jak inni, ale ja nigdy nie miewałam więcej niż trzech dobrych dni pod rząd, a i to przydarzyło mi się tylko raz. Znaleźliśmy nowych przyjaciół i to też nam pomogło, choć przyznaję, że szalałam z zazdrości, kiedy pozostali zaczęli się zadawać z nowymi ludźmi. Ja miałam do tego prawo, ale oni nie. Homera, Lee, Kevina i Fi chciałam mieć na wyłączność.

Następnie ktoś wpadł na inteligentny pomysł, by posłać nas do szkół, w których mieliśmy prowadzić pogadanki pomagające w zbiorce pieniędzy na działania wojenne. Próbowaliśmy trzy razy, a potem jednogłośnie daliśmy sobie spokój. To była katastrofa - a w zasadzie trzy katastrofy. Nawet teraz się rumienię, kiedy o tym myślę. Byliśmy zbyt pewni siebie i na tym polegał nasz problem. Myśleliśmy, że to będzie bułka z masłem. Tkwiliśmy w takim stanie przez jakiś czas, a potem przeszliśmy od nadmiernej pewności siebie do całkowitego przerażenia, tak jak podczas przygody ze ślizgaczami wodnymi.

Pierwsze wystąpienie odbywało się w szkole podstawowej. Było piątkowe popołudnie i dzieciaki szalały, jeszcze zanim tam weszliśmy. Czekały na nas w sali gimnastycznej. Ktoś pomylił godzinę, więc spóźniliśmy się dwadzieścia minut. Już w bramie usłyszeliśmy wrzaski. Biorąc pod uwagę ich natężenie, uznaliśmy, że jest pora lunchu. Jasne, gdybyśmy wygłosili płomienne przemówienia, pewnie udałoby nam się z tego wybrnąć, ale naszym występom daleko było do doskonałości. Lee mówił tak cicho, że nikt go nie słyszał. Homer wypowiedział więcej „eee” niż słów, Fi mówiła zaledwie pół minuty i cały czas wyglądała tak, jakby miała się rozplakać, a Kevin próbował zażartować, co wypadło fatalnie, wzbudzając sarkastyczne odgłosy niezadowolenia - wymuszony śmiech i tak dalej - po których Kevinowi puściły nerwy i kazał dzieciakom się zamknąć. Okropna żenada.

Nie zamierzam mówić, jak wypadło moje wystąpienie.

Za drugim podejściem poszło nam trochę lepiej, bo przynajmniej byliśmy przygotowani, a poza tym trafiliśmy do szkoły średniej. Ale znowu mieliśmy zbyt dużą treść, by odpowiednio się zachować. Lee wypadł najlepiej, bo tym razem dali mu mikrofon. Homer wygłaszał zdania w stylu: „I wtedy... eee... poszliśmy do... eee... tego... no... silosu... Przynajmniej tak mi się wydaje... Mam rację, Ellie?... A może to było, zanim odzyskaliśmy Kevina?”.

Za trzecim razem Kevin odmówił współpracy, a Lee stracił dzbanek z wodą, wstając do mikrofonu. Fi wygłosiła wspaniałą mowę, ale reszta z nas nie zrobiła większych postępów.

Potem daliśmy sobie spokój.

W ostatniej szkole, w liceum Mt. Burns w Wellington, tuż przy Adelaide Road, poznałam Adama. Po wystąpieniu siedzieliśmy w świetlicy dwunastoklasistów (tam przedostatnią klasę nazywają *sixth form*) i wtedy on podał mi ptysia w czekoladzie i zaczął ze mną rozmawiać. Był idealny, a na jego szkolnym blezerze wisiało tyle odznak, że nie wiem, jak udawało mu się utrzymać w pionie. Chyba był lokalnym bohaterem. Pływanie, rugby, debaty - nic nie było mu obce. Wielu Nowozelandczyków chodzi do szkoły w szortach. Nawet uczniowie ostatniej klasy. Wygląda to trochę głupio, bo wydają się na to za starzy, ale dzięki temu masz okazję pogapić się na ich nogi. A Adam miał nogi pływaka. Później się dowiedziałam, że jest w stanie przepłynąć pięćdziesiąt metrów w sześćdziesiąt pięć sekund, nie poruszając rękami. Byłam pod wrażeniem.

Ale mnie zademonstrował ruchy swoich rąk. Jeszcze tego samego wieczoru zaprosił mnie na imprezę. Poszłam. To był poważny błąd. Minęło tyle czasu, odkąd chodziłam na imprezy, że zapomniałam, jak należy się na nich zachowywać. Przed wyjściem nie zaprzętałam sobie głowy jedzeniem, bo założyłam, że zjem coś na imprezie. I rzeczywiście, jedzenia było mnóstwo: paczki chipsów, miska żelków i sześć przejrzałych bananów. To był taki rodzaj imprezy. Potem, na domiar złego, wypłam trzy brandy z lemoniadą w ciągu pół godziny. Następny poważny błąd. Jeszcze przed jedenastą, po kilku kolejnych drinkach i co najmniej paru łykach z kufła Adama, było już po mnie. Upiłam się.

Wtedy Adam gwałtownie się zmienił. W jednej chwili gadaliśmy jak starzy kumple, a już w następnej wsunął mi język do ust i popychał korytarzem w stronę pokojów. Próbowałam powiedzieć: „Hej, co się stało z pięknym staromodnym romansowaniem? Gdzie się podziała choćby gra wstępna?”, ale trudno mówić z czymś językiem w ustach. Jasne, na początku też go całowałam, ale jakoś zupełnie mi to nie podchodziło, po prostu to robiłam, sama nie wiem dlaczego - chyba dlatego, że tego ode mnie oczekiwano, że on tego ode mnie oczekiwał. Działałam trochę jak automat. Nigdy w życiu nie byłam mniej podniecona.

Kiedy weszliśmy do sypialni, Adam padł na łóżko, ciągnąc mnie za sobą. Nie było to zbyt eleganckie. Kręciło mi się w głowie i czułam mdłości. Lizał mnie po uchu, a ja potrafiłam myśleć jedynie: „Boże, kiedy po raz ostatni czyściłam uszy?”, ale byłam zbyt skołowana i pijana, by go powstrzymać, by chociaż spróbować go powstrzymać. Po chwili zaczął rozpinąć mi rozporek. Nie twierdzę, że byłam zbyt pijana, by zaprotestować - nie o to chodzi, to byłby gwałt - nie, po prostu nic mnie to nie obchodziło. Och, przez chwilę próbowałam, próbowałam wciągnąć dzinsy z powrotem, ale w końcu pomyślałam: „A co tam, jakie to ma znaczenie, załatwmy sprawę, a potem będę mogła pójść do domu”.

Nie rozumiem, co faceci mają z takiego seksu. Moim zdaniem niewiele, ale najwidoczniej coś jednak mają, bo w przeciwnym razie by tego nie robili. Jediną dobrą rzeczą, jaką mogę o nim powiedzieć, jest to, że przynajmniej założył prezerwatywę. Po prostu bał się, że może coś ode mnie złapać. Jestem pewna, że nie miał na uwadze mojego bezpieczeństwa.

Jedynę, co mi z tego przyszło, to paskudne poczucie, że jestem odrażającym człowiekiem. Takie zachowanie było kompletnie sprzeczne ze wszystkimi moimi zasadami, ze wszystkim, w co wierzyłam. Następnego dnia czułam się okropnie. Przeraził mnie ból głowy, a żołądek zachowywał się tak, jakby nadal wykonywał powolne obroty. Gorsze jednak - znacznie gorsze - było poczucie, że jestem szmatą. Czułam do siebie obrzydzenie. Nie mogłam o tym pogadać z resztą, nie mogłam pogadać z nikim, ale około trzeciej wpadłam na wspólny pomysł, żeby zadzwonić do Andrei, mojej terapeutki.

Stała na wysokości zadania, jak zawsze. Wykrztuszenie z siebie tej historii zajęło mi mniej więcej godzinę, ale w końcu o wszystkim jej powiedziałam. Gdy doszłam do końca, zaczęłam płakać, a potem nie mogłam przestać. Czułam ogromny wstyd. Nie z powodu łez, lecz dlatego, że okazałam się taka łatwa. Ryczałam w musztardową poduszkę na największym fotelu Andrei i używałam jej chusteczek, jakby kosztowały pięć centów za opakowanie. A przecież nie kosztują - wszystko w Nowej Zelandii jest strasznie drogie. Za pięć centów dostałabym raczej jedną sztukę.

Andrea milczała w nieskończoność. To jedyna znana mi osoba, która pozwala rozmówcy zastanowić się nad tym, co chce powiedzieć. Nigdy nie ponagla. Po prostu siedzi, patrzy i czeka.

W końcu usiadłam prosto, czknęłam i wydmuchałam nos. Wyjaśniła mi, że nadal odreaguję śmierć Robyn, znieczulając się na różne sposoby, i że w zasadzie wszystko się do tego sprowadza. Była umówiona na następną sesję, więc po chwili wyszła. A ja naprawdę

poczułam się lepiej - to mnie zaskoczyło, ale taka jest prawda. Wcześniej nie dostrzegałam związku między śmiercią Robyn a swoim zachowaniem.

Byłam jednak zła na Adama. Pomyślałam, że jeśli kiedykolwiek go jeszcze zobaczę, poczuje w ustach coś więcej niż smak woskowiny.

Nie chciałam tu o tym pisać i pewnie bym nie napisała, tylko że ta przygoda stała się chyba jednym z powodów, dla których ostatecznie nie stawiałam większego oporu, kiedy przyszło nam wracać. Po prostu czułam się paskudnie, wiedząc, co zrobiłam, jak bardzo zawiodłam siebie samą i tak dalej.

Może myślałam, że wracając, będę mogła się zrehabilitować.

Rozpaczliwie pragnęłam odzyskać szacunek do samej siebie.

2

Już następnego dnia pożar zapłonął gwałtowniej. Najpierw zaczęły krążyć pogłoski o wykorzystaniu uchodźców w partyzantce, a potem całą naszą piątkę wezwano na badania.

Zapewniono nam kompleksowe leczenie, nie tylko ciała, ale i umysłu. Zadano nam ze trzy tysiące pytań, od „Co jadłeś na śniadanie?” po „Czy po wojnie nadal chcesz pracować na roli?”, od „Jak nazywa się twój ulubiony program w telewizji?” po „Co jest ważniejsze: uczciwość czy lojalność?”.

Zważono nas, zmierzono, poszczypano i wysondowano, obejrzano i pokłuto. Moje stłuczone kolano i zwichnięty kręgosłup. Wzrok, słuch, odruchy i ciśnienie krwi.

Podczas lunchu, żując sałatkę z serem i chuchając na seler naciowy, by ogrzać go po wyjęciu z lodówki, zapytałam Homera:

- Jak myślisz, po co to wszystko robią?

- Nie wiem - odpowiedział powoli. - Chyba ponownie oceniają nasz stan zdrowia. Sprawdzają, czy znów jesteśmy w dobrej formie. Może nasze wakacje niedługo się skończą.

Wtedy po raz pierwszy pomyślałam o tym trochę poważniej. Ale tylko przez chwilę. Prawie zapomniałam o tamtej plotce i o uwadze Lee, że mają nas na swojej liście.

- Nadal jesteśmy grupką ludzkich wraków - powiedziałam do Homera. - Miną wieki, zanim poproszą, żebyśmy coś dla nich zrobili.

Naprawdę w to wierzyłam. W głębi serca myślałam, że już nikt nie będzie od nas niczego oczekiwał.

Co było potem? Chyba kolejna rozmowa z pułkownikiem Finleyem. Dość niezwykła sprawa. Pułkownik bardzo ciężko pracował. W sobotę o siedemnastej zadzwonił jednak do Homera i zapytał, czy moglibyśmy się z nim spotkać.

Pułkownikowi Finleyowi się nie odmawia, więc zrezygnowaliśmy z imprezowego sobotniego wieczoru - inaczej mówiąc, wyłączyliśmy telewizor - i poszliśmy na spotkanie. A było to spotkanie, jakich mało. Przyszło na nie sześciu oficerów, dwóch z Australii i czterech z Nowej Zelandii. Nawet nam ich nie przedstawiono, co uznałam za dość nieuprzejme. Chyba wszyscy byli zbyt zajęci. Jeden z tych mężczyzn miał na sobie tyle złotych galonów, że mógłby je przetopić, sprzedać i przejść na emeryturę.

To zadziwiające, że wszyscy zmieściliśmy się w małej kancelarii pułkownika Finleya, pośród ładnych staromodnych zdjęć na ścianach i kłębow niebieskiego dymu z fajki. Może pomieszczenie było większe, niż nam się wydawało. Pewnie tak, bo wcześniej wydawało się maleńkie. Jakimś cudem każde z nas znalazło krzesło. Przysiadłam na brzegu obok Fi. Siedzieliśmy tam pół godziny pod gradem pytań o najróżniejsze sprawy. Oficerowie mieli mapy okręgu Wirrawee, Zatoki Szewca i Stratton, lecz potrzebowali mnóstwa innych informacji, łącznie z takimi szczegółami jak wysokość drzew przy Barker Street i stan drogi prowadzącej do Baloney Creek.

Pytania padały gęsto i szybko. Wszystko powinno było iść gładko, ale jakoś nie szło. Większość tych terenów znamy dość dobrze - w każdym razie tak nam się wydawało - ale nie zrobiliśmy na oficerach zbyt wielkiego wrażenia. Przy co drugim pytaniu nasza piątka podawała odmienne odpowiedzi. Ja i Homer nie zgodziliśmy się ani razu.

- Na rogu Maldon Street i West Street jest stacja benzynowa.

- Na rogu Maldon i West? Wcale nie!

- No więc co tam jest?

- Nie pamiętam, ale na pewno nie stacja benzynowa. A twoim zdaniem która sieć otworzyła tam stację?

- No wiesz, ta stara, Bob Burchett czy jak jej tam.

- Bob Burchett? Ta stacja jest na rogu Maldon i Honey i nazywa się Bill Burchett, a nie Bob.

- Kevin, powiedz, że mam rację. Ta stacja jest na rogu Maldon i West.

Przeważnie rozmowa toczyła się w takim stylu, a kiedy wróciliśmy do naszej kwatery, Homer przestał się do mnie odzywać.

W niedzielę po lunchu wpadł do nas jakiś facet i nikt nie był w stanie odgadnąć przyczyny tej wizyty. Nazywał się Iain Pearce, miał około dwudziestu pięciu lat, najwidoczniej coś wspólnego z wojskiem - poznaliśmy to po jego chodzie - ale był ubrany w dżinsy i szary T-shirt Nike. Usiadł i gawędził z nami jak nowy sąsiad, który wpadł na kawę. Miał jedną z tych szczyrych, nieskomplikowanych twarzy, spokojne oczy i bardzo proste czarne wąsy. Kevin od razu go polubił, więc przez chwilę rozmawiali tylko oni dwaj. A przeważnie mówił tylko ten Iain: o rugby, o samochodach i o komputerach. Nie było to zbyt interesujące, ale nie miałam siły się ruszyć, więc siedziałam i słuchałam jednym uchem, próbując powstrzymać się od ziewania. Fi była jeszcze mniej uprzejma: czytała magazyn „Contact”, biuletyn dla takich uchodźców jak my, którzy uciekli do Nowej Zelandii.

Kompletnie zignorowała rozmowę. Lee od czasu do czasu coś wtrącał, ale Homer nie. Homer nadal miał focha, więc kiedy się odzywał, przypominało to raczej mamrotanie i chrząknięcia.

Jednak stopniowo Iain roztaczał swój urok. Chyba przeszedł jakiś kurs PR albo coś w tym rodzaju, bo po rozmowie z Kevinem zaczął pracować nad resztą z nas. Obserwowanie tego procesu sprawiało mi pewną przyjemność. Najpierw zapytał Fi, jaką lubi muzykę, a ponieważ Fi kocha muzykę, nie potrafiła się temu oprzeć. Potem odkrył, że ja, Fi i Lee obejrzelśmy nowozelandzki film zatytułowany *The Crossing*, którego on sam wprawdzie nie widział, ale znał faceta od efektów specjalnych - chyba powinnam była się wtedy domyślić, na czym polega praca Iaina - więc pokrótce opowiedzieliśmy mu fabułę. I jakimś cudem po chwili przeszliśmy do tematu hodowli trzody chlewnej, a wtedy Homer, który zawsze miał fioła na punkcie świń, zaczął gadać jak najęty o tym, że chce mieć stado rasy poland chinas, o której ja nigdy nie słyszałam.

Godzinę później Iain poszedł, a my nadal nie mieliśmy pojęcia, po co w ogóle nas odwiedził.

Pożar już szalał, tylko że jeszcze o tym nie wiedzieliśmy.

Dowiedzieliśmy się jednak następnego dnia. Kurczę, to był szok. Poniedziałek. Czarny poniedziałek. Około trzeciej po południu poszliśmy z Fi pobiegać. Przebiegliśmy przez sosnowy las, a potem ruszyliśmy starą drogą prowadzącą na wzgórze, która zawsze mi się podobała. W zasadzie niczego tam nie było, żadna rewelacja, ale na tym miłym, okrągłym, gładkim wzgórzu trawa zawsze była mokra i zielona, a płoty dokładnie takie same jak część starych ogrodzeń w moim gospodarstwie: suche kamienne murki z pojedynczym drutem kolczastym na górze.

Cieężko wbiec na szczyt, ale łatwo zbiec na dół, tylko że Fi zawsze oszukuje, ścinając wszystkie zakręty. Ja utrudniam sobie zadanie, trzymając się drogi. Nawet kiedy Fi oszukuje, mogę ją prześcignąć, ale ona właściwie się nie stara. Biega ze mną głównie dla towarzystwa.

No dobra, będę uczciwa: biega ze mną dlatego, że ją zmuszam.

W każdym razie tamtego poniedziałku wróciliśmy około wpół do czwartej, a może za kwadrans czwarta, i oprócz Homera, Lee i Kevina zastałyśmy pułkownika Finleya. Wszyscy czterej stali w kręgu, jak żałobnicy na pogrzebie, i miny też mieli takie jak żałobnicy na pogrzebie.

Kiedy usłyszałam, z czym do nas przyszedł pułkownik Finley, zrozumiałam, że to naprawdę pogrzeb.

Nasz.

Podeszliśmy do nich jak gdyby nigdy nic. Pamiętam, że oparłam dłonie na biodrach. Było nam gorąco, miałyśmy czerwone twarze i dyszałyśmy, lecz szybko zapomniałam o braku tlenu, gwałtownie falującej piersi i spoconej koszulce. Zanim zdążyłam zapytać, co się dzieje, Homer mnie oświecił:

- Wracamy - powiedział.

Taki jest Homer. Gdybyście chcieli zrozumieć Homera - a czasami nie wiem, po co ktokolwiek miałby chcieć go zrozumieć - to słowo powie wam wszystko, co musicie wiedzieć. „Wracamy”. Nawet teraz, kiedy je piszę, czuję, jak marszczę brwi i zgrzytam zębami. Homer doskonale wiedział, jak bardzo mnie rozwścieczy takim hasłem, ale nie mógł się powstrzymać. Powiedział to, by udowodnić samemu sobie, że jest supergościem, że nikt nie będzie mu mówił, co ma robić. A tym „nikim”, którym tak bardzo się przejmował, byłam oczywiście ja. Rywalizowaliśmy ze sobą całe życie. Nawet teraz, w tym krytycznym momencie, nie zamierzał dać mi satysfakcji i pozwolić myśleć, że mam tu cokolwiek do powiedzenia.

Gra szła o nasze życie, a mimo to Homer chciał podejmować decyzje za nas wszystkich.

Od razu poczułam, jak krew wycieka mi przez stopy, wylewając się tak szybko, że o mało nie zemdlalam. Gotowałam się ze złości na Homera, wstrząśnięta tym, co powiedział, i ogarnięta najczystszy, paniczny, totalny przerażeniem. Przez chwilę czułam się tak, jakbyśmy miały przeciwko sobie czterech facetów. Zabawne, doskonale wiedziałam, co Homer miał na myśli, mówiąc: „Wracamy”. Nie musiałam pytać. Wiedziałam, że nie mówi o powrocie na basen, by jeszcze raz go przepłynąć, ani o powrocie do kina w Customhouse Quay.

W końcu jedyne, co byłam w stanie zrobić, to ominąć ich i wejść do domu. Pułkownik Finley próbował ze mną porozmawiać. Chyba był wściekły na Homera za to, że wypalił bez ostrzeżenia. Ja jednak nie chciałam go słuchać, po prostu szłam dalej. Zakładałam, że Fi idzie tuż za mną. Dopiero gdy dotarłam do łazienki, zdałam sobie sprawę, że jej nie ma. To jeszcze bardziej mnie rozjuszyło: obróciłam się na pięcie i ruszyłam z powrotem ku drzwiom. Nadal stali przed domem, zbici w małą gromadkę, lecz teraz Fi stała razem z nimi.

Zatrzymałam się gwałtownie i wypaliłam:

- O co tu chodzi, do cholery?

- Posłuchaj - zaczął pułkownik Finley bardzo cierpliwym tonem, którego prawie nigdy nie używał - chyba będzie najlepiej, jeśli wejdziemy do środka i porozmawiamy.

Po trzech kubkach kawy w końcu wyszedł, zostawiając nas sam na sam z naszą kłótnią. A co to była za kłótnia! Wymyślałam wszystkim, szalałam i krzyczałam. To było naprawdę głupie, bo w głębi serca wiedziałam, że musimy wrócić. Gdy teraz na to patrzę, uświadamiam sobie, że chyba nie krzyczałam na nich - krzyczałam na wszystko: na życie, na niesprawiedliwość losu. Przede wszystkim bałam się, że mogę zginąć, że to, co na moich oczach stało się z Robyn, może spotkać również mnie.

Były jednak dwa ważne argumenty przemawiające za powrotem. Dwa powody, które oznaczały, że nie mamy innego wyjścia. Jeden z nich liczył się dla pułkownika Finleya: sabotaż, który planował przeprowadzić w Wirrawee. Sabotaż, który z każdym dniem stawał się coraz ważniejszy, bo Zatoka Szewca znów była w użyciu, a Wirrawee coraz intensywniej wykorzystywano jako centrum okręgu. Nasze małe Wirrawee w końcu nabrało znaczenia. Mieliśmy podjąć próbę odebrania mu tej ważnej roli. A ponieważ nowozelandzkie siły powietrzne przegrywały z kretesem, bombardowanie stawało się zbyt niebezpieczne. Prawie w ogóle zrezygnowano już ze zrzucania bomb. Największe nadzieje wiązano z działalnością partyzancką. Jak chłodno stwierdził pułkownik Finley, była ona „najbardziej opłacalna”.

Drugim powodem było coś, co kłębiło się w naszych głowach, warcząc jak gokarty. Dla pułkownika Finleya nie miało to większego znaczenia, ale dla nas było wszystkim.

Nasze rodziny, rodziny i jeszcze raz rodziny. To właśnie ten argument tłumił wszystkie inne. Ciągnął nas z powrotem do domu. Wszystkich pięcioro. W pewnej chwili pułkownik Finley zasugerował, że nie musimy wracać wszyscy: dwie osoby mogłyby zostać. Nie wymienił nikogo konkretnego, a my nie zapytaliśmy, kogo miał na myśli. Jednogłośnie odrzuciliśmy wszelkie pomysły rozdzielenia naszej grupy. Za bardzo potrzebowaliśmy się nawzajem.

Przez kilka dni prawie nienawidziłam rodziców za to, że zostali uwięzieni na terenie wystawowym w Wirrawee.

Czy gdyby ich tam nie było, gdyby byli bezpieczni na przykład w Nowej Zelandii, zgodziłabym się wrócić?

Było to okropne pytanie i cieszę się, że nie musiałam na nie odpowiadać. Mimo to w głębi serca wiedziałam, jak brzmiałaby odpowiedź.

Czasami naprawdę istnieje tylko jedno wyjście.

No więc czy postanowiłabym wrócić?

Tak.

3

Zabawne - pisanie o tym wszystkim sprawia mi przyjemność. Sama nie wiem, prawdopodobnie ma na mnie dobroczynny wpływ albo coś w tym rodzaju. Pamiętam, że Andrea kiedyś o tym wspomniała, ale tak czy siak stopniowo polubiłam pisanie. No więc siedzę i odklepuję stronę za stroną. Czasami wymaga to wysiłku, a innym razem idzie jak z płatka. Mój dzienny rekord to prawie dziesięć stron.

Ale napisanie tamtego jednego słowa na końcu poprzedniego rozdziału - tylko jednego słowa - zajęło mi cały dzień.

Nieważne, nie zamierzam więcej się nad tym rozwodzić.

Nie chcieli nam zbyt dużo powiedzieć o tym, co mamy zrobić, ale po jakimś czasie zrozumiałam, że zaczniemy od wizyty w Piekło, w naszej pięknej naturalnej kryjówce, tak dobrze osłoniętej przed resztą świata. Musiałam zaznaczyć na mapie miejsca, gdzie moim zdaniem mógłby wylądować helikopter, więc domyśliłam się, że jednym z elementów wyprawy będzie lot śmigłowcem. Wiedzieliśmy, że przyjdzie nam poprowadzić nowozelandzkich żołnierzy - to było nasze najważniejsze zadanie. Ale nie znaleźliśmy żadnych szczegółów.

W przeddzień wyjazdu zaprowadzono mnie jednak do kancelarii pułkownika Finleya. Tym razem samą. Pułkownik szczegółowo opisał to, co muszę zrobić: oznajmił, że od chwili lądowania los szesnastu osób będzie spoczywał wyłącznie w moich rękach. Nie wolno mi było zdradzić pozostałym, dokąd się wybieramy. Mogłam to zrobić dopiero po wystartowaniu z Wellington.

Druga rzecz, o której powiedział pułkownik Finley, naprawdę mnie wkurzyła. Wręcz rozwścieczyła. Zaczął przemowę na temat tego, że po przybyciu na miejsce musimy być gotowi do wypełniania rozkazów, że będą nami dowodzić zawodowi żołnierze. Nie możemy działać pochopnie ani - jak to ujął - „zajmować się własnymi sprawami”. Przypomniał mi się major Harvey, więc od razu się zniechęciłam i jednocześnie uznałam to za obrazę mojej inteligencji. Zastanawiałam się, dlaczego pułkownik Finley nie daje tego wykładu pozostałym.

- Panie pułkowniku - powiedziałam. - Ja to wszystko wiem. Nie jesteśmy głupkami. Nie lecimy tam po to, żeby się zabawić.

Wydał się lekko zaskoczony. Jego podwładni raczej nie zwracają się do niego w taki sposób.

- Oczywiście, Ellie, nie chciałem sugerować, że...

Rozmowa nie trwała długo. Kiedy wyszłam, chyba odetchnął z ulgą.

A teraz niespodzianka: kogo zastaliśmy na lotnisku? Iaina Pearce'a! To znaczy kapitana Iaina Pearce'a, jak się szybko okazało. I jedenastu takich jak on. Niezupełnie takich samych - bo wśród nich znalazły się cztery kobiety. Wszystkich łączyło jednak pewne podobieństwo. Później, gdy niektórych poznałam lepiej, zobaczyłam, że oczywiście bardzo się od siebie różnią. Okej, jasne, wiem, że każdy człowiek jest inny, ale ta grupka naprawdę wyglądała podobnie, była podobnie ubrana i podobnie mówiła. Chyba wszyscy przeszli to samo szkolenie. Albo może zostali wybrani dlatego, że pasowali do cenionej w wojsku formy. Pod każdym względem byli tak idealni, że trochę mnie wkurzali. Każde ich słowo było właściwe, nigdy nie mówili tego, co im ślina na język przyniosła, nigdy nie mówili czegoś, co mogłoby nas urazić, przeklinali tylko wtedy, kiedy tracili łączność albo zacinali się przy goleniu. Nie mogłam się pozbyć wrażenia, że wszyscy chodzą do toalety o tej samej porze i wydalają dokładnie to samo - jeśli wiecie, co mam na myśli.

Staliśmy na asfalcie w bazie RNZAF i trzęśliśmy się. Dwunastu zawodowych sabotażystów i pięcioro przewodników amatorów. Dwunastu doskonale wyszkolonych żołnierzy, uzbrojonych we wszystko od broni automatycznej po plastry opatrunkowe, zaprogramowanych na działanie. Oraz pięcioro bladych dzieciaków z gaciami pełnymi strachu.

Boże, jak my się baliśmy. Nawet Homer czuł strach. To wszystko działo się zbyt szybko i na tym polegał problem. Ale nawet gdybyśmy dostali pół roku na zastanowienie, czas niczego by nie zmienił. W zasadzie mógłby jeszcze pogorszyć sytuację.

Kevin stał sam, niedaleko ogona samolotu. Przez całą noc rzucał się na łóżku - wiem, bo sama też nie mogłam spać. Nie spałam od czterech dni, ale ostatnia noc była najgorsza. Fi oparła się o mnie, patrząc na piękny, wolny ocean. Homer rozmawiał z dwoma żołnierzami. Próbował zgrywać twardziela, upodobnić się do nich, ale mnie nie zdołał zmylić. Lee siedział na swoim plecaku i patykiem dźgał asfalt.

Nagle Fi odwróciła się do mnie i ku mojemu zdziwieniu zapytała:

- Już się z tym pogodziłaś?

- Nie.

- Ale nie mamy wyboru.

- Wiem.

Przez cztery dni po naszej wielkiej kłótni unikaliśmy tego tematu. Chodziliśmy na paluszkach i rozmawialiśmy o takich sprawach jak liczba potrzebnych majtek albo najlepszy smak czekolady.

- Ja też nie chcę lecieć - powiedziała Fi.

- Jakoś nie bardzo się opierałaś.

Wzruszyła ramionami.

- Nie mamy na to wpływu. Uznałam, że skoro dla pułkownika Finleya to ważna sprawa, musimy to zrobić.

- Tak, jasne. Po prostu potrzebuję więcej czasu, żeby się z tym oswoić. Nie chodzi o to, że nie chcę wracać. Nie podoba mi się, że nie pozostawiono nam innego wyjścia. Mam na myśli Homera i to jego „wracamy”. Cały Homer. Szczerze, jest strasznie wkurzający.

- Jak myślisz, jak tam będzie?

- Nie wiem. Boję się, kiedy pomyślę, ile mogło się zmienić. Wszyscy mówią o Wirrawee jak o jakimś ważnym mieście. Nowy Jork, Tokio, Londyn i Wirrawee.

- Aż tak wielkie nie będzie. W zasadzie chodzi tylko o lotnisko.

Kilka gazet opisało budowę nowego dużego lotniska wojskowego w Wirrawee.

- Nic więcej nie wiemy. Możliwe, że dzieje się tam znacznie więcej. Prawdopodobnie w całej okolicy roi się od żołnierzy.

- Po prostu próbujesz napędzić sobie stracha.

- Mhmm. I to wcale nie jest zbyt trudne.

- Ellie, naprawdę tak bardzo się zmieniłaś czy po prostu przechodzisz chwilowy kryzys? - Na szczęście zadała to pytanie ze śmiechem.

- Jasne, że się zmieniłam. A jak myślisz? - Ja jednak się nie śmiałam.

- Zawsze byłaś taka odważna. Nie wolno ci się zmienić. Wtedy wszyscy byśmy się poddali.

- Nigdy nie byłam odważna, Fi. Po prostu robiłam różne rzeczy, bo nie miałam innego wyjścia. Tak jak teraz, kiedy przyszło nam wracać. To dokładnie to samo.

Iain Pearce, kapitan Iain Pearce, podszedł do nas. Cały czas maszerował. Założę się, że pod prysznic też wchodził krokiem marszowym.

- Znowu mamy opóźnienie. Przykro mi. Tak to jest, kiedy się zaufa siłom powietrznym. Jeśli macie ochotę na kawę, na końcu tego budynku z płyty wiórowej jest kantyna. Ale za czterdzieści pięć minut bądźcie tu z powrotem, dobrze?

Wszyscy z wyjątkiem Homera poszliśmy do kantyny. Nie maszerowaliśmy, wlekliśmy się noga za nogą. Kiedy usiedliśmy, ściskając kubki z kawą, żeby ogrzać sobie ręce, ja i Fi wróciłyśmy do naszej rozmowy.

- Boję się bardziej niż kiedyś - wyznałam. - Teraz boję się śmierci. To znaczy zawsze się jej bałam, ale teraz, kiedy tak dużo jej widziałam, jestem cholernie przerażona. A ty nie?

- Tak, jasne. Zabawne, ale w tej chwili jestem całkiem spokojna. Nie rozumiem dlaczego. Myślałam, że będą musieli mnie wsadzić w kaftan bezpieczeństwa. - Zajrzała do kubka, jakby spodziewała się znaleźć w nim odpowiedź. - To chyba po części przez żołnierzy - powiedziała w końcu. - Do wszystkiego podchodzą tak profesjonalnie. Po prostu mam wrażenie, że teraz będziemy tylko widzami. Możemy zostawić wszystkie ważne sprawy w ich rękach.

- Chyba tak. Ale tyle rzeczy może pójść źle...

- To nic nowego.

- Myślisz, że uda nam się zobaczyć rodziców?

- No wiesz, pułkownik Finley powiedział, że porozmawia o tym z Iainem. Według niego istnieją spore szanse.

- Oj, Fi, daj spokój! Uwierzyłaś w to? Powiedziałby wszystko, byleby tylko nakłonić nas do powrotu.

Fi tak bardzo posmutniała, że poczułam się winna.

- Naprawdę tak uważasz? Ale ja strasznie chcę ich zobaczyć.

- Myślisz, że ja nie chcę? Tylko to mnie obchodzi. Tylko tego chcę. Gdybym pomyślała, że mogę ich stamtąd wyciągnąć, przepłynęłabym Morze Tasmana. Mimo rekinów i tak dalej.

- Dlaczego w takim razie tak dziwnie zareagowałaś na plan powrotu?

- A skąd mam wiedzieć, do cholery? Słuchaj, nie chcę z tego robić żadnej wielkiej sceny mistycznej, ale po prostu gnębią mnie złe przeczucia, okej? Może to ma coś wspólnego z Robyn. W każdym razie tak uważa Andrea. Wiem tylko tyle, że jestem zła. Ostatnio wszystko mnie wkurza.

Odpowiedź Fi była zupełnie niespodziewana:

- Co zaszło na imprezie z tą gnidą Adamem?

- Skąd wiesz, że to gnida?

- Oj, Ellie! Gdzie się podział twój dobry gust?

Właśnie wtedy postanowili do nas podejść Lee i Kevin.

- Czas na nas - powiedział Kevin.

- Później ci powiem - szepnęłam do Fi.

Znowu wyszliśmy na asfalt. Zimny wiatr smagał nas i tarosił moją kurtkę.

- Ostatni kubek dobrej kawy, na jaki możemy liczyć w najbliższym czasie - powiedział Lee.

- Wiem. To okropne. Zero telewizji, wygodnych łóżek i ciepłych kąpieli. Nie mogę uwierzyć, że się na to zgodziliśmy.

- W pewnej chwili myślałem, że się nie zgodzisz.

Westchnęłam.

- Oj, nie zaczynaj. Przez ostatnią godzinę wałkowałam ten temat z Fi.

Przed chwilą Fi zaskoczyła mnie słowami o Adamie. Teraz przysłała pora na niespodziankę w wykonaniu Lee. Gdy szliśmy w stronę samolotu, objął mnie ramieniem. Byłam w szoku. Od bardzo dawna się nie dotykaliśmy. Wcześniej byliśmy tak blisko, jak to tylko możliwe, ale gdy to się skończyło, nie śmieliśmy się dotknąć, żeby druga strona nie zrozumiała tego opacznie. W każdym razie tak to wyglądało z mojej strony: dlatego nie dotykałam Lee. Nie jestem pewna, dlaczego on mnie nie dotykał.

- Wiesz, Ellie, nic nam się nie stanie - powiedział. - Dopóki będziemy się trzymali razem, nic nam nie grozi.

Wiatr był coraz zimniejszy i bardziej porywisty. Naprawdę nie wiem, czy to on szczypał mnie w oczy, wyciskając z nich łzy, czy może wypchnęło je coś innego. Ale bez względu na przyczynę, mrugałam tak długo, aż w końcu zniknęły. Postanowiłam, że żaden zawodowy żołnierz nie zobaczy, jak płaczę. Nie wspominając o Homerze.

Czekaliśmy na asfalcie przez kolejne dwie i pół godziny. Było zimno, nudno i nie wiedzieć czemu mimo obecności tych wszystkich ludzi czułam się okropnie samotna. Samoloty lądowały i startowały, ale nasz stał. Widzieliśmy, jak tkwi zaparkowany obok wieży kontrolnej, a trzech lub czterech mechaników pracuje przy silniku. Świadomość, że wystartowanie wymaga aż takich starań, była trochę denerwująca. W głębi serca miałam nadzieję, że cała wyprawa zostanie odwołana. Moglibyśmy wrócić do naszych kwater bez plamy na honorze: nie ponosilibyśmy odpowiedzialności za porażkę.

Iain wyznaczył ostateczny termin na dziesiątą wieczorem czasu nowozelandzkiego - o, przepraszam: na godzinę 22⁰⁰ - czyli na ósmą wieczorem w Australii. Potrzebowaliśmy tak dużego marginesu. I oczywiście, jak to zwykle u nas bywa, za pięć dziesiątą - o 21⁵⁵ - na małym skuterku podjechał do nas mechanik i oznajmił, że samolot jest gotowy.

Powinłam była wiedzieć, że nie ma co liczyć na cud.

Zapotrzebowanie na samoloty było oczywiście ogromne, bo wiele maszyn zestrzelono albo uziemiono pociskiem. Jeśli chcieliśmy dowodu świadczącego o wadze naszej misji, wystarczający był fakt, że dano nam jedną z maszyn. Nie był to jednak żaden wspaniały samolot, tylko mały odrzutowy saab, tak stary, że materiał na siedzeniach w wielu miejscach był poprzecierany. Przed wojną korzystali z niego cywile, lecz teraz został wypożyczony siłom powietrznym. Dach wisiał tak nisko, że niektórzy żołnierze spędzili podróż pochyleni.

Gdy już mieliśmy wejść na pokład, zjawił się pułkownik Finley. Nie było czasu na wielkie przemówienia, ale uściśnął nam dłonie i życzył szczęścia. Miły gest. Zawsze był dla nas bardzo dobry. To znaczy najbardziej skupiał się oczywiście na wojnie, a my interesowaliśmy go wyłącznie jako ktoś, kto może pomóc wojsku, lecz zapewnił nam dobre zakwaterowanie, zadbał, byśmy mieli odpowiednią opiekę, zorganizował pomoc psychologów i tak dalej, więc niczego nam nie brakowało. Nigdy nie wydawał się zbyt ciepłym człowiekiem, ale niewiele można było na to poradzić.

Do ostatniej chwili miałam nadzieję, że Andrea też przyjdzie nas pożegnać, mimo że zapowiedziała, iż w każdy piątek wieczorem prowadzi terapię grupową w szpitalu. Liczyłam jednak na to, że stanie się jakiś cud i Andrea zjawi się na lotnisku. Zamiast tego musieliśmy się zadowolić pułkownikiem Finleyem.

Zresztą potem nie mieliśmy już czasu. Minutę po zniknięciu pułkownika zamknięto drzwi i wzbiliśmy się w powietrze. Nie było żadnych stewardów ani stewardes: po prostu usiedliśmy, zapięliśmy pasy i w drogę.

Miałam wrażenie, że zbyt szybko suniemy nad Morzem Tasmana. Samolot trzymał się bardzo nisko, żeby nie namierzyły go radary, ale było tak ciemno, że nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy. Iain twierdził, że niski lot nas spowolni ze względu na większy opór powietrza, ale gdyby nam o tym nie wspomniał, nie zauważyłabym różnicy. Jak dla mnie, lecieliśmy szybko. Nie widzieliśmy pilotów, nawet po wylądowaniu, bo przez cały czas drzwi do kokpitu były zamknięte. Wcale mi to jednak nie przeszkadzało. Cieszyłam się, że są skupieni na pilotowaniu.

Wylądowaliśmy w bazie na wolnym terytorium, ale nie przekazano nam żadnych szczegółów. A zwłaszcza tego, gdzie dokładnie jesteśmy. Cała operacja wymagała zastosowania środków najwyższej ostrożności. Potem wszystko rozegrało się bardzo szybko. Nie było czasu na sentymenty związane z powrotem do ojczyzny.

Musieliśmy wyjąć bagaże z luku i pobiec do helikoptera, który już na nas czekał, gotowy do startu. A raczej rwał się do startu, bo miałam wrażenie, że zaczął się odrywać od ziemi, kiedy jeszcze dzieliło nas od niego sto metrów.

Helikopter był ogromny, z dwoma śmigłami, i - w przeciwieństwie do saaba - nowiuteńki. Pilot wyjaśnił, że podarowali go Amerykanie. Leciałam helikopterem po raz drugi w życiu. Za pierwszym razem byłam tak zrozpaczona, że niczego nie zauważałam, a tym razem czułam tak wielki strach, że też niewiele do mnie docierało, ale od razu uderzyło mnie, że tym razem w śmigłowcu jest znacznie ciszej. Mogliśmy swobodnie rozmawiać.

Pilot śmigłowca, Sam, był całkiem inny niż niewidzialni piloci saaba. Facet okazał się niesamowity. Gadał jak najęty. Ale spodobał mi się. Jego głupie żarciki trochę nas wszystkich rozluźniły. I po raz pierwszy, odkąd usłyszałam o powrocie, znowu poczułam się trochę jak bohaterka. Jakbym robiła coś odważnego, istotnego, coś wyjątkowego. Sam też był kimś w rodzaju bohatera, bo codziennie latał do stref działań wojennych i na terytoria okupowane, lecz zachowywał się tak, jakby obwoził turystów po jakimś tropikalnym kurorcie. Gdy tylko wylądował nasz samolot, światła lotniska znowu zgasły i nie zapalono ich dla śmigłowca.

- Kto ma latarkę? - zapytał Sam. - Gdyby ci kawalarze zapłacili rachunek za prąd, pewnie doczekalibyśmy się odrobiny światła. - Spojrzał na mnie i puścił oko. - Widzisz, kiedyś te helikoptery były na prąd, ale teraz to za dużo kosztuje.

- Na prąd? - powtórzyłam jak głupia. W środku nocy mój umysł nie pracuje na najwyższych obrotach.

- Tak, było całkiem nieźle, tyle że potrzebowaliśmy długich kabli. Jeden kumpel poleciał dwa centymetry za daleko, wtyczka wypadła i biedak runął na ziemię.

Na szczęście my poleciliśmy w górę, a nie w dół, a potem ruszyliśmy na północ. To był ostatni etap naszej wycieczki. Oczywiście nadal się denerwowałam, ale był to inny rodzaj zdenerwowania: zamiast czuć nudności i przygnębienie, byłam nakręcona, a nawet zaczynałam się cieszyć.

- Za chwilę opuszczę ekrany telewizorów - powiedział Sam. - Nie uderzcie się w głowę, kiedy będziecie chodzić po kabinie. Dziś w naszym podniebnym kinie leci *Chłopiec, który umiał latać*. W roli głównej nasz Xavier.

Skinął w stronę drugiego pilota, który tylko szeroko się uśmiechnął. Chyba był przyzwyczajony do żarcików Sama.

Jeśli piloci saaba nie rozmawiali z nami dlatego, że byli zajęci pilotowaniem, to nie mam pojęcia, jakim cudem ten helikopter w ogóle leciał. Pewnie dzięki Xavierowi.

Nie świecił księżyc, więc niczego nie było widać. Przez to lot był trochę upiorny: sunęliśmy przez czern, ufając całkowicie małym światełkom na tablicy przyrządów. Chyba przyszła pora, by Fi straciła zimną krew i zaczęła się denerwować jeszcze bardziej niż ja, bo

po starcie złapała mnie za rękę i trzymała ją przez cały lot. Nie wiem, może po prostu cieszyła się z powrotu do domu.

Bo ja trochę się cieszyłam.

Powoli ogarniało mnie poczucie, że znów jestem we właściwym miejscu i robię to, co należy. Jestem człowiekiem czynu, bez dwóch zdań. Nie służy mi beczynność, a nie licząc turystycznych wycieczek po Nowej Zelandii, ostatnimi czasy siedziałam, nic nie robiąc.

Bardzo często oglądałam telewizję, mimo że leciały w niej głównie powtórki takich seriali jak *Shortland Street*. Odkąd Nowa Zelandia przystąpiła do wojny, zrezygnowano z importowania produktów niezwiązanych z wojną, bo krajowy bilans handlowy został zrujnowany przez wydatki na działania wojenne. Dlatego z ramówek nagle zniknęły zagraniczne programy. W kinach też nie puszczano żadnych nowych filmów z importu. Niektórzy Nowozelandczycy uważali, że to zbyt wysoka cena za pomaganie Australii. Wystawiliby nas do wiatru w zamian za nowy sezon *Simpsonów*. Muszę przyznać, że trochę ich rozumiałam.

Gdy sunęliśmy przez noc, Sam raczył nas zmyślonymi opisami przyrody. Powiedzieliśmy mu, że wątpimy, byśmy lecieli tak nisko, jak mówił, więc postanowił nam dowieść, że jesteśmy w błędzie.

- Po prawej widzimy piękny eukaliptus. Tylko spójrzcie na te śliczne małe listki. A jeśli dobrze się przypatrzycie, na trzeciej gałęzce czwartego konaru po lewej zauważycie biedronkę.

Chwilami jednak poważniał, zwłaszcza gdy zwracał się do mnie, bo siedziałam najbliżej niego.

- Będziemy lądować w waszych rodzinnych stronach, prawda?

- Chyba tak. Niewiele nam mówią.

- Ucieszcie się, mogąc je znów zobaczyć.

Zapytał, ile mam lat, a kiedy mu powiedziałam, pokręcił głową.

- Wszyscy jesteście w tym samym wieku?

- Kevin jest trochę starszy... z sześć miesięcy.

- Mój Boże, jesteście młodzi jak na takie sprawy.

- Wcale się o to nie prosiliśmy. Po prostu nie powiedzieliśmy nie. Zresztą w wielu krajach dzieci idą do wojska w wieku dwunastu albo czternastu lat. W każdym razie wszyscy tak mówią.

- Pewnie mają rację. Jeśli o mnie chodzi, jesteście najodważniejszymi ludźmi, jakich kiedykolwiek wiozłem. Nie denerwujesz się?

- Czy się denerwuję? Gdyby w tym helikopterze była toaleta, pewnie bym w niej zamieszkała.

Sam znowu się ożywił:

- Nie widziałaś naszej toalety? Pójdź na sam koniec i podnieś klapę. Zobacysz piękną dziurę. Wiesz, że niektórzy nazywali toalety „długim zrzutem”? Nasz kibelek zapewnia rekordowo długi zrzut.

Kilka minut po trzeciej nad ranem Sam nagle zamilkł i wpatrzył się w ciemność.

- Powinniśmy być w strefie zrzutu - powiedział do Iaina. - Na mapie teren jest czysty. Będę schodził bardzo wolno i miejmy nadzieję, że znajdziemy dobre miejsce. I że na dole nie czeka na nas mózdzierz. Przygotujcie się - dodał, zwracając się do reszty z nas. - Jeśli będzie trzeba uciekać, zrobimy to cholernie szybko i będzie rzucano. Nie odpinajcie pasów, nie odzywajcie się i wsadźcie głowę między kolana, jeśli zobaczycie, że za chwilę uderzymy w coś, w co nie powinniśmy uderzyć. Na przykład w ziemię.

Patrząc na Sama, zdałam sobie sprawę, jak doskonałym jest pilotem. Koncentrował się jak skrzypek podczas występu, wyczulony na każdą nutę, na każdą subtelną zmianę głośności, każde najmniejsze wahanie. Naprawdę myślę, że gdyby listek drzewa musnął helikopter, Sam by to zauważył. Drugi pilot, Xavier, też ścisnął stery, śledząc każdy najmniejszy ruch Sama. Później, kiedy o tym pomyślałam, zdałam sobie sprawę, że prawdopodobnie robił to na wypadek, gdyby Samowi coś się stało - na przykład gdyby dostał kulkę - by przygotować się na przejęcie kontroli nad śmigłowcem w ułamku sekundy.

Okropna myśl.

Nikt poza nimi dwoma się nie ruszał. Wszyscy czuliśmy napięcie. Nie wiem, jak pozostali, ale ja nagle przestałam myśleć o tym, co mamy zrobić po wylądowaniu. Każdą komórką ciała skupiałam się na posadzeniu tej wielkiej warczącej maszyny na ziemi. Gdybyśmy mogli poświęcić temu zadaniu parę godzin, byłoby fajnie: Sam mógłby obniżać lot o dwa centymetry na minutę. Towarzyszył nam jednak ciągły strach przed kulami. Sam musiał znaleźć równowagę między obawą przed uderzeniem w drzewo lub zahaczeniem o linię energetyczną a strachem przed zestrzeleniem. Gdybyśmy lądowali w najdalszej części okręgu, kule i linie energetyczne raczej by nam nie zagrażały, ale nikt nie mógł mieć co do tego pewności. Cała nasza wiedza - i wiedza pułkownika Finleya - pochodziła sprzed wielu miesięcy. Pod nami mogły teraz być nowiusieńkie koszary. Być może lądowaliśmy na środku placu apelowego.

Potem rozległ się głuchy huk z prawej strony. Krzyknęłam, Fi wrzasnęła i nie byłymy w tym odosobnionym. Jednak Sam, gdy tylko poczuł wstrząs, posadził na ziemi także

lewą stronę. Śmigłowiec tkwił w miejscu, kołysząc się lekko na boki. Sam odwrócił się i całkiem spokojnie powiedział przez ramię:

- Wylądowaliśmy, ale stoimy na pochyłym terenie. Wychodźcie ostrożnie.

Nie było paniki. Pierwszy ruszył Iain, potem połowa żołnierzy, następnie nasza piątka i w końcu reszta. Kiedy mijałam Sama, puścił do mnie oko.

- Powodzenia - powiedział.

Próbowałam się do niego uśmiechnąć, ale nie byłam w stanie. Nie dlatego, że się bałam - po prostu miałam za dużo spraw na głowie. Nagle do mnie dotarło, jak wielką przyjmę na siebie odpowiedzialność, gdy już wysiądę z helikoptera.

Wyskoczyłam przez właz. Czyjeś ręce złapały mnie i pomogły zagłębić się w mroku. Ktoś mnie odwrócił w lewą stronę. Jakiś głos krzyknął mi do ucha:

- Przejdź pięćdziesiąt metrów. Uważaj na wyboje.

Potykając się, weszłam w hałaśliwą noc. Wszystkie zapachy zostały zdmuchnięte przez opary paliwa lotniczego. Szłam z wyciągniętymi rękami, aż złapał mnie ktoś inny. Zatrzymałam się i czekałam, pozwalając oczom przywyknąć do ciemności. Po chwili zdałam sobie sprawę, że tuż obok mnie panuje spore poruszenie i zrozumiałam, że pozostali podają sobie plecaki z helikoptera. Zakląłam, wkurzona tym, że zapomniałam im pomóc. Na znajomym terenie wracało mi poczucie niezależności. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, było traktowanie mnie jak bezradnego dziecka. Kiedy jednak spróbowałam dołączyć do szeregu osób podających sobie bagaże, tylko wprowadziłam zamieszanie i utrudniłam im pracę. Nagły warkot silnika helikoptera i podmuch wiatru uświadomiły mi, że Sam odlatuje. Znowu poczułam strach i osamotnienie, ale wszystko działo się zbyt szybko, bym mogła znaleźć czas na takie luksusy jak emocje.

Czyjaś ręka mocno poklepała mnie po ramieniu i w tym samym czasie druga dłoń wsunęła moją rękę w szelkę plecaka. Ta bezradność naprawdę zaczynała mi działać na nerwy, ale ataki złości też były luksusem, więc tylko zarzuciłam plecak na plecy.

- Tędy - szepnął ktoś.

Warkot helikoptera już ucichł i noc odzyskiwała swój normalny, uroczy charakter. Poczułam ulgę, mogąc znowu szeptać. Powoli zaczynałam też widzieć w ciemności, więc z łatwością ustawiłam się w szeregu za czymiś szerokimi plecami i ruszyłam w ślad za nimi. Wiedziałam, dlaczego to wszystko robimy: w saabie Iain wyjaśnił, że na początku musimy przede wszystkim oddalić się od miejsca zrzutu, na wypadek gdyby zbliżyli się jacyś żołnierze. Gdy już znajdziemy się w bezpiecznej odległości, zaczniemy się zastanawiać, gdzie jesteśmy.

Przez piętnaście minut szliśmy szybkim marszem. Ten nagły wysiłek po tak długim siedzeniu był szokiem dla mojego organizmu. Już po chwili dyszałam i sapałam. Na dodatek zaczęło mi cieknąć z nosa, co było bardzo uciążliwe, bo nie mogłam sięgnąć po chusteczkę. Nie miałam pojęcia, kto idzie za mną, a kto przede mną. Wiedziałam tylko, że z przodu maszeruje kobieta. Minęły wieki, zanim złapałam drugi oddech - w zasadzie nigdy nie byłam pewna, czy coś takiego jak drugi oddech w ogóle istnieje - ale po chwili wpadłam w pewną rutynę i zaczęłam się poruszać z większą łatwością.

Nagle bach! Uderzyłam nosem w żołnierza idącego z przodu. Zatrzymaliśmy się. Podeszłam trochę do przodu, czując się kimś ważnym. To był nasz umówiony znak. I rzeczywiście, Iain już się rozglądał, szukając mnie wzrokiem.

- Brawo, Ellie - szepnął. - Wiesz już, gdzie jesteśmy?

- Nie, będę musiała się rozejrzeć.

- Okej, rozejrzyj się. Kay pójdzie z tobą. Ja sprawdzę, czy z żołnierzami wszystko w porządku.

Wszyscy pozostali zebrali się wokół Iaina, a ja i Kay ruszyliśmy w ciemność. Wyteżałam wzrok, szukając charakterystycznych miejsc. Nie sposób było zgadnąć, gdzie jesteśmy. Jeśli Sam pomylił się w obliczeniach o centymetr, mogliśmy wylądować kilka kilometrów od celu. Teren nadal był nierówny. Przeważnie schodziliśmy w dół: to sugerowało wschodnie krańce regionu, sąsiadujące z podnóżem wzgórz. Było tam mnóstwo odchodów owiec, co prawdopodobnie oznaczało jedno z trzech dużych pastwisk położonych na skraju naszego gospodarstwa, choć nie można było mieć co do tego pewności, odkąd zamieszkali na nich nowi właściciele. Możliwe, że owce biegały wolno nawet po lesie.

- Widzisz coś? - mruknęła Kay.

Pokręciłam przecząco głową i ruszyliśmy dalej. Miałam nadzieję, że Kay, zawodowy żołnierz, będzie umiała doprowadzić mnie później do pozostałych. Im bardziej się od nich oddalałyśmy, tym mniej wierzyłam w to, że uda nam się wrócić.

Poczułam, że grunt robi się gąbczasty. Przyklęłam i nacisnęłam go palcami. Był zdecydowanie wilgotny. Poczułam ogromną ulgę. Nie chciałam zawieść tych ludzi. Nie chciałam wyjść na idiotkę. Do tego wszystkiego dochodziło jeszcze moje poczucie dumy. Mimo to musiałam się upewnić.

- Pójdziemy jeszcze sto metrów w tę stronę - powiedziałam do Kay - i wtedy powinniśmy dotrzeć do rogu pastwiska.

Teraz, gdy chcę sobie poprawić humor, poczuć się dobrze, często wracam myślami do tamtej chwili, w której poprowadziłam Kay prosto do zbiegu dwóch ogrodzeń w całkowitej

ciemności za piętnaście piąta rano, po tym jak helikopter wysadził nas pośrodku pustki. Staralam się nie robić z tego powodu zamieszania, jakbym od początku wiedziała, gdzie jesteśmy, i próbowałam ukryć zadowolenie z siebie, gdy Kay powiedziała:

- Mój Boże, naprawdę znasz ten teren jak własną kieszeń.

Pobiegłyśmy do pozostałych. Znalazłyśmy ich bez problemu.

- Jak poszło? - zapytał Iain.

Zawsze był taki opanowany. Nieważne, że znaleźliśmy się w samym środku strefy działań wojennych, tysiąc kilometrów od Nowej Zelandii, i że mogliśmy się zgubić. Zachowywał się tak, jakby pytał, jak mi poszło w biegu na sto metrów na szkolnych zawodach.

- Nie jesteśmy tam, gdzie zamierzaliśmy wylądować. Ale to całkiem dobre miejsce. Mniej więcej półtora kilometra od drogi. Żeby do niej dotrzeć, będziemy musieli przedrzeć się przez zarośla. Ale na pewno nie spotkamy tu żadnych żołnierzy. To najbliższa część gospodarstwa.

Byłam gotowa od razu poprowadzić ich w las, ale Iain wyciągnął swoją cieniutką latareczkę i poprosił, bym pokazała mu na mapie miejsce, w którym jesteśmy. Chyba chciał się upewnić, że wiem, o czym mówię. Na szczęście Kay przyszła mi z pomocą.

- Ona zna ten teren jak własną kieszeń, Iain - powiedziała. - Pochyliła się, dotknęła ziemi, a potem dokładnie wskazała mi miejsce, w którym po chwili znalazłyśmy ogrodzenie.

Zdałam sobie sprawę, że dla Kay, która była z Auckland, to musiało wyglądać jak czary. Prawdopodobnie nawet nie zauważyła gąbczastej ziemi pod naszymi stopami. Ja oczywiście znałam tu każde źdźbło trawy - to naturalne - więc gdy tylko poczułam wilgotne podłoże i zauważyłam, że jesteśmy na pochyłym terenie otoczonym wybojami i kamieniami, wiedziałam, że musimy być w rogu Nellie's, naszego największego pastwiska po wschodniej stronie.

Zachowałam to jednak dla siebie. Prawdziwi czarodzieje nigdy nie zdradzają swoich sekretów.

Iain jako wyjątkowo ostrożny facet zaznaczył nasze położenie na mapie, która jednak nie była wystarczająco szczegółowa. Gdy skończył, byliśmy gotowi do drogi. Zarzuciłam plecak na plecy i wreszcie pełna energii zajęłam jedyną pozycję, która naprawdę mi odpowiada: stanęłam na czele. Ruszyliśmy.

Już dziesięć minut później musieli mnie poprosić, żebym zwolniła. Z tego również byłam dumna. Tryskałam energią. Nastrój też zupełnie mi się zmienił. Fi, która maszerowała

za idącym za mną Iainem, była w szoku. Gdy stanęliśmy, by poczekać na pozostałych, powiedziała:

- Ellie, powinni ci zrobić badania na obecność narkotyków we krwi.

Wzruszyłam ramionami i roześmiałam się.

- Powrót do domu. To mój narkotyk.

Muszę jednak przyznać, że była to ciężka przeprawa przez zarośla. Pomimo całej mojej pewności siebie nie trafiłam w zagrodę - prawdopodobnie ominęłam ją o niespełna sto metrów, ale jednak ominęłam. Po wyjściu z lasu, zamiast ujrzeć zagrodę, napotkaliśmy ogrodzenie między Nellie's a Spaloną Chatą, sąsiednim pastwiskiem. To oznaczało, że poszliśmy za daleko, więc moja drobna pomyłka kosztowała nas jakieś dwadzieścia minut dodatkowego marszu. Nikomu o tym nie powiedziałam, bo i tak nikt się nie połapał, a po co psuć sobie opinię? Po prostu zazgrzytałam zębami, odbiłam w lewo i poprowadziłam ich ku ogrodzeniu.

Około wpół do szóstej dotarliśmy do drogi. Świt był zbyt blisko, byśmy mogli pozwolić sobie na przerwę. Gdy w słabym świetle zobaczyliśmy rudobrazową nawierzchnię, Iain mruknął tylko: „Mądra dziewczyna”, a potem szybko wyznaczył dwóch żołnierzy, żeby poszli na zwiady - na wypadek obecności wroga. Nie chciał mnie puścić razem z nimi, ale przekonałam go, że będę im potrzebna. Nikt nie znał tej drogi tak dobrze jak ja. Wiedziałam, w którym miejscu skręca, gdzie opada i gdzie mogliby obozować lub odpoczywać żołnierze z patrolu.

Zresztą szanse, że wróg pokaże się w tej okolicy, były jak jeden do tysiąca.

Nie chodziło o to, że w ciągu dwóch godzin pozbyłam się strachu. Po prostu byłam w stanie go stłumić. Nadal gdzieś we mnie tkwił. Ale w tamtej chwili nie było dla niego czasu ani miejsca.

Tak więc nasza trójka mozolnie parła naprzód. Wdrapywaliśmy się pod górę. Zapomniałam, jakie to męczące. Jaką ciężką harówką jest łażenie po górach z plecakiem, który ciążył mi tak, jakbym wpakowała do niego wszystkie podręczniki, jakie kiedykolwiek miałam, a do tego jeszcze kilka. Świadomość, że każdy krzak, każde drzewo może oznaczać śmierć. Chwilowe odprężenie, błędzenie myślami, marzenie na jawie, a potem nagle myśl: „O Boże, rozkojarzyłam się, ta chwila marzeń mogła mnie kosztować życie”.

Mozolny marsz godzina po godzinie, czasami dzień po dniu, tylko po to, by w końcu móc kogoś zabić albo dać się zabić.

No więc maszerowaliśmy i maszerowaliśmy, aż o dziewiątej rano stanęliśmy na Szwie Krawca.

4

Tyle się wydarzyło, odkąd po raz pierwszy staliśmy w tym miejscu jako grupa - wszyscy siedmioro: Homer, Fi, Robyn, Lee, Corrie, Kevin i ja. A później Chris. Wiedziałam, że dwie, a prawdopodobnie nawet trzy osoby z tej grupy już nigdy tu nie wrócą.

Ale reszta z nas powróciła.

I nagle ten powrót nabrał olbrzymiego znaczenia. Jasne, teraz ukrywaliśmy się w cieniu. Za pierwszym razem staliśmy swobodnie, odprężeni, roześmiani, wygłupialiśmy się i czuliśmy jak w domu. To była nasza ziemia. Nigdy nie mieliśmy co do tego wątpliwości. To było oczywiste.

Teraz nic nie było oczywiste. Zwłaszcza nasze przetrwanie.

Pięcioro z nas - ci, którzy zostali - pięcioro tych, którzy przetrwali, stało w gromadce, wykorzystując stary, pomarszczony eukaliptus jako osłonę. Na chwilę zapomnieliśmy o Nowozelandczykach i spojrzeliśmy na Piekło. Nikt się nie odezwał. Jedyne dźwięki dobiegały z lasu: szelest liści, zawodzenie kruków, dalekie wrzaski papugi. Nie wiem, o czym myśleli pozostali, ale ja myślałam, że to jest moje miejsce, mój sen. Sama stałam się eukaliptusem, skałą, papugą. Nie chciałam tu wracać, ale teraz, kiedy już tutaj byłam, marzyłam, by zostać na zawsze.

Po mojej prawej stronie odezwał się Iain:

- To naprawdę dzicz.

Ursula, która też była kapitanem i podlegała tylko Iainowi, powiedziała:

- Dużo wędrowałam po Nowej Zelandii, ale to najdziksze miejsce, jakie widziałam.

„Wędrowanie” wydawało mi się bardzo śmiesznym określeniem, ale używali go wszyscy Nowozelandczycy.

- I naprawdę jesteście w stanie sprowadzić nas na dół? - zapytał mnie Iain.

- Jasne - odpowiedział Homer. - To żaden problem.

Pytanie Iaina było skierowane do mnie, ale postanowiłam tego nie komentować. To nie była odpowiednia chwila na wszczęcie kolejnej kłótni z Homerem, Panem Zawsze Stojącym na Czele. Zamiast tego zwróciłam się do Iaina:

- Jeśli pójdziemy wzdłuż grani, w stronę Wombegonoo, znajdziemy drogę.

Czułam się tak, jakbyśmy zarabiali na utrzymanie. To dlatego nas tu przywieźli. Piekło było najlepszą kryjówką w promieniu stu kilometrów. I nikt oprócz nas o tym nie wiedział.

Znowu zarzuciliśmy plecaki na plecy i trzymając się z dala od grani, ukryci w zaroślach, ruszyliśmy ku sekretnej ścieżce, która prowadziła do Piekła. Maszerowanie tamtędy było okropnie trudne, bo boki Szwu Krawca są bardzo strome i co drugi krok powodował miniaturowe osuwisko. Nie mieliśmy jednak innego wyjścia. W świetle dnia na górze bylibyśmy widoczni jak na dłoni. Ten marsz był tylko jedną z wielu cen, jakie przyszło nam zapłacić za wpuszczenie najeźdźców do naszego kraju.

Gdy dotarliśmy do Wombegonoo, pokazaliśmy Iainowi drzewo. Problem polegał na tym, że między nami a drzewem nie było żadnej osłony. Między wierzchołkiem Wombegonoo a starym eukaliptusem rozciągała się gładka skała, naga jak asfaltowy plac zabaw. Myślę, że gdybyśmy byli w piątkę, podjęlibyśmy ryzyko. Byliśmy przyzwyczajeni do tego, by czuć się tu bezpiecznie. Iainowi nie spodobał się jednak ten pomysł. Postanowił zaczekać do zmroku.

Tak więc po wielkiej dawce napięcia, strachu i podniecenia nagle nie pozostało nic. Rozbiliśmy coś w rodzaju obozu po zachodniej stronie grani, a ponieważ zanosilo się na upalny dzień, rozciągnęliśmy kilka tropików wśród zarośli, gdzie nie było można ich dostrzec z samolotu. Iain postawił na warcie trzech żołnierzy, a pozostali - w tym ja, zwłaszcza ja - poszli spać.

Boże, spałam jak kamień. Nie mam pojęcia, z jakiego powodu spałam tak głęboko i tak długo. To znaczy jasne, prawie od tygodnia cierpiałam na bezsenność, ale myślałam, że teraz, po powrocie w samo serce strefy zagrożenia, dopadną mnie jeszcze większe problemy ze snem. Może odreagowywałam nocny stres. Tak czy siak, spałam ponad cztery godziny, co normalnie nigdy mi się nie zdarza. Nie za dnia.

Potem, kiedy się obudziłam, długo siedzieliśmy beczynnie. Zrobiło się dość nudno. Część żołnierzy, a wraz z nimi Kevin i Homer, grała w karty. Jeden czytał książkę pożyczoną od Fi - chyba sami nie mogli zabrać książek i tego typu rzeczy, bo mieli maszerować z jak najmniejszym obciążeniem - a dwóch innych rozmawiało o rugby, co - jak zauważyłam - Nowozelandczycy robią dość często. Tuż przed naszym wyjazdem rząd Nowej Zelandii ogłosił zawieszenie rozgrywek na czas wojny, bo wszyscy młodzi mężczyźni zostali powołani do wojska. Nawet podczas drugiej wojny światowej nie zrezygnowali z rugby. Dlatego wszyscy bardzo nad tym ubolewali.

Pod pewnymi względami przypominało to szkolny obóz. Można było prawie zapomnieć, że znajdowaliśmy się w środku strefy działań wojennych.

Dzień włókł się niemiłosiernie. Nie mogłam się doczekać, kiedy zejdziemy do Piekła. W pewnym sensie było teraz moim domem.

Dom w Piekle. Jak to o mnie świadczyło? Kto mieszka w Piekle? Znałam odpowiedź na to pytanie. Diabeł i umęczone dusze. Kim byłam ja? Przeważnie myślałam, że na to pytanie też umiem odpowiedzieć. Ale chwilami czułam się tak, jakbym sama zmieniła się w diabła. Rzeczy, które zrobiliśmy, przeszywały mnie dreszczem, i na myśl o nich czułam mdłości. Rozmawiałam o tym z Andream i trochę mi to pomogło. Trochę. Andrea ciągle powtarzała, że mówienie pomaga. To było coś w rodzaju jej motta. Nie wydaje mi się jednak, by nawet ona rozumiała, jak to jest. Skąd mogła wiedzieć? Nieważne, ile szkoleń przejdiesz - i tak nie zostaniesz nagle ekspertem w dziedzinie pomocy nastolatkom, które kogoś zabiły. Nie ma zbyt wielu przypadków, na których można by ćwiczyć.

Wszystkie te wydarzenia wiele zmieniły. Po pierwsze, zniszczyły mój związek z Lee. Czasami nadal spoglądałam na niego tęsknym wzrokiem, chciałam odzyskać to, co sprawiało nam tyle radości, chciałam znowu trzymać go w ramionach, czuć podniecenie, jego i swoje - bo jego podniecenie było jedną z tych rzeczy, które mnie podniecały - i tęskniłam za tamtym cudownym ciepłem wspólnej nagości. Z Adamem było zupełnie inaczej. Nic, tylko agresja, egoizm i alkohol. Nie czułam się kochana. To było raczej tak, jakby mnie nienawidził, jakby chciał mnie zaatakować. Już w dawnych czasach, w szkole w Wirrawee, zauważyłam, że wielu chłopaków, którzy bardzo się emocjonują swoimi dziewczynami i wspaniałym życiem erotycznym, zachowywało się tak, jakby ich wręcz nienawidzili. Jednocześnie. To było dziwne. W Adamie wyczułam te same emocje.

Lee nigdy taki nie był. To ja wolałam brać niż dawać. On zawsze był dla mnie hojny. Tak jak na lotnisku w Nowej Zelandii, kiedy szliśmy z powrotem do poczekalni po wypiciu kawy. W pewnym sensie te wszystkie okropne rzeczy, które nam się przydarzyły, uśmierciły mnie w środku - w każdym razie w tej części, która kiedyś umiała kochać. Nie byłam w stanie niczego do niego poczuć. Do nikogo niczego nie czułam, nie licząc Fi i moich rodziców. A, i jeszcze Andrei. Ale najbardziej tęskniłam za rodzicami. Chciałam znowu być małą dziewczynką, przytulić się do nich, wcisnąć się między mamę i tatę tak jak wtedy, gdy miałam trzy, cztery lata i wskakiwałam do ich łóżka, przytulnego, ciepłego i najbezpieczniejszego miejsca na ziemi.

Zamiast tego miałam teraz Piekło.

Po południu poszłam na spacer. Znowu musiałam przekonywać Iaina, by dał mi pozwolenie. Nie podobało mi się, że muszę prosić o zgodę na pospacerowanie po własnej ziemi. Za bardzo przypominało mi to życie z majorem Harveyem. Oczywiście z Iainem było zupełnie inaczej. Był wyluzowany, przyjazny i miło się z nim gadało. Mimo to musiałam go przekonać, że spacer nikomu nie zaszkodzi.

- Iain, nie ma szans, żebym natknęła się tu na wroga.

- No tak, zagrożenie jest minimalne, masz rację.

- I na pewno się nie zgubię. Znam ten teren jak własną kieszeń.

- Nowozelandzkie służby ratunkowe przez większość czasu ratują doświadczonych wędrowców.

- Będę ostrożna, obiecuję. Żadnych skoków na bungee, łażenia po jaskiniach ani spychania głazów. Zaufaj mi.

Gdy w końcu się zgodził i poszłam na spacer, przez pierwsze piętnaście minut ze wzburzeniem wspominałam naszą rozmowę. Wkurzało mnie to, że choć jestem czegoś pewna, muszę jeszcze przekonać kogoś innego. W domu rodzice zawsze polegali na mojej ocenie. To był jeden z największych wstrząsów, jakich doznałam po pójściu do szkoły, gdzie sprawy wyglądały trochę inaczej. Oczywiście wszystko zaczęło zależeć od nauczyciela. Na przykład jeśli w podstawówce ktoś się skaleczył, szedł do pokoju nauczycielskiego, pożyczał apteczkę i sam opatrywał ranę. Potem, gdy byłam w trzeciej klasie, zjawił się nowy dyrektor. Siedziałam przed pokojem nauczycielskim z apteczką i wygrzebywałam igłą drzazgę z palca. Nowy dyrektor podszedł, zapytał, co robię, a kiedy mu odpowiedziałam, wpadł w szal. Ochrzanił nie tylko mnie, ale i nauczycieli. Słyszałam, jak szaleje w pokoju nauczycielskim, krzycząc o konsekwencjach prawnych i tak dalej. Pomyślałam, że jest głupi. Potem, gdy ktoś wbił sobie drzazgę, musiał prosić nauczyciela, żeby ją wyjął.

W lesie nie sposób jednak długo się złościć. Przynajmniej ja tak uważam. Nie chodzi o to, że otoczenie jest błogie i sprzyja relaksowi, bo wcale tak nie jest. Za to wnika w moje ciało, w krew, i przejmuje nade mną kontrolę. Nie wiem, czy potrafiłabym to opisać w lepszy sposób. Las przejmuje nade mną kontrolę, staje się jego częścią, a on staje się częścią mnie, dzięki czemu przestaję być bardzo ważna, a przynajmniej nie jestem ważniejsza niż drzewo, kamień albo pająk zjeżdżający w dół na długiej pajęczej nici. Tamtego gorącego popołudnia, kiedy tak spacerowałam, nie zauważyłam niczego zachwycającego, pięknego ani oszałamiającego. W zasadzie nie przypominam sobie, bym napotkała coś niezwykłego: jedynie szarozielone skały, oliwkowe liście i rudawą glebę pełną mrówek. Poszarpane wstążki kory, chrzęszczące i suche pancerzyki cykad, gładką bruzdę pozostawioną w ziemi przez

pełzającego węża. Przeważnie niczego więcej tam nie ma. Żadnych lasów deszczowych z tropikalnymi motylami, żadnych palm ani kalifornijskich sekwoi, żadnych lampartów, iguan ani pand.

Po prostu las.

Iain nie chciał ruszyć w stronę Szwu Krawca, póki nie zapadł zupełny mrok. Oczywiście miał rację. Nawet w lekkim świetle ryzykowalibyśmy, że każdy, kto spojrzy w odpowiednią stronę, dostrzeże nasze sylwetki. Było to jednak dobijające: siedzieliśmy i czekaliśmy, co minutę myśleliśmy, że już jest okej, że zrobiło się wystarczająco ciemno, że możemy ruszać, a potem się reflektowaliśmy: nie, na niebie nadal widać szarą smugę, tuż obok gór, lepiej poczekajmy jeszcze kilka minut.

Potem nagle wstaliśmy, zarzuciliśmy plecaki na plecy, wypchaliśmy kieszenie i odgarnęliśmy włosy z oczu. Iain zawołał mnie i powiedział, żebym znów objęła prowadzenie, co sprawiło mi wielką przyjemność, choć Homer udawał, że niczego nie zauważył.

Gdy wszyscy byli gotowi, zaczęliśmy wspinaczkę po stromym stoku Wombegonoo ku mojemu schronieniu w Piekło.

Schodzenie do Piekła i wychodzenie z niego nigdy nie było łatwe ze względu na stromość i wąskość ścieżki. Poza tym w miejscach, gdzie wzdłuż ścieżki płynął strumyk, było bardzo ślisko, więc w zasadzie szliśmy trochę strumykiem, a trochę ścieżką. Taki marsz w zupełnej ciemności był naprawdę wkurzający. Ślizgaliśmy się, zsuwaliśmy, a kiedy już udało się odzyskać równowagę, dostawaliśmy w twarz gałęzią. Potem idący za mną Iain tracił grunt pod nogami i wpadał mi na plecy. To przypominało opiekowanie się młodszymi braćmi Kevina. Przez połowę czasu człowiek odnosił wrażenie, że bierze udział w jakichś zapasach. Nowozelandczycy spisywali się jednak bez zarzutu - pułkownik Finley powiedział nam, że zostali starannie dobrani pod kątem zapалу i odwagi, więc dobrze sobie radzili. Ciągłe żartowali i tak dalej.

Ja chyba też radziłam sobie nieźle, ale byłam dość zmęczona. Nie miałam zbyt dużo do powiedzenia.

Tuż przed dziesiątą (to znaczy przed 22⁰⁰) „wylądowaliśmy cali i zdrowi na końcu tej okropnej drogi w dół” - jak w poemacie Banjo Patersona.

Inaczej mówiąc, znowu znaleźliśmy się w domu, w czeluściach Piekła.

5

Nie wiem, co robili pozostali tamtej pierwszej nocy. Chyba wszyscy poszli spać. Ja i Fi tak zrobiliśmy. Rozbiłyśmy namiot - dość niedbale - wczołgałyśmy się do niego i już stamtąd nie wyszłyśmy.

Jedną z korzyści płynących z towarzystwa zawodowych żołnierzy było to, że nie musieliśmy stać na warcie. To wielki bonus. W przeszłości wyłaziliśmy z ciepłych śpiworów o przeróżnych porach dnia i nocy, w deszczu i w suszy, jęcząc, biadoląc, klnąc i złorzecząc. Jak dotąd nikt jednak nie wspomniał, że powinniśmy robić coś tak niewygodnego i mało przyjemnego. Tamtej pierwszej nocy rozmawiałyśmy o tym z Fi i chichotałyśmy. Zgodnie uznałyśmy, że zgłoszenie się na ochotnika byłoby niemądre: w końcu żołnierzom za to płacili. Poza tym byli tacy bojowi, tak bardzo rozpierała ich energia. Połowa z nich nigdy wcześniej nie była w służbie czynnej, a reszta miała niewielkie doświadczenie. Żal byłoby ich pozbawiać radochy.

- Jak myślisz, co Iain zamierza zrobić w Wirrawee? - szepnęła Fi.

Nie zaliśmy żadnych szczegółów misji. Pułkownik Finley wyjaśnił, że to dla naszego bezpieczeństwa: gdyby nas złapano, im mniej wiedzieliśmy, tym lepiej. Te trzy słowa: „gdyby nas złapano”, sprawiły, że przeszedł mnie dreszcz. Podczas sesji z Andream bez przerwy mówiłam o pobycie w więzieniu w Stratton i o tym, co się stało z Robyn. Mówienie o tym wszystkim pomagało, ale stopniowo nabrałam przekonania, że te okropne rzeczy na zawsze pozostaną częścią mnie. Wszystko, co mogłam zrobić, to znaleźć sposób, by jakoś sobie z nimi poradzić. Przynajmniej pułkownik Finley dał nam jakąś gwarancję, że wszystko będzie dobrze. Iain otrzymał wyraźne instrukcje. Mieliśmy służyć wyłącznie jako przewodnicy, nie wolno nam było zbliżać się do rejonu walk ani podejmować „działań wojennych” (pułkownik Finley pokazał mi pierwszą część pisemnych rozkazów Iaina) i mieliśmy odbyć tylko jedną wyprawę do Wirrawee, aby zapoznać Nowozelandczyków z terenem.

Wydawało się jednak oczywiste, że ich celem będzie lotnisko. Poza lotniskiem w Wirrawee nie było nic, co warto by zaatakować - w każdym razie o niczym takim nie wiedzieliśmy. Murrays Eats, czyli przyczepa, w której w sobotnie wieczory sprzedawano hot

dogi na parkingu przed supermarketem, nie nadawała się na cel misji, a na Turner Street zrobiliśmy taką rozwałkę, że jeszcze długo nic nie mogłoby tam powstać.

Wszystko przedyskutowaliśmy. Wiedzieliśmy jednak, że żaden scenariusz nie da nam szansy zbliżenia się do rodzin. Plany Nowozelandczyków na pewno nie obejmowały wizyty na terenie wystawowym, gdzie najprawdopodobniej nadal trzymano większość jeńców. Na liście zakupów naszych towarzyszy z pewnością nie było kwiatów i prezentów. Ostatnia informacja, jakiej udzielił nam pułkownik Finley dwa tygodnie wcześniej, zanim jeszcze dowiedzieliśmy się o tej wyprawie, brzmiała tak, że jeńców nadal przydzielano do grup roboczych i posyłano w coraz bezpieczniejszy teren, korzystając z udoskonaleń systemu zakładników.

Kiedy powoli zapadałam w sen, Fi powiedziała coś, co sprawiło, że poczułam się, jakby oblażyły mnie pająki. Usiadłam w śpiworze.

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałam, że kiedy Nowozelandczycy wyruszą z misją, moglibyśmy się stąd wymknąć i poszukać rodziców.

- Fi! Nie możemy! O Boże, uważasz, że powinniśmy to zrobić?

- No wiesz, tylko w ten sposób moglibyśmy ich zobaczyć. Iain na pewno nie pozwoli nam ich odszukać.

- Ale w Nowej Zelandii mówiłaś, że pułkownik Finley wszystko zorganizuje.

- Mmm, tak - przyznała Fi. - Ale zaczynam myśleć, że miałaś rację co do pułkownika Finleya.

- Fi! - Miałam ochotę się roześmiać, bo cynizm w wydaniu mojej przyjaciółki brzmiał zabawnie. Zazwyczaj była taka ufna. - Myślałam, że go lubisz.

- Och, nic do niego nie mam - zapewniła mnie. - Ale to prawda, że traktuje nas dobrze tylko wtedy, gdy jest mu to na rękę. Nic go nie obchodziliśmy, kiedy ukrywaliśmy się na tamtym złomowisku. Gdy tylko odkrył, że nie mamy żadnych informacji i nie zamierzamy wrócić do Zatoki Szewca, bardzo szybko przestał się nami interesować.

- Przecież musi wygrać wojnę - przekonywałam ją. - To jest najważniejsze.

Tak naprawdę stanęłam w obronie pułkownika Finleya tylko dlatego, że spór z Fi sprawiał mi przyjemność, a nie dlatego, że bardzo wierzyłam w to, co mówię.

- No tak, oczywiście. Nie oczekuję, że będzie nam przynosił śniadanie do łóżka ani że pożyczycy nam M-16. Po prostu uważam, że skoro chcemy zrobić coś, co nikomu nie wadzi, to chyba powinniśmy to zrobić i nie martwić się, co pomyśli pułkownik Finley.

- Lepiej prosić o wybaczenie, niż o pozwolenie - powiedziałam, przypominając sobie coś, co kiedyś słyszałam.

Fi dopiero po chwili zrozumiała, co miałam na myśli, i roześmiała się.

- Tak - powiedziała. - Właśnie. Boże, Ellie, powoli odzyskujesz swoje dawne Ja.

- To dlatego, że znów jesteśmy tutaj - odpowiedziałam. - Na swoim terenie. To wiele zmienia. Zapomniałam, co to znaczy.

- Tęskniłam za tym, kiedy byliśmy w Nowej Zelandii - wyznała Fi. - Brakowało mi nawet Piekła i tych ciągłych wspinaczek. Nawet tego, że rozwaliałam połowę swojej ulicy.

- Ja tęskniłam za wszystkim - powiedziałam. - Mamy tu więcej plujek niż w Nowej Zelandii. Tęskniłam za naszymi plujkami.

Nadal myślałam jednak o tym, co zaproponowała Fi.

- Naprawdę uważasz, że powinniśmy poszukać rodziców? A jeśli wejdziemy w drogę Nowozelandczykom? Nie możemy zrobić niczego, co pokrzyżuje im plany.

- Nie, jasne, że nie. Misja jest najważniejsza. Ale moglibyśmy na przykład ruszyć wzdłuż drogi z Wirrawee do Holloway i rozejrzeć się za jakąś grupą robotników. To w przeciwnym kierunku niż Wirrawee. Nawet jeśli nas złapią, nie domyślą się, że byliśmy razem z nowozelandzkimi żołnierzami.

- Tak. Kevin mówił, że wysyłają grupy robotników z dala od ich rodzimych stron, więc nasi najbliżsi będą raczej tam niż w Wirrawee.

- Nie licząc osób, które są przetrzymywane jako zakładnicy.

- Jak myślisz, kiedy Iain poprosi, żebyśmy ich zaprowadzili do Wirrawee?

- Już niedługo. Może nawet jutro wieczorem.

- Żartujesz. Tak szybko?

- Jasne. A czemu nie?

Pomyślałam, że to rzeczywiście brzmi sensownie. Po co czekać w Piekło i zużywać zapasy jedzenia? Z drugiej strony Nowozelandczycy przynieśli całe góry żywności, więc może jednak planowali dłuższy pobyt.

- Szkoda, że nie wtajemniczyli nas w swoje plany - westchnęłam z żalem. - Wiem, że muszą trzymać wszystko w tajemnicy, ale czasami czuję się tak, jakby wrócił major Harvey i znów traktował nas jak dzieci.

- Jednego jestem pewna - powiedziała Fi.

- Czego?

- Wiem, kogo chcą zabrać ze sobą do Wirrawee.

- Kogo? - zapytałam, czując, jak mój żołądek znowu przechodzi w stan ciekły.

Nie chciałam być tą osobą, bo nie chciałam zostać złapana, ranna ani zabita. Z drugiej strony chciałam, żeby wybrali mnie, bo gdyby wzięli kogoś innego, poczułabym się urażona.

- Jesteś pewna, że potrafisz znieść odpowiedź? - zapytała Fi.

- Tak, jasne! Po prostu powiedz!

- Ciebie i Lee.

Poczułam taki mętlik emocji, że nie wiedziałam, od czego zacząć.

- Ale... ale nie jestem pewna, czy chcę z nimi iść. I co z Homerem? Pochoruje się z rozpacz. A właściwie skąd o tym wiesz?

- Dziś po południu słyszałam rozmowę Iaina i Ursuli.

- Nie przypuszczałam, że będą chcieli mnie wziąć. Przecież to ja nie chciałam opuszczać Nowej Zelandii.

- Tak, właśnie o tym rozmawiali. Zastanawiali się, czy przypadkiem nie... No wiesz...

- Czy gdy zbliżymy się do wroga, nie zwinę się w kłębek i nie zacznę płakać.

- No wiesz, nie ujęli tego w ten sposób, ale chyba mniej więcej o to im chodziło.

- Więc dlaczego chcą mnie zabrać? - Oczywiście czekałam na komplementy.

- Podejrzewam, że ze względu na twoją reputację. Zrobiliśmy z ciebie żywą legendę, prawda? Poza tym wczoraj w nocy i dziś wieczorem dobrze się spisałaś. Myślę, że prosząc cię o sprowadzenie nas do Piekła, Iain poddał cię małej próbie.

Byłam wściekła.

- Próbie? Próbie? A kim są te matoly, żeby poddawać mnie próbom? Przeszliśmy więcej prób niż te wymoczki. Sprowadzić ludzi do Piekła, też mi coś, wielka próba. Jak mi poszło? Zdałam? Boziu, mam nadzieję, że tak. Iain i te jego cholerne próby. Co za tupet.

- No wiesz, Ellie - powiedziała Fi, która nigdy nie miała dla mnie taryfy ulgowej - musisz przyznać, że nie byłaś zbyt skora do współpracy, kiedy padła propozycja powrotu.

- Niczego nam nie proponowali, po prostu kazali - żaliłam się. - To pewna różnica.

- Raczej nie zamierzają ci kazać, żebyś ich poprowadziła do Wirrawee - powiedziała Fi. Ostrożnie dobierała słowa. Czyżby uważała mnie za aż tak nieobliczalną? - Ale chyba mają nadzieję, że to zrobisz.

- A Homer? Dlaczego nie poproszą jego?

Fi znowu zamilkła, szukając odpowiednich słów.

- Myślę, że w Nowej Zelandii uznali go za trochę nieodpowiedzialnego. Za bardzo imprezowego.

Dorośli często popełniali ten błąd, oceniając Homera. W szkole rzeczywiście był dość postrzelony, ale w zasadzie reagował tylko na sposób, w jaki go traktowali. Porównywanie

ludzi do zwierząt brzmi okropnie, ale stosunek nauczycieli do Homera przypominał mi coś, co mój tata powiedział na temat bydła: że im cichszy poganiacz, tym spokojniejsze owce. Wyznawał zasadę, że nie należy przeklinać owiec, bo wtedy poczują, że ich nie lubisz. Raz zwolnił nawet robotnika, który za bardzo im wygrażał. Oczywiście nie powiedział mu, że zwalnia go z tego powodu, ale to zrobił.

- Boże, Homer naprawdę się wścieknie.

To oznaczało dla mnie koniec spania. Akurat kiedy tak bardzo potrzebowałam snu. Godzinami przewracałam się z boku na bok. Przez parę minut było mi wygodnie, a potem uznawałam, że ziemia uwiera mnie w biodro albo że za bardzo uciska łopatkę, albo drętwiała mi ręka. Oczywiście długi poranny sen dodatkowo pogarszał sprawę. Prawdziwy problem polegał jednak na tym, że myślami wyruszałam już do Wirrawee. W wyobraźni chodziłam ciemnymi ulicami, drząc na widok każdego cienia, podskakując z panicznego strachu na najmniejszy dźwięk.

Dlatego zaczęłam się zastanawiać, czy nadaję się jeszcze do takich akcji.

Wstałam, gdy tylko zaczęło świtać. Prawdopodobnie chwilami przysypiałam, ale zupełnie tego nie czułam. Fi spała, więc cicho się ubrałam i wyslizgnęłam z małego namiotu, by odświeżyć znajomość z Piekłem.

Nic nie może się równać z wczesnym porankiem. Z tą słodyczą w powietrzu, ze słodkim chłodem, z szemraniem strumyka, które z jakiegoś dziwnego powodu zawsze wydaje się wtedy bardziej energiczne niż o późniejszej porze, z krakaniem srok. Na początku ruszyłam w stronę kurnika, choć wiedziałam, że nie zobaczę w nim żadnych żywych ptaków. Miałam rację. Nie będę wchodziła w makabryczne szczegóły, ale te małe żalosne miotełki z piór padły ofiarą wojny. Chyba zdechły z głodu. Przebudowaliśmy zagrodę w taki sposób, by płynął przez nią kawałek strumienia, więc wody miały pod dostatkiem, ale zjadły wszystko z wyjątkiem piasku i drutu.

Potem poszłam spojrzeć na inną ofiarę wojny.

Grób Chrisa w zasadzie wyglądał tak jak w dniu, kiedy opuściliśmy Piekło. Trochę zarósł chwastami. Wyrwałam jeden i już miałam wyrwać drugi, ale zastygłam w bezruchu. Na swój własny niezwykły sposób Chris lubił zielsko. I z pewnością lubił odróżniać się od innych. Uśmiechnęłam się i zostawiłam resztę chwastów w spokoju.

Odchodząc, jeszcze raz wróciłam pamięcią do tamtej okropnej wyprawy do Piekła, kiedy nieśliśmy ciało Chrisa. Szybko jednak potrząsnęłam głową, nie chcąc o tym myśleć. Przynajmniej miał przyjaciół, którzy go pochowali. Czasami zastanawiałam się, czy ja też będę miała tyle szczęścia.

Snułam się nad strumieniem. Pomyślałam, żeby zajrzeć do chatki pustelnika, ale nie spodobała mi się wizja przedzierania się przez mroczne zarośla. Zamiast tego zostałam w coraz jaśniejszym i coraz cieplejszym świetle słońca i znalazłam wygodny głąz. Skuliłam się na nim, przyciągając kolana do piersi, i przez chwilę obejmowałam się ramionami. Nie mogłam uwierzyć, że znowu tutaj jestem. Oglądanie bzdurnych programów w nowozelandzkiej telewizji, chodzenie na okropne imprezy z okropnym facetem, jedzenie zbyt wielu hamburgerów i chipsów - to wszystko nagle wydało mi się bardzo odległe. Zaczęłam się poważnie zastanawiać, czy w ogóle powinnam wracać do Nowej Zelandii razem z żołnierzami. Nowozelandczycy mieli radio - w zasadzie dwa - więc w odpowiedniej chwili mogli wezwać śmigłowiec. Może wtedy powinnam podziękować i zostać. Uśmiechnęłam się pod nosem, gdy pomyślałam, jak by na to zareagowali.

- Przecież w ogóle nie chciałaś wracać do Australii! - zawołałaby.

- No tak - powiedziałałabym. - Czasami warto zmienić zdanie. To znaczy, że człowiek myśli. Przeszanę zmieniać zdanie dopiero po śmierci. A może nawet i wtedy nie.

Za plecami usłyszałam chrzęst żwiru pod czyjąś stopą i odwróciwszy się, zobaczyłam Ursulę. Lubiłam ją. Miała dość długie rudawe włosy, zarumienione policzki i ładne szerokie usta, które często się uśmiechały. Zanim wstąpiła do wojska, była instruktorką aerobiku i Iain powiedział, że reprezentowała Nową Zelandię w biegu przez płotki podczas Igrzysk Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Służyła w armii dopiero pół roku i moim zdaniem awansowała do stopnia kapitana w naprawdę błyskawicznym tempie.

- Cześć - powiedziała. - Jak ci się spało?

- Okropnie. Wstałam przed świtem. A ty?

- W porządku. Spałam jak niemowlę.

- Nie wiem, dlaczego tak się mówi. Większość niemowląt sypia fatalnie, prawda?

Roześmiała się.

- Podobno tak. Trzymam się od niemowląt najdalej, jak się da.

- Ja też nie mogę powiedzieć, że bym miała z nimi duże doświadczenie.

Usiadła na sąsiednim głązie, parę metrów na lewo ode mnie, i wrzuciła do strumienia suchy liść.

- Ładnie tu - powiedziała po chwili.

- Wiem. Teraz się cieszę, że wróciłam.

- To miejsce jest tak dobrze ukryte. Patrząc na nie z góry, nie wierzyłam, że uda nam się do niego dostać. Jego znalezienie wymagało nie lada sprytu.

- To był zupełny przypadek.

- Wiem, Fiona mi powiedziała.

- Kiedy musicie, no wiesz, rozpocząć akcję?

- Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. Chcielibyśmy wyruszyć do Wirrawee dziś wieczorem. I jeśli czujesz się na siłach, chcielibyśmy, żebyś została jednym z naszych przewodników.

Próbowałam zachowywać się tak, jakbym nigdy wcześniej o tym nie słyszała.

- Kogo jeszcze chcecie zabrać?

- Nie mów o tym nikomu, dopóki nie porozmawiamy z resztą, ale uważamy, że warto by wybrać Lee.

- Tak, dobra myśl... - Byłam rozdarta między dwoma przyjaciółmi. - Ale moim zdaniem powinniście wziąć także Homera.

- Uznaliśmy, że powierzmy mu opiekę nad obozem w Piekło.

Aaa, pomyślałam, jak miło. To bardzo sprytne, ale nie wydaje mi się, by Homer poczuł się usatysfakcjonowany. Myślę, że od razu ich przejrzy.

I właśnie tak się stało. Jakies dziesięć minut później, gdy wróciliśmy z Ursulą znad strumienia, pierwszą osobą, którą zobaczyłam, był Homer wściekle maszerujący w stronę drogi, jakby zamierzał pójść prosto do Wirrawee i sam wysadzić wszystko w powietrze. Przez resztę dnia trzymał się od nas z daleka. Gdy po południu wyruszaliśmy, nadal był naburmuszony. W zasadzie wyładowywał złość na biednym starym lesie. Słyszałam, jak łamie gałęzie, które według Kevina zamierzał wykorzystać do budowy szopy.

Jakoś nie chciało mi się wierzyć, by ta szopa miała kiedykolwiek powstać.

6

To był długi marsz. Pewnego wieczoru imprezowaliśmy w Wirrawee u Josha i Susie i Homer strasznie dużo pił. Wszyscy mu dogryzali, ale on powtarzał, że jest zupełnie trzeźwy, i w końcu o trzeciej w nocy oznajmił, że aby dowieść nam swojej trzeźwości, pójdzie do domu piechotą. Już po chwili maszerował po podjeździe, a my machaliśmy mu na pożegnanie, pokładając się ze śmiechu. Nocowałam u Susie, więc nie wiedziałam, czy dotarł do domu, ale o ósmej rano zadzwonił telefon, a kiedy Josh w końcu doczłapał do kuchni i podniósł słuchawkę, usłyszał głos Homera. Homer był tak zadowolony z siebie, że słyszałam go aż w pokoju Susie, gdzie spałam na wolnym łóżku.

Ale to był jedyny przypadek, kiedy ktoś pokonał piechotą drogę dzielącą nasze gospodarstwa od Wirrawee.

Nie, zaraz, to nieprawda. Mój dziadek miał pracownika, który, o ile dobrze pamiętam, nazywał się Casey i który służył z zamiłowaniem do spacerów. Wołano na niego Sprężynostopy Bob, bo idąc, w charakterystyczny sposób odbijał się na piętach. Podobno wszędzie chodził pieszo, w razie potrzeby nawet do Wirrawee. Pamiętam, jak babcia mówiła, że pewnego razu poszedł do Stratton na spotkanie z dziewczyną. W tamtych czasach pocztę dostarczano nie dalej niż do gospodarstwa Mackenziech, więc chodził tam dwa razy w tygodniu, by odebrać swoje listy.

Mój dziadek był zbyt skąpy, by dać mu konia.

Miałam głowę pełną pomysłów na skróty, którymi moglibyśmy dojść do Wirrawee, lecz Iain nie chciał słyszeć o żadnym z nich. Najważniejsze było dla niego bezpieczeństwo, co oczywiście wydawało się całkiem zrozumiałe, choć moim zdaniem trochę przesadzał. Musieliśmy nie tylko maszerować, lecz także iść okrężną drogą, by omijać domy i drogi. W porównaniu z tym słynna wyprawa Homera przypominała popołudniowy spacer. Poza tym była to próba dla mojej kondycji. Kiedy mnie poprosili, żebym zwolniła w drodze na Szew Krawca, myślałam, że jestem w niezłej formie, ale wkrótce zdałam sobie sprawę, że pod względem wytrzymałości nie dorastam żołnierzom do pięt. Mogliby maszerować przez tydzień, nie zwalniając tempa. Nic dziwnego, że nowozelandzkie konie zawsze wygrywały Melbourne Cup. Ci ludzie sami mogliby wygrać Melbourne Cup. Nie potrzebowali koni.

Marsz zajął nam całą noc. Nie wolno było rozmawiać, co oznaczało, że nic nie zagłuszało mowy moich mięśni. A oczywiście miały dużo do powiedzenia: nic, tylko narzekały. Jęczały, jęczały i jęczały. Nie mogę ich jednak winić. Przeszywał je ból. Żałowałam, że będąc w Nowej Zelandii, nie biegałam trochę częściej.

Gdy zbliżyliśmy się do Wirrawee, zatrzymaliśmy się na naradę z Iainem i Ursulą. Przed świtem mielibyśmy czas na wejście do miasta na szybki rekonesans, ale oni uważali, że nie warto ryzykować. Wycofaliśmy się zatem w zarośla niedaleko ruin domu Mackenziech, by poszukać kryjówki na dzień.

Tym razem nie było nadziei na samotny spacer. Iain okazał się niewzruszony. Rozumiałam go i nie robiłam z tego tragedii. Coraz bardziej zaczynałam lubić własne towarzystwo, lecz podczas tej wyprawy nie mogłam liczyć na samotność. Dzień był upalny, więc z radością odsapnęłam i pozwoliłam nogom odpocząć.

Miałam wrażenie, że odkąd wylądowaliśmy, bez przerwy maszerujemy - nie licząc poranka w Piekło, moje nogi prawie cały czas były w ruchu.

Znowu porządnie się wyspałam, prawie tak długo jak dwa dni wcześniej. Wyglądało na to, że mogę spać tylko w dzień. Po przebudzeniu nie czułam się jednak zbyt dobrze. Głaz uwierał mnie w plecy, a słońce paliło w twarz.

Podniosłam się z wysiłkiem i podeszłam do Lee i pozostałych. Rozpoczęli grę w miniaturowego krykieta z kamieniem zamiast piłki i gałązką zamiast kija. Przyglądałam się temu skwaszona. Byłam zgrzana, lepka, obolała i niezadowolona, bolały mnie nogi i nie miałam ochoty na gry. Krykiet powoli mnie jednak wciągnął: kilka razy, gdy kamień poleciał w moją stronę, odbiłam go. W końcu połknęłam przynętę i wzięłam kij. Było całkiem zabawnie. W pewnym sensie poczułam jednak smutek. Tak wyglądało życie, które powinniśmy byli wieść. Granie w głupie gry, wydurnianie się i korzystanie z dzieciństwa najdłużej, jak się da. Tak upływała nam połowa czasu w szkole. Kiedy Erie Choo złamał nogę, zrobiliśmy z jego kuli kij i wynaleźliśmy nową odmianę krykieta: po odbiciu piłki należało obieć kubeł na śmieci i wrócić do bramki, odpychając się kulą. Od tamtej pory, zawsze gdy ktoś przychodził do szkoły ze złamaniem wymagającym chodzenia o kuli, wszyscy głośno się cieszyliśmy i ponownie zaczynaliśmy naszą grę.

Właśnie to mam na myśli. Zwyczajne, głupie sprawy. Mieliśmy przed sobą wystarczająco dużo lat, by spoważnieć, dorosnąć i dojrzeć. Po co to przyspieszać?

Z drugiej strony zawsze narzekaliśmy, kiedy nauczyciele i inni dorośli traktowali nas jak dzieci. W zasadzie nic nie rozwścieczało mnie bardziej. Ta sprzeczność była strasznie dobijająca. Potrzebowaliśmy dwustronnego identyfikatora, który z jednej strony miałby napis

„dojrzały”, a z drugiej „dziecinny”. W każdej chwili moglibyśmy go odwrócić na pożądaną stronę, żeby dorośli traktowali nas w określony sposób.

Zastanawiałam się nad pewną sprawą. Nie chodziło o te wszystkie historie o dzieciach powoływanych do wojska w wieku dziesięciu lat. Gdyby wsłuchać się w te opowieści, można by pomyśleć, że niemowlęta w pieluszkach skaczą na spadochronie, trzymając w małych rączkach M-16. Nie, myślałam raczej o zdjęciach aborygeńskich dzieci przechodzących inicjację w dorosłość, by zostać pełnoprawnymi członkami plemienia. Na każdym z tych zdjęć wyglądały na jakieś dziesięć, jedenaście lat. I zawsze mnie to zastanawiało. Skoro one w wieku dziesięciu lat były gotowe do dorosłości, co było z nami nie tak, że musieliśmy czekać do dwudziestego, dwudziestego pierwszego roku życia? A czasami nawet dłużej. Znałam dwudziestoczterolatków, których nadal traktowano jak małe dzieci. Na przykład Randalla McPhaila. Czasami myślałam, że on nigdy nie dorośnie. Miał dwadzieścia osiem lat i nadal mieszkał z rodzicami, nadal rozbijał się po całym okręgu podrasowanym holdenem pikapem ze zderzakami obklejonymi nalepkami w stylu: „Nie ma pikapa, nie ma palenia gumy” albo „Przetrwałem imprezę w Stratton”.

Na jego widok zawsze myślałam: „Randall, dorośnij wreszcie”.

W każdym razie był taki przed wojną. Może inwazja sprawiła, że dojrzał? Tylko że do tego nie powinna być potrzebna wojna.

Wszystko, co się teraz mówiło, trzeba było odnosić albo do czasów przed wojną, albo do wojny. Nie było już p.n.e. i n.e. - tylko p.w. i w.

Problem w tym, że też chciałam jeździć holdenem pikapem i uwielbiałam wiejskie imprezy, ale zakładałam, że w wieku dwudziestu ośmiu lat zainteresuję się czymś innym. Taką miałam nadzieję.

Nie rozwiązało to jednak mojej zagadki o aborygeńskich dzieciach. Może dorastały szybciej dlatego, że w tamtych czasach Aborygeni żyli krócej i trzeba było dojrzewać wcześniej. Może teraz, dzięki nowoczesnej medycynie i tak dalej, dzieciństwo ma szansę trwać dłużej? Nie trzeba było się tak spieszyć do następnego etapu. Przecież właśnie to stało się z nami. Wojna skróciła oczekiwaną długość naszego życia. I oczywiście szybko dorośliśmy.

W końcu Lee i żołnierzom znudził się krykiet. Oddalili się trochę i rozłożyli pod drzewami. Tym razem Iain wystawił czterech wartowników, angażując sporą część żołnierzy. Zgłosiłam się nawet na ochotnika, żeby im pomóc, ale grzecznie podziękował i wyjaśnił, że chce, bym wypoczęła przed nocną wyprawą do Wirrawee.

Cały Iain, pomyślałam cynicznie. Zawsze wszystko osłodzi. Gdyby chciał cię zatrudnić na zmywaku, powiedziałaby, że to aerobik dla dłoni, a ty potrzebujesz aktywności fizycznej. Gdyby nie chciał cię na zmywaku, powiedziałaby, że musisz mieć brudne ręce, by nie świeciły się w nocy. No dobra, może trochę przesadzam, ale nadal byłam pewna, że gdzieś kiedyś zaliczył szkolenia poświęcone nakłanianiu ludzi do robienia tego, czego od nich chce. Nigdy nie wydawał się do końca szczery.

Po drugiej stronie wzgórza zauważyłam Lee. Siedział pod chudą czarną akacją, drzewem o dziwnym kształcie, jakby dostało skurczu i zawiązało się w supeł. Poczułam nagłe pragnienie pobycia z Lee, więc do niego podeszłam. Grzebał w ziemi patykiem. Nie podniósł głowy, kiedy się zbliżyłam, więc po prostu stałam i mu się przyglądałam. Zauważyłam, że pisze swoje imię, wymazuje je i pisze je ponownie. Czasami stawiał zwyczajne litery, a czasami dodawał ozdobniki. Potem napisał moje imię. Roześmiałam się, a on je starł. Wyrzucił patyk. Miałam lekkie poczucie winy z powodu swojego śmiechu, choć nie wiedziałam dlaczego. Usiadłam obok Lee. Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało. Potem Lee powiedział:

- Pamiętasz to zadanie, które dostaliśmy kiedyś na angielskim? Musieliśmy powiedzieć, co byśmy uratowali?

- Nie pamiętam.

- A może to było na innej lekcji. Chyba u pani Sawas w ósmej klasie. Mieliśmy powiedzieć, co byśmy uratowali, gdyby nasz dom zaczął się palić.

- I co powiedziałaś?

- Nie pamiętam wszystkich rzeczy. Musieliśmy chyba wymienić pięć. Wiem, że wszyscy wspominali o zdjęciach, o albumach ze zdjęciami. Prawdopodobnie wymieniłem skrzypce. Belinda Norris wspomniała o swoich lalkach Barbie. To pamiętam. Gnębiliśmy ją za to przez wiele miesięcy.

- Cała Belinda.

- No. Ale tak sobie myślę, że ten pożar właśnie nam się przydarzył, prawda? Nasze domy jakby spłonęły, ale niewiele z nich uratowaliśmy.

Nic nie powiedziałam. Nie byłam pewna, dokąd zmierza.

- Załóżmy, że gdy pokażemy im to, co chcą zobaczyć w Wirrawee, urwę się na godzinę, wrócę do domu i zabiorę kilka rzeczy.

- Na przykład co?

Lee zaczął pisać w piasku następne imię, tym razem palcem. Nie widziałam czyje.

- Kiedy mój dziadek jeszcze żył - odpowiedział powoli - mieliśmy pewien zwój...

I nagle zaczął płakać. Zauważyłam to dopiero po chwili, bo płakał bardzo cicho. Nie zmienił pozycji - nadal siedział, ale jego ciało się trzęsło. Zupełnie jakby - to zabrzmiało okropnie, ale nie potrafię tego inaczej opisać - jakby ktoś poraził go prądem o niskim napięciu. Nie widziałam jego twarzy, ale mogłam ją sobie wyobrazić. Pewnie miał zaciśnięte zęby i mocno zamknięte powieki. Położyłam dłoń na jego ręce. Nie, nie tylko położyłam, lecz zaczęłam ją ugniatać palcami, bez końca. Nie było jednak nic, co mogłabym zrobić. Łzy płynęły i płynęły. A najdziwniejsze było to, że Lee nie wydał żadnego dźwięku. Milczący płacz. Było w tym coś okropnego. Nie wiem, dlaczego wydał mi się taki straszny, może z powodu poczucia, że Lee płacze, nie pozwalając sobie płakać. To nie miało końca. Myślałam, że nigdy nie przestanie. Właściwie nie mierzyłam czasu, ale spokojnie mogło to zająć z pół godziny.

Kiedy w końcu zaczął się uspokajać, przysunęłam się jeszcze bliżej i objęłam go ramieniem. Długo tkwiliśmy w tej pozycji. Powoli docierało do mnie, że mój związek z Lee niekoniecznie się zakończył. Nadal żywiłam do niego bardzo silne uczucia. Po prostu nie wiedziałam jakie. Dawniej, kiedy zrywałam z chłopakiem, romans kończył się definitywnie: nigdy nie przychodziło mi do głowy, żeby ciągnąć go dalej. Tak było ze Steve'em. Możliwe jednak, że to, co przeżyłam razem z Lee, ustanowiło inne zasady.

Zmieniły się wszystkie zasady. Dlaczego z zasadami dotyczącymi związków miałyby być inaczej?

7

W Wirrawee zaszły wyraźne, wręcz niewyobrażalne zmiany. Po drodze zwiastowały je różne znaki, ale trzymaliśmy się jak najdalej od drogi, więc tak naprawdę nic nas nie ostrzegło. Od czasu do czasu w oddali migały samochody i ciężarówki. Większość z nich jechała całkiem szybko, z włączonymi światłami. Wyglądało na to, że odkąd spadła intensywność nalotów, najeźdźcy czuli się znacznie pewniej.

W samym Wirrawee też czuli się dość swobodnie. Wkrótce się o tym przekonałam. O wpół do dwunastej w nocy ostrożnie zaczęliśmy zbliżać się do miasta. Razem z Ursulą i Lee szliśmy przodem: podeszliśmy od strony małego wzgórza przy Coachmans Lane, które zawsze oznaczało straszną mordęgę podczas biegów przełajowych - bo pokonywało się je pod koniec, kiedy brakowało sił - i ku naszemu zaskoczeniu wszędzie paliły się światła. Wyglądało to jak impreza w Wirrawee. Nawet w Nowej Zelandii nie widywało się tylu świateł z uwagi na restrykcje dotyczące korzystania z prądu, częściowe i całkowite zaciemnienia. Po trosze ograniczenia wynikały z braku prądu, a po trosze ze strachu przed bombardowaniem. Nowozelandczycy nie chcieli być ładnym, jasnym i łatwym celem dla bombowców. Ich najlepszą gwarancją bezpieczeństwa była postawa reszty świata, który w przeważającej mierze potępił inwazję. Wydaje mi się jednak, że częściowe zaciemnienia to dość dobry pomysł. Lepiej nie kusić losu.

Światła w Wirrawee nie były niczym niezwykłym. Wstrząsnął nami kontrast między nimi a tym, do czego przywykliśmy - oraz tym, czego się spodziewaliśmy. Wszystko wyglądało tak zwyczajnie, mimo że byliśmy w samym środku wojny. Myślałam, że wróg ukrywa się w ciemności, tak jak my.

Ulice były jednak oświetlone, podobnie jak niektóre domy i sklepy, jakby ludzie nie kładli się spać, chcąc obejrzeć *Rage* albo coś w tym rodzaju. Duże reflektory wokół terenu wystawowego świeciły na całego - tak mocno, że zdawały się palić powietrze.

Doświadczyłam jednego z najdziwniejszych uczuć w życiu, wiedząc, że prawdopodobnie są tam moi rodzice - tak blisko, niespełna kilometr ode mnie. Bliżej niż w ciągu ostatniego roku. Tylko raz, kiedy dotarłam aż do parkingu, znalazłam się jeszcze bliżej. Żałowałam, że nie mogę pofrunąć i wylądować obok nich. Albo zawołać na całe gardło: „Cześć, jestem tutaj! Cześć, mamó! Cześć, tato!”

Kiedy tak staliśmy, patrząc na miasto, wzięłam Lee za rękę. Chyba nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy. Jego dłoń lekko drżała. Przypominała trzepoczące skrzydełka delikatnego motyla. W tamtej chwili nie pamiętałam nawet, że te same dłonie odebrały komuś życie, że zabiły. I z pewnością nie myślałam o tym, że moje ręce zrobiły to samo. Przez chwilę znowu byłam blisko Lee, bliżej niż kiedykolwiek.

Na zachodzie Wirrawee zaszła kolejna wielka zmiana. Co nieco o niej słyszeliśmy, ale mimo to dziwnie było ją zobaczyć na własne oczy. W mieście powstało lotnisko. Oczywiście zawsze mieliśmy lotnisko, ale przypominało kawałek pastwiska z pasem startowym i hangarem oraz małym budynkiem z cegły zwanym Klubem Lotniczym Wirrawee. Nigdy nie stało tam więcej niż sześć-osiem małych samolotów. Porównywanie tamtego lotniska do tej nowej lotniczej bazy wojskowej było jak porównywanie baru mlecznego do centrum handlowego Centrepoint.

To lotnisko rzeczywiście przypominało centrum. Wąski pylisty pas, dobry dla małych cessn, zastąpiono długim betonowym, który lśnił w słabym świetle latarni otaczających cały obiekt. Wysokie ogrodzenie zwieńczone drutem kolczastym niknęło gdzieś w oddali. Klub Lotniczy Wirrawee przypominał jedynie mały budynek postawiony obok nowej, dużej szarej struktury liczącej trzy piętra. Najwidoczniej została wzniesiona w pośpiechu i prawdopodobnie jeszcze jej nie wykończono, bo z jednej strony nadal stało rusztowanie. W cieniu nieopodal tego rusztowania zauważyłam dwa buldożery.

Iain zszedł już sto metrów w dół wzgórza i czekał, aż do niego dołączymy. Z pewnym ociąganiem, pamiętając, że to my mieliśmy prowadzić, ruszyłam na dół, ominęłam go i zajęłam swoją pozycję. Lee i Ursula szli przede mną po drugiej stronie drogi. Obok maszerował facet o imieniu Tim, bardzo postawny brązowoskóry mężczyzna z Nauru.

Ruszyliśmy. Nowozelandczycy poruszali się po mieście bardzo podobnie jak wcześniej my. Sprawilo mi to sporą przyjemność. Pomyślałam, że może jednak wcale nie byliśmy takimi amatorami. Zwano to techniką zabich skoków: osoby idące przodem skradały się ulicą rozstawione po obu stronach drogi, a potem zatrzymywały się w dobrze osłoniętym miejscu. Druga para szła za nimi, wyprzedzała ich i postępowała analogicznie, dopóki też nie znalazła dobrej kryjówki, w której następnie czekała na pierwszą parę. Za nami reszta żołnierzy robiła to samo. Lee był po drugiej stronie ulicy, więc gdyby któreś z nas chciało ostrzec Nowozelandczyków przed niebezpieczeństwem, mielibyśmy łatwe zadanie: ja powiedziałabym Timowi, wyprzedzając go, a Lee powiedziałby Ursuli.

Szliśmy wzdłuż Warrigle Road, niedaleko domu Mathersów, i wiedziałam, że będę musiała się postarać, by ta świadomość nie wpłynęła na moje działania. Spędziliśmy w domu

Robyn wiele szczęśliwych chwil: co kilka miesięcy chodziłam tam z rodzicami na grilla, a pewnego suchego roku, kiedy nasz zbiornik z wodą wysechł, praktycznie zamieszkałam w ich basenie. Musiałam jednak być twarda, myśleć jak twardzielka, więc surowo nakazałam sobie przestać wspominać Robyn. Tylko na parę godzin, tłumaczyłam jej po cichu błagalnym tonem. Nie złość się na mnie.

Skupiłam wzrok na pierwszej ciemnej plamie, ku której szliśmy: na miejscu pod krzakiem mniej więcej sto metrów dalej, między dwiema kałużami światła z ulicznych latarni. Na ulicy było cicho, nic się nie poruszało. Przypomniałam sobie, jak po raz pierwszy wyszłam z bezpiecznego miejsca i wkroczyłam na wrogi teren: dawno temu, na parkingu terenu wystawowego. Poczułam wtedy, że wyjście z cienia zmieniło mnie na zawsze.

Szłam ulicą jak kot ku ciemnej kryjówce. Czułam, że ta przygoda też mnie zmieni. Nie było to tak bezczelne jak powiedzenie wrogowi: „Wróciłam!”, ale trochę podobne. Może mówiłam do siebie: „Wróciłam!” albo „Znowu działałam. Znowu wykazuję się odwagą i determinacją”. Nieważne. Wiem jednak, że wszystkie moje zmysły były bardzo wyostrzone. Lustrowałam wzrokiem ulicę, jakbym miała w oczach radar, moje uszy były superwrażliwe na dźwięki. Czułam na twarzy każde najmniejsze dotknięcie chłodnej nocy.

A ponieważ byłam tak bardzo przejęta, w połowie ulicy coś mnie zatrzymało. Lekki dreszczyk na skórze. Ledwie zauważalny ruch powietrza. Zawahałam się, potem się zatrzymałam. Po drugiej stronie ulicy Ursula zrobiła to samo. Taka była umowa: jeśli jedna osoba się zatrzyma, druga natychmiast zrobi to samo. Poczułam się trochę głupio, myśląc, że to pewnie nic, fałszywy alarm, i że zatrzymanie się na początku drogi doprowadzi ich do wniosku, że się boją.

Mimo to nie ruszałam się z miejsca, nasłuchiwałam i drżałam z napięcia, próbując wyłowić jakiś sygnał, ocenić, czy przypadkiem czegoś sobie nie uroiłam.

Wtedy usłyszałam wyraźny chrzęst żwiru pod czyjąś stopą, tuż obok, z lewej.

Nikogo nie miało tam być.

Coś ścisnęło mnie w żołądku, zwinęło się w czarną kuleczkę, zadrżało i umarło. Wstrząsnęło mną tak mocno, że nie byłam w stanie się poruszyć. Siła, którą czułam jeszcze przed chwilą, odrodzenie odwagi - o ile właśnie o to chodziło - zgniły jak śliwka. Mniej więcej metr przede mną stała skrzynka na listy w kształcie królika, a obok niej coś, co przypominało trzy czy cztery stopnie. Widok przysłaniała mi mała, brzydka choinka, niewiele większa ode mnie, ale wystarczająco duża, by zasłonić to, co czaiło się za nią. Prawdopodobnie było to jedno z tych pustych podwórek, na których nie ma nic poza trawą i betonowymi ścieżkami. Nie mogłam jednak mieć pewności: to było tylko moje przecucie.

Sekundę później po schodach zszedł jakiś mężczyzna. Poruszał się szybko i pewnie, ale lekkim krokiem. Nie rozglądał się na boki, więc miałam szczęście. Poszedł ścieżką ku zaparkowanemu jakieś dwadzieścia pięć metrów dalej volvo kombi. Pewnie znalazł się dość blisko Lee i Tima, ale nie byłam pewna, jak bardzo, bo w ogóle ich nie widziałam. Mężczyzna miał na sobie wojskowe spodnie, biały T-shirt i czarną kurtkę. Szedł boso. Otworzył kluczykiem bagażnik i wyjął małą białą teczkę. Obserwowałam to wszystko, widząc jego ruchy bardzo wyraźnie, lecz przez cały czas nie byłam w stanie się poruszyć. Mężczyzna zamknął bagażnik i odwrócił się. Uświadomiłam sobie, że powinnam była się ruszyć, kiedy miałam okazję. Poczułam dreszcz na całym ciele, na każdym centymetrze skóry. Przedziwne uczucie. Czułam mrowienie nawet na głowie, pod włosami. Wiedziałam, że moja twarz zrobiła się czerwona, mimo że oczywiście nie mogłam jej zobaczyć.

I nadal nie byłam w stanie się poruszyć.

Facet szedł prosto na mnie. Zapomniałam o Lee, zapomniałam o Nowozelandczykach. Cały świat skurczył się do mnie i do niego, do mnie i do tego człowieka. Nadal szedł lekkim krokiem, mimo późnej pory czekała go chyba jakaś praca.

Poruszyłam jedną częścią swojego ciała. Oczami. Poruszyłam oczami. Bo z prawej strony wyczułam jakieś drgnięcie. Tylko drgnięcie. Mój wzrok podążył w jego stronę. Ursula cicho chyłkiem przechodziła na drugą stronę drogi. Stawiała długie kroki. Czułam się tak, jakbym obserwowała ważkę pędzącą od jednego liścia lilii wodnej do drugiego.

W jej dłoni błysnęło coś ostrego. Nóż, w którym odbiło się światło ulicznej latarni.

Kto wie, jak by się to potoczyło? Gdy stoisz bez ruchu, ludzie mogą przejść obok i cię nie zauważyć. Nawet zwierzęta. Kiedyś robiłam takie kawały naszemu staremu psu Millie.

„Całkowity bezruch i całkowita cisza - mówiłam sobie w myślach. - To nasza jedyna szansa. Nie ruszać się. Bezruch i cisza”.

I wtedy krzyknęłam.

Teraz, kiedy o tym myślę, kiedy o tym piszę, trochę to rozumiem. A przecież „zrozumieć znaczy wybaczyć”. Prawda? Tak się mówi. Więc to musi być prawda.

Rozumiem, że krzyknęłam z powodu tego wszystkiego, przez co przeszliśmy, dlatego że widziałam już zbyt wielu zabitych ludzi, dlatego że kiedyś widziałam, jak Lee zabija nożem człowieka, i dlatego że sama zabijałam ludzi z zimną krwią. I z powodu Robyn. To wszystko rozumiem. I niczego innego nie potrzebuję wiedzieć, prawda?

Prawda?

Kiedy wracam do tego myślami, tak jak teraz, pamiętam tamten krzyk jak coś w rodzaju gardłowego dźwięku, suchego wrzasku. Może to był raczej szloch niż krzyk. To

chyba jedyna rzecz, którą zrobiłam dobrze. Dźwięk był niski, ochrypli, a nie głośny i kruszący szkło, który zwabia ludzi do drzwi, psy pobudza do szczekania, a koty do miauczenia. Mieliśmy szczęście, że usłyszał go tylko jeden wrogi żołnierz.

Gdy krzyknęłam, odwróciłam się i zaczęłam uciekać. Nie jestem dumna z żadnej z tych rzeczy, to oczywiste. Ale właśnie tak postąpiłam. Wpadłam prosto na Iaina, który szybko biegł w moją stronę. Przekazał mnie komuś innemu, nie wiem komu, a sam zwinnie ruszył naprzód. Osunęłam się na tego drugiego żołnierza, przywarłam do niego, prawie łkając, próbując paść na ziemię i jednocześnie próbując utrzymać się na nogach. Usiłowałam nie słyszeć dźwięków za moimi plecami, ale nie mogłam nie usłyszeć charkotu, kiedy go zabili. Nie wiem też, co zrobili z ciałem. Chyba wywiązała się krótka dyskusja na temat tego, czy lepiej upozorować wypadek, czy może pozbyć się go tak, by nikt go nie znalazł. To był prawdziwy problem, bo musieliśmy pozostać w ukryciu co najmniej przez następne dwadzieścia cztery godziny. Słyszałam głos Lee biorący udział w tej szeptanej rozmowie i nienawidziłam go za ten spokój i opanowanie, których mnie zabrakło.

Nie wiem, na co się ostatecznie zdecydowali ani co zrobili. Nie chcę wiedzieć.

Po jakimś czasie przyszła Bui-Tersa i zabrała mnie od faceta, który się mną opiekował. Pochodziła z Timoru Wschodniego i prawdopodobnie była najmłodsza ze wszystkich nowozelandzkich komandosów. Ta spokojna ciemnowłosa dziewczyna miała bystre, czujne spojrzenie i cięty dowcip. Powiedziała mi, że jej imię znaczy Czwartkowa Kobieta - w Timorze panuje zwyczaj nazywania dzieci tak jak dzień, w którym przyszły na świat. Cieszyłam się, że to ona się mną zajęła. Oczywiście wiedziałam, że po tym, co się stało, nie pozwolą mi iść dalej. Wiedziałam, że będę musiała zawrócić. Dlatego nie stawiałam żadnego oporu - po prostu pozwoliłam, by cicho i szybko poprowadziła mnie ulicami Wirrawee w stronę pól.

W chłodnym czystym nocnym powietrzu, otoczona tak wielką przestrzenią, z dala od koszmaru, którym stało się Wirrawee, zaczęłam znowu oddychać. Chciałam przeprosić Bui-Tersę, przeprosić wszystkich Nowozelandczyków, ale dobrze wiedziałam, że słowa to marnowanie oddechu. Nieważne, co mówi Andrea - w tym konkretnym wypadku rozmowa nie mogłaby pomóc. Więc nic nie powiedziałam. Szłam tylko potulnie za Bui-Tersą przez pola.

Wkrótce zrozumiałam jednak, dokąd idziemy. Zresztą gdy tylko to sobie uświadomiłam, Bui-Tersa sama mi powiedziała.

- Idziemy na twoją farmę - oznajmiła. - Chyba zostawię cię na końcu tej drogi, przy której niedawno wylądowaliśmy. To znaczy jeśli uważasz, że nic ci nie będzie. Jeśli myślisz, że dasz radę dojść do Piekła o własnych siłach...

Urwała tak jak ludzie, kiedy chcą usłyszeć, że wszystko jest w porządku. Jej głos, zazwyczaj dźwięczny i pogodny, brzmiał pospiesznie i rzeczowo.

- Nic mi nie będzie.

- Przekonamy się, kiedy tam dotrzemy - powiedziała. - Ale jeśli wszystko będzie w porządku, prawdopodobnie cię tam zostawię. Jutro wieczorem Iain będzie miał dla mnie zadanie w mieście. Jesteś w stanie nas teraz poprowadzić?

- Tak.

Na tym zakończyła się rozmowa. Nie chodzi o to, że Bui-Tersa była nieprzyjaźnie nastawiona - przeciwnie. Takie nastawienie było jej zupełnie obce. Była na to zbyt miła. Już kiedy ją poznałam, pomyślałam, że jest zbyt miła jak na komandosa. Ja z pewnością nie miałam jednak ochoty na rozmowę, a poza tym szybko zauważyłam, że Bui-Tersa się spieszy. To też potrafiłam zrozumieć. Jeśli zamierzała mnie zostawić na końcu Krawędzi Żyletki i wrócić do Wirrawee jeszcze tej samej nocy, musiała szybko przebierać nogami.

Już wkrótce byłam zbyt zmęczona, by myśleć o rozmowie. Zaczęły do mnie docierać wszystkie wydarzenia kilku ostatnich dni. Czułam okropne, potworne znużenie, jakiego nigdy wcześniej nie zaznałam. Jakbym miała sto lat. Gdyby zaproponowano mi wtedy balkonik do chodzenia, chyba złapałabym go obiema rękami.

Jakimś cudem szłyśmy. Wszystko dlatego, że nie było innego wyjścia. Z goryczą myślałam o tym, jak zdradziłam samą siebie, jak srodze zawiodłam siebie i Nowozelandczyków. Skupiłam się na tym - nie celowo, po prostu tak wyszło - i, o dziwo, ta myśl sprawiała, że dalej poruszałam nogami, które już wieki temu straciły całą energię i siłę. Ale tak, nadal szły.

Dotarliśmy do drogi o czwartej czterdzieści pięć. Bui-Tersa zapytała, jak się czuję, lecz i tym razem wiedziałam, na jaką odpowiedź liczy. Nie mogła się doczekać powrotu do kolegów. To całkiem zrozumiałe. W jej sytuacji czułabym to samo.

Tak przynajmniej powiedziałabym przed tą nocą. Teraz nie jestem już taka pewna.

W każdym razie nie miałam nic przeciwko samotnemu powrotowi do Piekła. Znowu byłam w lesie i to wydawało się najważniejsze. Zmiana w moich odczuciach sprowadzała się do tego prostego faktu. Jedynym złem, które mogło mnie spotkać w lesie, było chyba ukąszenie węża albo pożar. Zgubienie się nie stanowiło wielkiego problemu - zawsze mogłam znaleźć wodę, a jeśli masz wodę, możesz przetrwać długi czas. Zresztą nie mogłabym się tak

po prostu zgubić - zbyt dobrze znałam ten teren. Noc wcześniej Wirrawee było dla mnie jak choroba, a las traktowałam jak lekarstwo.

Dlatego pożegnałam się z Bui-Tersą. Byłam tak zmęczona i zrozpaczona ostatnimi wydarzeniami, że nie myślałam o tym, co ją czeka. Nie przyszło mi do głowy, że mogę jej już nie zobaczyć.

8

Kevin i Homer ucieszyli się na mój widok, a ja z radością do nich wróciłam. Zapomniałam o napadzie złości Homera i wyglądało na to, że już doszedł do siebie, więc po prostu udawaliśmy, że nic się nie stało. Powiedziałam im niewiele - tylko tyle, że zawałam sprawę.

Potem poszłam poszukać Fi.

Spała, więc wczłogałam się do małego namiotu, położyłam się obok niej i też zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, była już pora lunchu. Leżałam w rozgrzanym namiocie. Słońce się przesunęło. Albo ziemia. Chyba jedno i drugie. W każdym razie nad namiotem nie było już żadnego cienia. Często kłóciłam się z Homerem o to, czy lepiej mieć namiot w porannym czy w popołudniowym słońcu. Jak zwykle byliśmy odmiennego zdania. Homer lubił poranne słońce, bo fajnie mu się w nim budziło. Ja wolałam popołudniowe, które oznaczało, że w chwili zasypiania w namiocie nadal było ciepło.

Leżałam i powoli się piekłam. Do namiotu wleciały dwie plujki i robiły powietrzne patrole na wolnych obrotach tuż nad moją głową. Czasami latały tak wolno, jakby za chwilę miały znieruchomieć w powietrzu. Na zewnątrz namiotu majaczyły sylwetki dziesiątków innych much, które cierpliwie siedziały na przejrzystym zielonym nylonie. Ruch much. Z jakiegoś powodu okropnie działały mi na nerwy. Straciłam cierpliwość i z całej siły uderzyłam w dach namiotu, o mało nie przedziurawiając materiału.

- Chyba Ellie już się obudziła - odezwał się Homer typowym dla siebie sarkastycznym tonem. - Ćwiczysz aerobik, Ellie?

Nagle ku mojemu zdziwieniu w wejściu do namiotu ukazał się Kevin, który podał mi kubek soku pomarańczowego. Napój był zrobiony z proszku przywiezionego z Nowej Zelandii. Proszek w połączeniu z wodą dawał napój przypominający ten rozrabiany z syropu. Było to naprawdę niemądre, zważywszy, że w strumieniu mieliśmy prawdopodobnie najświeższą wodę na świecie, ale Kevin chciał przywieźć proszek, był gotów go nieść, a ponieważ w przeciwieństwie do Nowozelandczyków nie byliśmy ograniczeni w kwestii bagażu, miał do tego pełne prawo. Gdy odwalił ciężką robotę i przytaszczył proszek do Piekła, pomogliśmy mu go skosztować.

Przyniesienie mi śniadania do łóżka było jednak bardzo miłe z jego strony. Na swój sposób mówił: „Cokolwiek się stało, nadal jesteśmy z tobą”. Tak wyglądała więź, która połączyła naszą piątkę, nawet jeśli czasami stosunki bywały dość napięte.

Wiedziałam, że w końcu będę musiała wziąć się w garść i powiedzieć im, co się stało. Oczywiście umierali z ciekawości. Ja na ich miejscu bym umierała. Dlatego pomyślałam ponuro: lepiej mieć to za sobą. Wyczołgałam się z namiotu, ostrożnie balansując kubkiem z napojem. Podeszłam do miejsca, w którym siedzieli, w cieniu obok grobu Chrisa.

Powiedziałam im wprost, bez ściemniania.

Przyjęli to nieźle. W zasadzie wiedziałam, że tak będzie. Byli chyba jedynymi ludźmi na świecie - oprócz moich rodziców - u których mogłam liczyć na taką reakcję. Jak brzmi tytuł tej piosenki? *Od czego są przyjaciele?* Nie chcę się rozklejać na starość, ale naszą piątkę naprawdę połączyła przyjaźń. Co do tego mogliśmy mieć pewność.

Potem dzień jakby popłynął. Byliśmy w typowej dla tej wojny sytuacji - w każdym razie typowej dla nas - siedzieliśmy i czekaliśmy, nie mając zbyt dużo do roboty, wypełniając czas na wszelkie nudne i otepiające sposoby, jakie nam przychodziły do głowy. Razem z Fi posprzątałyśmy w obozie, potem usiadłyśmy nad strumieniem ze stopami zanurzonymi w wodzie i rozmawiałyśmy o wszystkim i o niczym.

Nie wspominałyśmy o wojnie. Po ubiegłej nocy miałam zbyt duże poczucie winy, by o niej dyskutować.

Poza tym chwilami była po prostu zbyt przerażająca. Istniało tyle powodów, by się bać, że nie wiedziałam, od którego zacząć. Nasze największe obawy dotyczyły rodzin. Czy kiedy nas pojmano i zamknięto w więzieniu w Stratton, żołnierze skojarzyli nas z członkami naszych rodzin, nadal przetrzymywanymi na terenie wystawowym w Wirrawee? A może byli zbyt zajęci, zbyt zdeorganizowani, zbyt rozkojarzeni bombardowaniem? Tylko Kevin mógł podać fałszywe nazwisko. Major Harvey znał resztę z nas, więc nie mogliśmy go oszukać. Kevina nie znał, więc nasz przyjaciel wykorzystał sytuację i przedstawił się jako Chris. Harvey wiedział, że w naszej grupie jest jeszcze jeden chłopak, który został w Piekło, a rodzice Chrisa wyjechali do Belgii, więc to było sprytne posunięcie. Szkoda, że nie mogliśmy sobie pozwolić na podobny luksus.

Zatem rozmawiałyśmy z Fi o głupich, płytkich sprawach, takich jak ciuchy, chłopcy i szkolne przyjaźnie. Jeśli chodzi o ułatwienie mi zapomnienia o tym, co zaszło w Wirrawee, ta technika okazywała się skuteczna mniej więcej w jednym procencie, ale i tak była lepsza niż siedzenie i rozmyślanie. Kiedy rozmawiałyśmy, Fi rozczesywała mi włosy. Ku mojemu zdziwieniu wyznała, że spodobał jej się jeden z żołnierzy: duży czarnowłosy facet o imieniu

Mike, który był chyba Maorysem albo pochodził z Samoa. To znaczy naprawdę jej się spodobał. Nie tylko uważała, że jest fajny: chciała się z nim związać. Traktowałam nas jak dzieci, a ich jako pełnoprawnych dorosłych, którymi oczywiście byli, ale Fi uświadomiła mi, że są niewiele starsi od nas. Znając ją, nie przypuszczałam, że cokolwiek zrobi w sprawie Mike'a, ale zaczęłam się zastanawiać, czy wśród żołnierzy jest ktoś, kto też mógłby mi się tak spodobać. Paru z nich było całkiem fajnych. Potem pomyślałam: „Jasne, Ellie, po tym, co zrobiłaś wczorajszej nocy, na pewno będą tobą zainteresowani”.

Więc skutecznie wybiłam ich sobie z głowy.

Uzgodniliśmy, że po zmroku pójdziemy na Wombegonoo. Na wschodnim stoku było miejsce, z którego roztaczał się widok na Wirrawee. W początkowej fazie inwazji w nocy nie było nic widać, ale teraz, gdy paliło się tak wiele świateł, sytuacja na pewno wyglądała inaczej.

Bałam się tego, co moglibyśmy zobaczyć, ale mimo to nie mogłam się doczekać. Liczyliśmy na przeogromny pokaz sztucznych ogni. Pamiętając o nowym lotnisku, które tylko czeka, by wysadzić je w powietrze, oraz o świetnie wyszkolonych Nowozelandczykach, byłam pewna sukcesu. Jasne, denerwowałam się, ale nastawiłam się optymistycznie. Nie chciałam zobaczyć strzelaniny ani startujących samolotów, które po chwili zrzucają bomby, ani żadnych oznak tego, że wróg odpira atak. Bo gdyby tak się stało, winałabym siebie. Pomyślałabym, że moja utrata opanowania doprowadziła do katastrofy.

Zatem o zmierzchu wyruszyliśmy z Piekła, wybierając wąski, kręty szlak, cienki jak podeszwa, który prowadził na szczyt. Na górze było zaskakująco zimno po kilku gorących nocach. Zbiliśmy się w bezkształtną masę ciał, tylko nas czworo. Zastanawiałam się, co słyhać u Lee, czy jest bezpieczny, czy jest sam, co teraz myśli. Czułam jeszcze większy rozpaczliwy wstyd z powodu swojego załamania, większy niż w chwili, kiedy do niego doszło. Nic nie mogłam już na to poradzić, nie mogłam nic zrobić i choć nikomu nie pisałam słowa, obiecałam sobie, że kiedyś im to jakoś wynagrodzę.

Pewnego razu tata opowiedział mi, jak zawiózł pikapa do zakładu Burchetta, kiedy roztrzaskał przednią szybę w zderzeniu z kangurem. Poprosił Billa Burchetta, żeby ją naprawił.

- Nie mogę jej naprawić - odpowiedział Bill. - Ale wstawię ci nową.

Byłam teraz w podobnej sytuacji. Nie mogłam naprawić tego, co zrobiłam - mogłam jedynie spróbować zrobić coś pożytecznego. Następnym razem nie zamierzałam krzyczeć.

Zakładając, że będzie następny raz.

Tak czy siak, dotarliśmy na górę i usiedliśmy. W lesie jak zwykle tętniło życie. Sowa wylądowała na drzewie tuż po mojej prawej stronie, a potem nagle znowu wystartowała, energicznie trzepocząc skrzydłami. Chrząst kamyków u podnóża zmuszał nas do nerwowego wpatrywania się w ciemność. Był to dźwięk, na który przed inwazją w ogóle nie zwrócilibyśmy uwagi, ale teraz wystarczał, byśmy marzyli o środkach uspokajających. Opos głośno syknął na drugiego oposa i zaszeleściły liście, kiedy jeden z nich uciekł na drzewo.

Noc to dziwna pora. Rzeczy, które za dnia są piękne albo fajne, w nocy budzą niepokój. Nigdy nie masz pewności. Myślisz inaczej.

Miałam mnóstwo czasu, żeby rozmyślać o takich sprawach, bo okazało się, że w Wirrawee kompletnie nic się nie dzieje. Siedzieliśmy, marznąc i drętwiąc, aż do piątej trzydzieści. Oczywiście od czasu do czasu przysypialiśmy, ale ktoś zawsze czuwał. I nic się nie działo.

Nie było w tym nic wielkiego. Iain uprzedził, że może się nie udać. Z własnych doświadczeń wiedzieliśmy, że wiele spraw może pójść nie tak. Iain i Ursula przedstawili nam plany awaryjne. Jeśli pierwszej nocy się nie uda, spróbują jeszcze raz. I znowu. Po trzech niepowodzeniach albo wrócą do Piekła, albo prześlą nam wiadomość. Jeśli nie odezwą się przez cztery noce, mieliśmy założyć, że coś poszło źle, a potem skorzystać z drugiego radia, by nawiązać kontakt z pułkownikiem Finleyem i zorganizować transport do Nowej Zelandii.

"Woleliśmy nie brać takiej sytuacji pod uwagę. Ci goście byli tak dobrze wyszkoleni - pachnieli sukcesem, jak moja mama pachniała Chanel No. 5, kiedy szła z tatą na jakąś wieczorną imprezę - że nie poświęciliśmy zbyt dużo czasu na rozważanie takiej ewentualności.

Możliwe jednak, że po drugiej nocy myśleliśmy o tym trochę więcej. Bo znów nic się nie stało. Sowy przyleciały i odleciały, dzikie psy wyły, około północy zobaczyliśmy węża na nagiej skale - co jest rzadkim widokiem nawet w tak ciepłą noc, jaką właśnie mieliśmy - lecz w Wirrawee nic się nie działo.

O piątej trzydzieści znowu z wysiłkiem zesliśmy do Piekła, czując lekkie zdenerwowanie, lekkie mdłości.

Moje mdłości były silne. Jakoś nie mogłam przestać się zastanawiać, czy mój krzyk na widok tamtego żołnierza nie miał jakichś negatywnych konsekwencji. Nie trzeba było bujnej fantazji, by dostrzec szereg przerażających niebezpieczeństw. Oczami wyobraźni widziałam Nowozelandczyków zaskoczonych przez przejeżdżający patrol podczas wleczenia zwłok zabitego mężczyzny, ich ciała padające od kul, które przeszywają mrok.

Nie było sensu dzielić się tym z innymi, bo nawet gdyby bardzo chcieli, nie mogliby zrobić nic oprócz mruknięcia: „Oj, nie, to tylko twoja wyobraźnia, Ellie” albo „Nie martw się, nic im nie będzie”.

Dlatego snułam się cały dzień ogarnięta rozpaczą.

Trzeciej nocy myślałam, że znowu zacznę krzyżeć - tym razem z napięcia i nudy oczekiwania. Ciągle gapiłam się na Wirrawee, marząc o ujrzeniu eksplozji, pragnąc jej, pewna, że jeśli tylko będę tego chciała wystarczająco mocno, nastąpi nagła erupcja płomieni i na wzgórzach odbije się echem huk gigantycznego wybuchu. Ale byśmy wtedy tańczyli! Zerwalibyśmy się na równe nogi, uściskali się i odstawili wojenny taniec, po którym popędzilibyśmy do Piekła szykować ucztę dla powracających wojowników.

Ale nic się nie stało.

Wiedzieliśmy już, że jest jakiś problem.

W drodze powrotnej do Piekła nikt się nie odezwał. Poszliśmy do namiotów, wpełzliśmy do śpiworów i próbowaliśmy nadrobić braki we śnie. Nie wiem, jak inni, ale ja spałam niewiele. Oddech Fi też nie przypominał odgłosów, które wydaje, kiedy śpi.

Leżałam i pociłam się parę godzin, a potem dałam za wygraną. Wyczołgałam się z namiotu i od razu zobaczyłam Homera, który siedział przy zgaszonym ognisku z patykiem w rękę i bez końca grzebał w popiele w jakiś taki rozpaczliwy, bezcelowy sposób.

Podeszłam do niego i usiadłam obok, ale przez co najmniej pół godziny żadne z nas się nie odezwało.

Kiedy w końcu przemówił, podskoczyłam jak oparzona. Cisza trwała tak długo, że prawie zapomniałam o jego obecności.

- Będziemy musieli pójść ich poszukać - powiedział.

- Wiem.

Myślałam o tym samym, ale za bardzo się bałam, by powiedzieć to na głos. Gdy tak po prostu to oznajmił, poczułam strach i jednocześnie ulgę.

- Zgadza się - odezwał się Kevin z namiotu.

- Ja też - rozległ się cichy głos Fi.

Prawie się roześmiałam. Zabawnie było usłyszeć ich poparcie, gdy nawet nie mieliśmy pojęcia, że słuchają.

- Czy nie można już tutaj przeprowadzić prywatnej rozmowy? - oburzył się Homer.

- Dajmy im jeszcze jedną noc - powiedział Kevin, ignorując uwagę Homera.

- Tak, dziś w nocy na pewno wrócą.

- Co powiemy pułkownikowi Finleyowi, jeśli nie wróca? - zapytała Fi z naszego namiotu.

- Tym zaczniemy się martwić jutro - skwitował Homer.

- Będzie chciał, żebyśmy wrócili do Nowej Zelandii - powiedział Kevin.

W głębi serca wiedziałam, że Kevin po cichu marzy o powrocie i że właśnie stąd wzięły się jego słowa. Ale co z tego? Kiedyś uważałam, że jest trochę słaby, lecz teraz sama pokazałam wszystkim własną słabość, więc nie mogłam go krytykować. Zresztą im większy strach, tym większa odwaga, prawda? To znaczy jeśli wcale się nie boisz, robienie odważnych rzeczy nie jest aż tak imponujące, a Kevin bardzo często czuł strach, lecz mimo to robił odważne rzeczy, więc to czyni go chyba jeszcze większym bohaterem, nie?

- Niech sobie pomarzy - powiedział Homer.

Nikt tego nie skomentował.

Ta beczynność mnie dobijała, więc poszłam strumieniem do ruin chatki pustelnika. Nawet pojazd z napędem na cztery koła nie byłby w stanie tam dotrzeć, a ja miałam tylko napęd na dwie nogi, lecz brnęłam naprzód z głową pochyloną pod drzewami i pnączami. Chatka oczywiście nic się nie zmieniła. Była ciemna, chłodna i pusta. Wilgotne drewno powoli butwiało, stonogi, krocionogi i skorki chowały się w wilgotnych, gnijących zakamarkach. Wyciągnęłam metalowe pudełko, to, które wiele miesięcy temu znaleźliśmy z Lee, i jeszcze raz powoli przeczytałam jego zawartość. Ci ludzie żyli w takim dziwnym świecie! Wśród surowych zasad, sztywnych zwyczajów. Przypomniały mi się takie książki jak *Emma* i *Perswazje*, mimo że tamten świat sukien balowych, zalotów oraz małżeństw dla pieniędzy i pozycji społecznej był daleki od świata pustelnika, który karczował las, walczył z pożarami, wężami i suszą.

Był także daleki od naszego dawnego świata, w którym największym dylematem par było to, czy całować się z jęczyzkiem na pierwszej randce.

W tamtych czasach wiele małżeństw aranżowali rodzice. Młodzi ludzie nie mieli żadnego wyboru. Zaczęłam się zastanawiać, kogo wybraliby dla mnie mama i tata, gdyby też musieli zaaranżować moje małżeństwo. Pewnie Homera, ale tylko dlatego, że znali go lepiej niż któregokolwiek innego chłopaka. Poza tym połączenie naszych gospodarstw byłoby dobrą decyzją biznesową. Otrzymalibyśmy ładny kawałek nieruchomości - i możliwość stawienia czoła wielkim koncernom, które stopniowo wykupywały wybrane gospodarstwa w okręgu Wirrawee.

Znowu to samo, pomyślałam ze złością. Zapominam, że to wszystko to już przeszłość, że ten kraj nie jest nasz, że zajęła go inna grupa ludzi. Z wściekłością gryzłam knykieć palca

wskazującego. Jak mogliśmy do tego dopuścić? Gdzie popełniliśmy błąd? Co powinniśmy byli zrobić inaczej?

No cóż, może byliśmy trochę leniwi. Nie w sensie wylegiwania się przez cały dzień. Dobrze wiedziałam, że pracowaliśmy w swoim gospodarstwie cholernie ciężko, podobnie jak wszyscy, których znałam, i którzy też harowali jak woły. Aż dziw, że tutejszym mieszkańcom nie zaczynały wyrastać rogi. Nie, nasze lenistwo dotyczyło umysłów. Nie zmuszaliśmy ich do pracy, tak jak zmuszaliśmy ciała. Gdy nadszedł czas, by zastanowić się nad trudnymi sprawami, wychodziliśmy na dwór, by sprawdzić poziom wody w zbiornikach, ilość powietrza w pompie wysokociśnieniowej albo by zrobić przegląd motoru. Nietrudno byłoby zgadnąć, co byśmy woleli, gdybyśmy mieli do wyboru: przeczytać tabloid „New Weekly” albo artykuł o polityce lub gospodarce. Zamiast *ABC News* oglądaliśmy kreskówki. Teraz za to płaciliśmy. Nie wiedzieć czemu praca fizyczna nigdy nie wydawała nam się równie ciężka jak wysiłek umysłowy. Może dlatego, że ta pierwsza zazwyczaj miała wyraźne granice. Wiedziałaś, jak duży dół trzeba wykopać albo ile owiec wykapać w płynie odkażającym, albo ile potrzebujesz słupków do ogrodzenia. Wysiłek umysłowy był nieokreślony.

Gdy raz się zaczęło, wpadało się w nieprzebrany gąszcz cyfr, a w takim gąszczu zazwyczaj roi się od bardzo wysokich liczb.

Pani Kawolski uczyła mnie angielskiego w ósmej klasie i przez cały rok nie powiedziała niczego, co byłoby warte zapamiętania. W zasadzie w ogóle nie pamiętam, o czym mówiła. Z jednym wyjątkiem. Pewnego ranka zupełnie niespodziewanie oznajmiła: „Wiedza to władza”. Nie wiem, czego dotyczyła ta uwaga. Pamiętam jedynie, że siedziałam i myślałam: „Kurczę, rzeczywiście ma rację”.

Dużo zależy chyba od twojego aktualnego nastroju. Pewnego dnia nauczyciel objawia ci sens życia, a ty ziewasz, spoglądasz na zegarek i próbujesz obliczyć, ile sekund zostało do dzwonka. Innego dnia nauczyciel mówi coś zupełnie oczywistego, albo coś, co słyszałeś już milion razy, a ty myślisz: „O Boże, to prawda, on ma rację, różnorodność nadaje życiu smak”.

Albo coś w tym rodzaju.

Wizyta w chatce pustelnika zawsze wprowadzała mnie w refleksyjny, poważny nastrój i rozmyślałam tam o sprawach, które normalnie nie przyszłyby mi do głowy. To, co robiłam później, nie było jednak ani zbyt przemyślane, ani zbyt poważne. Wyjęłam długopis i napisałam wiadomość dla Lee na kawałku gładkiego, dobrze wypolerowanego piaskiem drewna nad okienną ramą. Napisałam: „Drogi Lee, Kocham cię i idę cię szukać. Spotkajmy się w szopie na rowery”.

To był taki żart, bo w liceum w Wirrawee chodziło się do szopy na rowery, tylko jeśli miało się poważne zamiary. Naprawdę poważne. W porze lunchu w szopie na rowery działy się rzeczy tylko dla dorosłych. Rodziło to mnóstwo żartów na temat jazdy rowerem. Nawet z moim poprzednim chłopakiem, Steve'em, nie zaliczyłam popołudniowej sceny w szopie na rowery. Mieliśmy dość poważne zamiary, ale w porze lunchu do szopy na rowery nie zaglądał nikt, kto dbał o swoją reputację, a ja nigdy nie chciałam stracić dobrego imienia. Co oczywiście było kolejnym powodem obrzydzenia, które do siebie czułam po imprezie z Adamem w Nowej Zelandii.

W każdym razie powiedzenie do kogoś: „Spotkajmy się w szopie na rowery”, oznaczało w naszym języku mniej więcej to samo co: „Bierz mnie, jestem twoja” albo „Zróbmy to”.

Po napisaniu tej wiadomości usiadłam przed chatką w plamie słonecznego światła, które zdołało się przedostać przez bujną roślinność. Słońce bez przerwy migotało, bo gałęzie nad moją głową poruszały się lekko na delikatnym wietrzyku. Siedziałam i po chwili zdałam sobie sprawę, że nigdy w życiu nie czułam się bardziej samotna. Fi, Homer i Kevin byli zaledwie kilkaset metrów dalej, na polanie, ale to mi nie wystarczało. Chciałam, by otoczyli mnie wszyscy ludzie, których kiedykolwiek znałam i na których mi zależało. Chciałam, żeby mnie przytulili i kołysali. Nie jestem jednak pewna, czy nawet to by mi wystarczyło. Gdzieś w głębi serca poczułam, że pewna część mnie na zawsze pozostanie samotna: że od narodzin do śmierci, a może i dłużej, wszyscy mamy coś, co jest nasze i tylko nasze. Z przerażeniem zdałam sobie sprawę z tej samotnej małej części mnie, ale ta świadomość miała chyba coś wspólnego z dorastaniem: z poczuciem, że okej, jestem częścią swojej rodziny, częścią grona przyjaciół, ale to nie wszystko. Istnieję niezależnie od ludzi, którzy mnie kochają i otaczają. To była samotna myśl, ale niekoniecznie nieprzyjemna.

Chatka pustelnika była miejscem obdarzonym mocą. Wcześniej w zasadzie nie zdawałam sobie z tego sprawy. Miała moc dlatego, że przetrwała fizycznie - jasne - ale nie o to mi chodzi. Jej siła brała się z doświadczeń człowieka, który tam mieszkał. Jakimś cudem izolacja sprawiła, że stopniowo wyzbywał się słabości, miękkości. Tuż przed inwazją wbijałam obuchem siekiery paliki wokół drzew. W naszej okolicy trzeba było chronić drzewa nie tylko przed królikami, lecz także przed owcami i kangurami.

Te badziewne płotki z kartonu albo plastiku nie zdają u nas egzaminu. My stosujemy drucianą siatkę, która sięga mi do pach. No więc kiedy tak wbijałam paliki, źle wycelowałam i zламаłam rączkę siekiery. Krótsza część pewnie tkwiła w głowie siekiery. To nie żadna tragedia, takie rzeczy zdarzają się dość często, więc robiłam to co zawsze: włożyłam siekiere

do kuchennego pieca, żeby spalić złamany kikut, a rano, zanim znowu rozpałam w piecu, wyjęłam ze środka stalową głowę siekiery.

Właśnie takie wspomnienie mnie nawiedziło, kiedy siedziałam w tamtej nieregularnej plamce ciepła nad strumieniem. Wspomnienie bezużytecznego drewnianego kikuta, który spłonął, by pozostawić jedynie solidną, twardą głowę siekiery. Miałam nadzieję, że to, co się ze mną stało w Wirrawee, spaliło bezużyteczne, słabe części mnie, a to, co pozostało, będzie silne. Wystarczająco silne, by stawić czoła przyszłości.

9

Nie mieliśmy żadnego prawdziwego planu. Po prostu wiedzieliśmy, że nie możemy wrócić bez Lee, a tym bardziej bez Nowozelandczyków. Kiedy nie zjawili się czwartej nocy, połączyliśmy się z pułkownikiem Finleyem przez drugie radio. Była sobota rano, piąta trzydzieści naszego czasu. Głos pułkownika Finleya był spokojny, zrównoważony i opanowany jak nigdy. Zdążyłam go już jednak dość dobrze poznać. Wyczułam napięcie. Wiedział, że coś poszło bardzo źle.

Kazał nam zaczekać do środy, a potem połączyć się z nim jeszcze raz. Miał nadzieję, że żołnierze jeszcze się pokażą.

- Jeśli do tej pory się nie zjawią, zabierzemy was stamtąd.

Zastanawiałam się jednak, czy po głowie nie chodzi mu inna myśl. Wśród trzasków i szumów powiedział, żebyśmy się trzymali i nie angażowali w żadne działania, ale nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. Przywykł do obcowania z żołnierzami. Nie mogłam się pozbyć myśli, że gdybyśmy byli w stanie cokolwiek zrobić, na przykład dowiedzieć się, co zaszło, albo nawet pomóc Nowozelandczykom, pułkownik nie powstrzymałby nas zbyt zaciekle. A gdyby przy okazji stało nam się coś złego... No cóż, pewnie by się zmartwił, to jasne, nie chcę z niego robić potwora, ale w jego bilansie zysków i strat takie poświęcenie byłoby warte ryzyka.

Dlatego zaczęliśmy ryzykować.

Najpierw zaryzykowaliśmy i wyruszyliśmy w ciągu dnia. Wiedzieliśmy, że jeśli tamci są w tarapatkach, nie możemy czekać w Piekło na ciemną noc, miły wieczór ani na długi weekend. Byliśmy już spakowani - tylko lekkie plecaki - i szybko maszerowaliśmy wzdłuż Szwu Krawca, trzymając się z dala od grzbietu, by nikt nie zauważył naszych sylwetek na tle nieba. I Bóg mi świadkiem, szliśmy szybko. Nie było czasu na rozmyślanie. Dla odmiany prowadziła Fi, która narzuciła mordercze tempo. Za nią szedł Kevin, a potem ja i Homer. Prawie biegliśmy, luźne kamyczki osuwały się i ześlizgiwały pod naszymi stopami. Z sześć razy dostałam w twarz gałęzią odchyloną przez Kevina, który przedzierał się przez zarośla, aż w końcu straciłam cierpliwość i krzyknęłam na niego:

- Uważaj trochę, dobra?!

Gdy dotarliśmy do leśnej drogi, Fi nie wahała się ani chwili. Szybkie schodzenie z góry z plecakiem to średnia przyjemność: wyginają ci się nogi w kostkach, kiedy nadepniesz na kamień, bo nie ma czasu się zastanowić, gdzie postawić stopę, bolą cię uda, bo cały czas je napinasz, żeby hamować, a do tego czujesz na plecach każdy punkt, w którym plecak nie dopasowuje się idealnie do krzywizny twojego ciała. Dyszeliśmy, pociliśmy się i z trudem łapaliśmy powietrze. Nie byliśmy tak ostrożni jak Iain i Nowozelandczycy, ale bez względu na to, jak bardzo rozpanoszyli się osadnicy, wiedzieliśmy, że tak daleko jeszcze nie dotarli. I prawdopodobnie nigdy nie dotrą. Oczywiście nie miałam pretensji do Iaina i Ursuli za tę ostrożność, ale my - w przeciwieństwie do nich - znaliśmy ten teren.

Niedaleko końca drogi wreszcie się zatrzymaliśmy. Fi poprowadziła nas ku małej polance, z której korzystaliśmy już parę razy. Rzuciliśmy się na ziemię, by przez chwilę odpocząć i złapać oddech.

- Dalej musimy iść ostrożnie - powiedziałam, stwierdzając oczywistość.
- Teraz ty nas poprowadź, Ellie - zaproponowała Fi. - To twoja ziemia.
- Kiedyś była moja - poprawiłam ją.

Wcześniej w głębi duszy zastanawiałam się, czy kiedykolwiek jeszcze zechcą, żebym ich prowadziła.

Po dziesięciminutowym odpoczynku poprowadziłam ich przez pola, licząc wyschnięte i spękane rowy, które przeskakiwaliśmy. Chciałam dokładnie wiedzieć, gdzie jesteśmy. Kiedy doszłam do wniosku, że niedługo, przy gospodarstwie Leonardów, skończą się zarośla, skręciłam w prawo i ruszyłam w stronę drogi. Być może było to trochę niebezpieczne, ale nie mieliśmy wielkiego wyboru. Trzymanie się lasu oznaczałoby pójście okrężną drogą. Tak bardzo martwiliśmy się o Lee i Nowozelandczyków, że nie było czasu na nadkładanie kilometrów. Poza tym gwałtownie opadaliśmy z sił. Prawie nie spaliśmy, a maszerowaliśmy szybkim krokiem po trudnym terenie. Wiedziłam, że ten odcinek drogi jest osłonięty drzewami, więc uznałam, że jeśli zachowamy ostrożność, będziemy mogli iść między drzewami, które zapewnią nam wystarczającą osłonę. Pod warunkiem że zachowamy ostrożność.

Ruch był niewielki. Trzy razy musieliśmy się schować, bo usłyszeliśmy nadjeżdżające pojazdy. Raz była to półciężarówka wioząca owce, jak za dawnych czasów. Raz samochód osobowy, niebieski falcon, którego nie rozpoznałam. I raz prawdziwa wojskowa ciężarówka, autentyczny sprzęt do transportu żołnierzy pomalowany na oliwkową zieleń i khaki, prowadzony przez mundurowego. Tył zasłaniała plandeka, więc nie widzieliśmy, co przewozi.

Ziemia nie wyglądała już na tak zaniedbaną jak jesienią. Przez jakiś czas myślałam, że pola uległy nieodwracalnemu zniszczeniu.

Od tamtej pory pojawiły się jednak sygnały świadczące o tym, że opiekują się nimi trochę lepiej. Minęliśmy na przykład pastwisko, na którym pasło się stado świeżo ostrzyżonych krzyżówek merynosów, a na drugim rósł ładny rzepak, któremu do żniw pozostał mniej więcej miesiąc. Wokół rosło pełno chwastów, kolcolistów, ostów i jeżyn oraz wielka kępa dziurawca, ale nie było to nic niezwykłego. Życie to ciągle walka z chwastami.

W porze lunchu znaleźliśmy się na jednym z najbardziej zdradliwych odcinków. Gospodarstwo Shannonów leży zaledwie pięć kilometrów od Wirrawee. Drogi w zasadzie nie osłaniało, więc znów musieliśmy iść przez pola. Wzdłuż ogrodzenia rosły drzewa, więc uznaliśmy, że trochę nas ochronią. U podnóża pagórka szpaler drzew się skończył, ale ogrodzenie biegło na szczyt, a potem jeszcze dalej, niczym olbrzymi zamek błyskawiczny. Wzgórze do tej pory nie zostało przygotowane pod uprawę. Było dość zarośnięte, a po drugiej stronie rosło jeszcze więcej krzaków, które oczywiście zwróciły naszą uwagę. Uznaliśmy, że jeśli uda nam się tam wejść, łatwo pokonamy parę następnych kilometrów dzielących nas od miasta.

Niższa część wzgórza była bardzo skalista, jak mała naturalna forteca. Po prawej mieliśmy gospodarstwo: niechlujną kolekcję budynków, z której pan Shannon był wiecznie niezadowolony. W ciągu ostatnich pięciu lat przestawił co najmniej trzy budynki, ale wcale to nie pomogło: narobiło jeszcze większego bałaganu. Zwłaszcza jedna szopa, którą za bardzo przysunął do domu, przez co główny budynek wydawał się jakby nieważny.

Sądząc po samochodach zaparkowanych w warsztacie i wokół niego, mieszkało tam teraz mnóstwo ludzi. Już wcześniej zauważyliśmy, że osadnicy żyją w znacznie większych skupiskach niż my. Wyglądało na to, że tam, gdzie kiedyś mieszkała jedna australijska rodzina, teraz gnieździły się cztery albo i pięć. Może to dobrze, sama nie wiem. Może ziemia była w stanie udźwignąć więcej osób, niż na niej umieszczaliśmy. Podejrzewałam, że wkrótce zaczną uprawiać wszystkie nieużytki po obu stronach drogi, te podłużne pastwiska.

W czasie suszy mogło to jednak stanowić pewien problem, bo wtedy taka pasza stawała się dość ważna.

Przemykaliśmy wzdłuż linii drzew bardzo powoli i ostrożnie. Na każdym kroku rozglądaliśmy się, czy nie nadciąga jakieś niebezpieczeństwo. Szliśmy pojedynczo, zachowując duże odstępny. Ja maszerowałam przodem, lawirując między drzewami, a tam, gdzie nie było żadnych chroniących nas pni, trzymałam się cienia. Przez cały czas

próbowałam nie myśleć o swoim ostatnim spotkaniu z wrogim żołnierzem, próbowałam się nie zastanawiać, czy przypadkiem znowu się nie załamie.

Nic jednak nie wskazywało na to, by w okolicy ktoś był. Zaczekałam na resztę u podnóża tej małej skalistej fortecy. Nie patrzyłam, jak moi przyjaciele cicho prześlizgują się wąskim pasmem pod osłoną drzew, lecz lustrowałam wzrokiem pola i budynki, wypatrując najmniejszego ruchu czegokolwiek innego niż owce, króliki, sroki albo jastrzębie.

Wokół było dość spokojnie.

Najpierw dołączył do mnie Kevin, potem Homer, a na końcu Fi. I nadal nie widziałam niczego niezwykłego.

Wstałam, trochę zdrętwiała po przykucaniu za głazem wielkości mojego biurka. Poprowadziłam resztę na granitową górę, a Kevin ubezpieczał tyły, upewniając się, czy za nami nic się nie dzieje.

Weszłam prosto w mały krater przypominający amfiteatr: zieloną misę otoczoną głazami.

I spotkało mnie tam chyba największe zaskoczenie od początku wojny.

W kraterze była grupka dzieci. Z dwanaścioro, nie miałam czasu ich policzyć. Były pochłonięte jakąś zabawą - też nie wiem jaką, ale chyba miała coś wspólnego z pistoletami, bo część dzieci miała kije, którymi celowała w kolegów, a dwoje związane sznurem jak więźniów. Kilkoro dzieci miało szarfy: postrzępione kawałki zieleni w poprzek kościstych ciał. Prawdopodobnie namiastka munduru. Większość była w bejsbolówkach na głowie.

Wycofałabym się, ale od razu mnie zauważyły. Wszystko zamarło. Wszyscy zamarli. Nastąpiła długa, długa cisza. Moje serce zaczęło bić wyjątkowo mocno, tak mocno, jakby chciało się wydostać z piersi. Gapiłam się na dzieci, a one gapiły się na mnie. Za moimi plecami cicho zaklął Homer.

- Wycofaj się - szepnął. - Szybko, zanim się połapią.

Ale one już się połapały, wiedziałam o tym. Przez myśl przebiegły mi najróżniejsze możliwości, tworząc coś w rodzaju kukaburowego chóru najdzikszych myśli. Co mogliśmy zrobić? Złapać je? Raczej nie. Było ich za dużo. Blefować? Przyłączyć się do ich zabawy i okazać przyjazne zamiary, zachować się naprawdę niewinnie? Te dzieci wydawały się na to zbyt duże, zbyt mądre. Już zaczynały się wycofywać ze strachem w oczach. Postraszyć je jeszcze bardziej? Widziałam, jak twarz jednej z nich, małej dziewczynki, zaczyna się wykrzywiać. Otworzyła usta jak czarną dziurę i rozplakała się. Było już za późno. Nagle wszystkie się rozpierzchły i z krzykiem biegły w różnych kierunkach, choć przyświecał im ten sam cel: dostać się do domu.

- Wracajcie - rozpaczliwie zawołała Fi, jakby były jedynie niegrzecznymi dziećmi na plaży.

Zupełnie tak, jakbyśmy nie zdawali sobie sprawy, że z powodu tej zgrai dzieci znaleźliśmy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. To znaczy oczywiście o tym wiedzieliśmy, ale zareagowaliśmy znacznie wolniej, niż zareagowalibyśmy wtedy, gdyby były grupą dorosłych. Zaczęliśmy biec na szczyt wzgórza, w przeciwną stronę niż dzieci, potykając się i dysząc. Słyszałam, że za moimi plecami Kevin wydaje zabawne łkające dźwięki. Przebiegliśmy jakieś sześćdziesiąt, może osiemdziesiąt metrów, zanim się zatrzymałam i odwróciłam, by spojrzeć na gospodarstwo i zobaczyć, co się dzieje.

Miałam nadzieję, że niczego nie zobaczę. Może dorośli nie uwierzą dzieciom. Może będą zbyt zajęci. Może są w polu i dom stoi pusty. Ujrzałam jednak najgorszy możliwy scenariusz: dokładnie to, co mnie przerażało. Niektóre dzieci dobiegały już do domu, wydzierając się w niebogłosość. Patrzyłam, jak dorośli wysypują się z domu niczym mrówki, kiedy nadeptnie się na ich tunel. Nawet z tej odległości wyglądali na rozłoszczonych, agresywnych. Byłam całkiem pewna, że niektórzy mają strzelby. Nic dziwnego, że trzymali je w pogotowiu na tym niegościnnym terenie. Chwilę później nie miałam już wątpliwości, że to strzelby, bo na nasz widok paru z nich przyklęknęło i uniosło broń do oka.

- Uciekajcie! - krzyknęłam do pozostałych.

Oczywiście dorośli byli daleko, ale celny strzał z oddali mógł narobić równie dużo szkód co łatwy strzał z bliska.

Stękaliśmy, pociliśmy się i biegliśmy na szczyt. Plecak na moich plecach zrobił się tak ciężki, jakby wyrósł mi garb z ołowiu. Gdy zbliżyliśmy się do wierzchołka, pomyślałam o czymś i choć bałam się zatrzymać, wiedziałam, że muszę to powiedzieć. Odwróciłam się do pozostałych. Widziałam jedynie czubki ich spoconych głów.

- Kiedy dotrzemy na szczyt - wysapałam - trzymajcie się blisko ziemi, nie prostujcie się, pokonajmy wierzchołek najszybciej, jak się da.

Byłam z siebie dumna za tę przezorność. I za to, że zaryzykowałam, by przystanąć i to powiedzieć. Na wojnach ludzie dostają medale za mniejsze zasługi. Homer jednak tylko warknął:

- A co, uważasz nas za debili?

Pozostała trójka gnała, jakby brała udział w jakimś potwornym biegu przełajowym.

Jeśli potrzebowałam jakiegoś bodźca, by biec dalej, dostałam go. Tuż obok mnie rozległ się wściekły świst przypominający piskliwą cykadę prującą z turbodoładowaniem. Potem drugi, trochę dalej. Nieważne, jak bardzo jesteś zmęczony - perspektywa śmierci od

kuli jest bardzo motywująca. Odwróciłam się i z wysiłkiem zaczęłam pokonywać ostatni odcinek dzielący mnie od szczytu, przebijając nogami, jakby były na baterie. Dotarłam na wierzchołek w tej samej chwili co Homer. Przeskoczyłam na drugą stronę, ale natychmiast się odwróciłam i podpełzałam z powrotem, by zobaczyć, co się dzieje.

Kevin i Fi, zdyszani, zrozpaczeni, z wytrzeszczonymi oczami, dotarli na szczyt i minęli mnie. Do podnóża zbliżali się pierwsi dorośli. Czterech już zaczęło wspinaczkę, ale gdy tylko na nich spojrzałam, zatrzymali się i wszyscy równocześnie - zupełnie jakby to ćwiczyli - odwrócili się i zaczęli krzyczeć do tych, którzy zostali w tyle. Domyśliłam się, co się dzieje. Co najmniej jeden z uzbrojonych mężczyzn strzelał, narażając na niebezpieczeństwo tych, którzy ruszyli w pościg. Nic dziwnego, że się zatrzymali. Byłam wniebowzięta. Dla odmiany poczuli smak własnego lekarstwa.

Nie mogłam tak po prostu leżeć i patrzeć. Fi już mnie wołała. Podniosłam się i pobiegłam za przyjaciółmi. Pędzili w stronę zarośli. Biegłam najszybciej, jak umiałam. Lasek był młody, gdzieś rosnęły kępy drzew, lecz mnóstwo innych stało samotnie wśród żółtej trawy. Zauważyłam też kilka dobrych miejsc na pastwiska, nawodnionych przez źródła.

Tym razem prowadził Homer, który wiódł nas ku jedynej gęstej kępie zarośli. Nie byłam pewna, czy to najlepszy pomysł.

- Stop! Zaczekajcie! - krzyknęłam.

Zrobili to niezbyt chętnie, ale przystanęli i odwrócili się, by zobaczyć, o co mi chodzi. Dogoniłam ich, ale tak ciężko dyszałam i byłam tak przerażona, że ledwie mogłam mówić.

- Zaczekajcie - powtórzyłam. - Ta kryjówka jest tak oczywista, że od razu zaczną nas tam szukać.

Zobaczyłam, jak na ich twarze zaczyna się wkradać wahanie, brak zdecydowania.

- Ale poza tym nie ma gdzie się schować - powiedział Homer.

- Jeśli pobiegniemy tam, jesteśmy ugotowani.

- W takim razie dokąd mamy iść?

- Oddalmy się stąd najbardziej, jak się da. Nie od razu rozpoczną poszukiwania. Zanim to zrobią, ucieknijmy jak najdalej.

Nie spierali się. Nie było czasu na kłótnie. Znowu objęłam dowodzenie i pobiegłam przez rzadki las, cały czas szukając pomysłu, jakiejś wskazówki dotyczącej tego, dokąd uciec i co robić. Nie nasuwały się żadne oczywiste rozwiązania. To był typowy, niezbyt gęsty las. Każde sto metrów wyglądało tak samo jak inne sto metrów. Zakładałam, że mamy co najmniej minutę, może dwie. Ale co z tego? Teraz wzywają pewnie helikoptery i żołnierzy. Lotnisko jest tak blisko, że zjawia się lada chwila. Mogliby otoczyć cały teren w pół godziny,

prawdopodobnie nawet szybciej. Nie było sensu szukać miejsca, które zapewniłoby nam bezpieczeństwo przez kilka minut. Musieliśmy znaleźć takie, które byłoby bezpieczne tak długo, jak długo będą nas ścigać... może cały dzień, może dwa, może trzy.

Dotarliśmy do ogrodzenia i z wysiłkiem przeszliśmy na drugą stronę. Okolica w zasadzie się nie zmieniła, lecz wśród drzew pasło się małe stado koni. Podniosły łby, zaskoczone i zaciekawione. Nie uciekły, jak można by się spodziewać. Parę z nich podeszło nawet trochę bliżej. Poczułam przyływ czułości do tych zwierząt, falę tęsknoty, która nakazywała mi pogłaskać je po chrapach i podstawić dłoń do skubania. Jednak uciekaliśmy przez własne ziemie jak przestępcy, uciekaliśmy przed kulami, by ocalić życie.

W filmie znaleźlibyśmy ukrytą jaskinię, w której moglibyśmy się schować. Albo Sam i pułkownik Finley przylecieliby po nas helikopterem. Tutaj nie było jednak tak łatwo. Ale byłam zdesperowana. Cokolwiek miało nas spotkać, nie chciałam zostać ponownie złapana. Ten rozpaczliwy strach zmuszał mój umysł do szybkiej, gorączkowej pracy. W głowie mignęło mi wspomnienie przypominające slajd na ekranie. Dotyczyło czegoś, co mój wujek Bob powiedział wiele lat temu, kiedy babcia postanowiła opuścić farmę i kupić dom w Stratton. Wujek Bob, budowlaniec, przyszedł obejrzeć dom, nad którym się zastanawiała. Okrążyłam budynek razem z nim. Ciągle spoglądał w górę.

- Na co patrzysz, wujku? - zapytałam.

Spojrzał na mnie.

- Ludzie nigdy nie patrzą w górę - powiedział. - Jeśli jakiś budowlaniec spaprzał robotę, można to poznać, patrząc w górę. Bo z pewnością był wystarczająco cwany, by na poziomie wzroku wszystko wyglądało jak trzeba.

Te słowa zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Zdaje się, że wujek powiedział to samo mojemu tacie, bo usłyszałam to także od niego kilka miesięcy później, kiedy zatykał norę oposa.

Wzięłam sobie ich słowa do serca i gdy bawiliśmy się w chowanego, czasami ukrywałam się na drzewie. Ani razu mnie nie znaleziono. W końcu przestałam tak robić, bo taka zabawa była strasznie nudna.

Gdy spojrzałam na twardą ziemię, rzadkie drzewa, brak poszycia, niezróżnicowany, nieustępliwy las i na trawę wyskubaną przez konie, pomyślałam, że słowa wujka Boba mogą być naszą jedyną nadzieją. Biegliśmy ostatkiem sił, coraz wolniej, i byliśmy coraz bardziej zmęczeni.

Odwróciłam się i krzyknęłam przez ramię:

- Będziemy musieli wdrapać się na drzewa i schować się na górze.

Nikt nie odpowiedział, więc pomyślałam, że chyba nie usłyszeli. Dlatego zawołałam jeszcze raz:

- Będziemy musieli wejść na drzewa.

Tym razem odezwał się Homer:

- Ale jeśli nas zauważą... wpadniemy w pułapkę.

Mówił zachrypniętym głosem. Wiedziałam, że jest wyczerpany. Wszyscy byliśmy.

W oddali usłyszałam warkocząco-terkocząco-bzyczący dźwięk. Znałam go aż za dobrze.

- Zbliżają się śmigłowce - krzyknęłam.

Odbiłam w lewo, ku następnej kępie drzew. Nawet się nie odwróciłam, żeby sprawdzić, czy pozostali biegną za mną. Po prostu założyłam, że tak. Gdy wbiegliśmy pod korony pierwszych drzew, w oddali mignęły mi śmigła helikoptera. Podbiegłam do drzewa, które wydawało się łatwe do wspinaczki i miało gęstą koronę. Pomyślałam o śmigłowcach i zawołałam do pozostałych:

- Wybierajcie drzewa, które mają na górze dużo liści.

Wiedziałam, że usłyszeli, bo Fi spojrzała w górę i zrezygnowała z drzewa, które sobie wybrała. Podbiegła do innego.

Zaczęłam się wspinać, ale nie znalazłam wystarczająco dobrego oparcia dla rąk, więc poddałam się i podobnie jak Fi podbiegłam do innego drzewa. Z przodu widziałam Homera, który z wysiłkiem włąził na drzewo, Fi, która była już w połowie drogi, oraz Kevina, który zrezygnował z jednego drzewa i próbował wejść na inne.

Moje drugie drzewo okazało się lepsze, ale na tym etapie to przestało mieć znaczenie. Musiało się udać. Musiałam się dostać na górę, bo nie miałam innego wyjścia. Mój plecak nigdy nie wydawał się cięższy, nigdy nie czułam większego zmęczenia i strachu, lecz to właśnie strach o własne życie sprawiał, że wspinałam się dalej. Cętkowana biała kora była chłodna w dotyku, jasnozielone liście muskały moją twarz, a gałęzie podtrzymywały ciało. Wspinałam się coraz wyżej. Trzy razy musiałam pokonać naprawdę dużą odległość, ale wyciągnęłam się i pokonałam ją. Pokonałabym ją nawet ze zwichniętym barkiem.

Warkot śmigłowca był głośniejszy, ale odniosłam wrażenie, że za nami słychać jeszcze okrzyki ludzi. Nie patrzyłam już, jak radzą sobie pozostali, nawet już o nich nie myślałam. Chciałam jedynie być bezpieczna, dotrzeć do samego wierzchołka drzewa, ukryć się w przytulnym schowku z liści. Strach czyni z człowieka egoistę. Po chwili już tam byłam, otulona świeżą, jasną zielenią, i po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że serce wali mi jak szalone, a pierś gwałtownie się unosi, łapiąc powietrze. Warkot śmigłowca przeszedł już w

dochośny ryk oddalony o zaledwie sto metrów. Przywarłam do pnia, by ocalić ukochane życie. Byłam wdzięczna za zielono-brązowy kamuflaż, który teraz wkładaliśmy już bez zastanowienia. Mimo że liście były pokrzepiająco gęste, gałęzie wydawały się cienkie, a z plecakiem na plecach sporo ważyłam. Bałam się, że gałęzie nie wytrzymają. Bałam się, że ludzie w helikopterze mnie zauważą. Bałam się, że ludzie na ziemi mnie zauważą. Cichutko pochlipywałam, trochę próbując złapać oddech, a trochę płacząc, ale nie mając pewności, czy to oddychanie, czy płacz. Tłumiłam ten szloch najbardziej, jak umiałam, czując, że przez to się udławię, że moje płuca eksplodują, ale wiedząc, że nie mam innego wyjścia.

Wtedy w otaczające mnie liście uderzył potężny wiatr, tornado. Liście gwałtownie zatrzepotały, moje włosy smagały twarz jak szalone, ubrania nadymały się, a od ziemi zaatakowała mnie burza piasku i gałązek. Ryk śmigłowca bił mnie po uszach. Mocno zacisnęłam powieki - po części po to, by ochronić oczy przed piaskiem, a po części z przerażenia. Bałam się, że helikopter urwie mi głowę, że zejdzie bardzo nisko i zafunduje mi dekapitację.

Drzewo się uspokoiło. Podmuch powietrza zelżał, ale nadal byłam ogłuszona. Ryk śmigłowca pozbawił mnie słuchu. Ostrożnie otworzyłam oczy i z ulgą stwierdziłam, że moja głowa nadal tkwi na swoim miejscu. Spojrzałam w dół, z jeszcze większą ostrożnością, i zobaczyłam coś bardziej przerażającego od helikoptera. Tuż pod moim drzewem ktoś stał.

10

Miał czarną czapkę i koszulę koloru khaki. Niczego więcej nie widziałam. To mógł być mundur żołnierza, ale nie byłam pewna. Nie sędzę, żeby miało to większe znaczenie. Ten człowiek był moim wrogiem i tylko to się liczyło. Jeśli był żołnierzem, mógł być znacznie bardziej niebezpieczny niż rolnik. Ale nie robiło mi to różnicy. Jeśli miał broń, był śmiertelnym zagrożeniem. A nawet jeśli jej nie miał, był większy ode mnie i prawdopodobnie mógł wezwać posiłki w ciągu kilku sekund.

Moje życie zależało od jego inteligencji. Gdyby spojrzał w górę i mnie zobaczył, byłoby po mnie. Gdyby tego nie zrobił, mogłabym przetrwać trochę dłużej. Zdesperowana, zaczęłam szacować odległość dzielącą mnie od ziemi. Gdybym przesunęła się o jakiś metr, mogłabym bez trudu zeskoczyć na dół. A gdyby udało mi się polecieć trochę w lewo, to zamiast spaść jak kamień, wylądowałabym na jego głowie. Co by się wówczas ze mną stało? Nie wiedziałam. Prawdopodobnie bym się nie zabiła, ale mogłabym złamać mnóstwo kości. Co stałoby się z nim? Tego też nie wiedziałam, ale czułam, że zrobiłabym mu krzywdę. Z zimną krwią podjęłam decyzję: jeśli mnie zobaczy, skoczę. Wszystko wydawało się lepsze niż ponowna niewola. Wszystko wydawało się lepsze niż zginiecie bez walki.

Tylko czy byłabym w stanie to zrobić, gdyby naprawdę zaszła taka potrzeba? Czy naprawdę byłabym w stanie? Skoczyć z piętnastometrowego drzewa? Czy zdołałabym przezwyciężyć własne instynkty i zrobić coś tak przerażającego?

Na myśl o tym wszystkim drżałam ze strachu, ale równocześnie gorączkowo nakazywałam sobie myśleć o czymś innym. Dlaczego? Z głupiego powodu: byłam przekonana, że jeśli nadal będę o nim myślała, wyczuje to jak za sprawą telepatii. Że ogromna moc moich myśli nie pozwoli mu tak po prostu stać i nie odbierać mózgiem fal energii, które skłonią go do obrócenia głowy, do powolnego zadarcia jej w górę i spojrzenia między gałęziami, między liśćmi, prosto w moje oczy.

Może rzeczywiście tak by się stało, tylko że nagle coś odwróciło jego uwagę. Kobieta w żółtym T-shircie i czarnych dzinsach przeszła przez polanę i zbliżyła się do niego. Jej twarz zobaczyłam wyraźniej. Była bardzo spocona i wyglądała na wystraszoną. Głośno mówiła, wskazując za siebie, a jej szerokie zarumienione oblicze było odzwierciedleniem mojego - w każdym razie jeśli chodzi o widoczne na nim przerażenie. Mężczyzna zrobił kilka kroków.

Miał na sobie szare dżinsy, ale raczej nie był to mundur. Powiedział coś cichym głosem. Zauważyłam, że on też dyszy i lśni od potu, a jego koszula jest mokra na plecach. Kobieta mówiła jednak dalej, szybko, szybciej, jeszcze szybciej. Obydwoje zaczęły się oddalać.

Pomyślałam, że chyba już dają za wygraną. Uchwyciłam się tej nadziei. Jeśli jednak tak wyglądał ich plan, szybko go zmienili. Prawie w tej samej chwili usłyszałam krzyk innego mężczyzny. Tych dwoje zatrzymało się i spojrzało w lewo. Potem odwrócili się, by powitać przybysza.

Jego też dobrze widziałam. I porządnie się wystraszyłam. Bo wystarczyło jedno spojrzenie, bym nabrała pewności, że tym razem mamy do czynienia z zawodowcami.

Ten facet miał około trzydziestki, gładką twarz, przenikliwe spojrzenie i mundur oficerski. Niósł dwa karabiny i jeden z nich dał drugiemu mężczyźnie. Była to czarna, paskudna rzecz z krótką lufą i dużym magazynkiem. Uniósł rękę, wskazując drzewa rosnące tam, dokąd biegliśmy. Duża plama potu pod jego pachą była jedyną oznaką stresu. Mężczyzna i kobieta oddalili się chyłkiem we wskazanym kierunku. Łatwo było się domyślić, że dostali rozkaz.

Oficer pozostał jednak na miejscu. Otarł czoło spoconą ręką, a potem wyjął papierosa z pogniecionej paczki w kieszeni na piersi. Zapalił go zapałką z jednego z tych małych pudełeczek, w których odrywa się je jedną po drugiej i tak trudno wykrzesać z nich ogień. On też miał z tym kłopot. Udało mu się dopiero za trzecim albo czwartym razem.

Gdy zajmował się papierosem, szybko spojrzałam na sąsiednie drzewa. Nie zauważyłam żadnego ruchu, żadnego znaku życia Fi ani chłopaków. Oczywiście niczego takiego się nie spodziewałam, ale i tak poczułam ulgę. Czułam się za nich bardzo odpowiedzialna. To ja wpadłam na pomysł, żeby wejść na drzewa: gdyby nam się nie udało, moje życie - które i tak było już wystarczająco zwichnięte - zostałoby zniszczone na zawsze. Nie dlatego, że bym zginęła. Dlatego że przeze mnie zginęliby moi przyjaciele.

Dym z papierosa wił się, wznosząc się coraz wyżej i otaczając moje drzewo.

Dym wije się i wznosi wokół pnia starego eukaliptusa,
Mokre liście lśnią w srebrnym świetle księżyca.

Ile razy śpiewałam tę piosenkę w podstawówce? Cienkie smużki dymu przepływały teraz obok mnie, a wszystkie znajome leśne zapachy ustępowały miejsca tytoniowej woni. Była dość przyjemna. W innych okolicznościach mogłabym się nią delectować.

Zamrugałam, kiedy dym zaszczytał mnie w oczy. Musiałam uważać, by nie dostał się do nosa, bo wtedy mogłabym zacząć kichać. To byłaby katastrofa. Znowu spojrzałam na mężczyznę w dole. Przykucnął oparty plecami o drzewo. Ile razy widziałam tatę w takiej samej pozycji? Jakże podobni byli ludzie pomimo różnych ubrań i koloru skóry. Ten mężczyzna zrobił jednak coś, co mojemu tacie nigdy nie przysłoby do głowy. Nie przyłapałabym go na tym, nawet gdybym żyła sto pięćdziesiąt lat. Leniwie zbliżył żarzący się koniuszek papierosa do kawałka kory i jak gdyby nigdy nic patrzył na powstałą w ten sposób smużkę białego dymu.

„Ty cholerny idioto! - miałam ochotę zawołać. - Odsuń tego papierosa!”

Omali nie zeszedłam na dół, żeby wyrwać mu go z ręki. Wszystko wskazywało na to, że znaleźliśmy się w samym środku długotrwałej suszy, zagrożenie pożarem było bardzo poważne. A ten kretyn bawił się zapawkami. Czy człowiek w takim wieku nie powinien być mądrzejszy? Każdy pięciolatek ze wsi wie, że bezpieczniej jest bawić się dynamitem niż zapawkami w czasie suszy. Już wcześniej pociłam się wystarczająco mocno - teraz miałam jeszcze jedno zmartwienie na głowie.

Na polanę wbiegł następny mężczyzna, bardzo niski facet w mundurze. Oficer spojrzał na niego, a potem skinął głową w stronę papierosa i kory. Powiedział coś i cicho się roześmiał. Nie rozumiałam jego języka, ale byłam całkowicie pewna, o co mu chodziło. Powiedział: „Jeśli ich nie znajdziemy, zawsze możemy ich wypłoszyć ogniem”.

O mało nie spadłam z drzewa, wstrząśnięta i wystraszona. Gdyby te matoly umyślnie wywołały pożar, wpadlibyśmy w większe, bardziej dramatyczne tarapaty niż kiedykolwiek wcześniej. Albo zostalibyśmy na drzewach i spłonęlibyśmy żywcem, albo zeskoczylibyśmy na ziemię i zarobiliśmy kulkę. Nie wiedziałam, czy oficer mówi poważnie. Jeśli tak, nie pozostawało mi nic innego, jak tylko pomyśleć, że ci ludzie nie mają pojęcia, z czym igrają. Wpadałam w panikę, czułam, że nie potrafię już logicznie myśleć.

Niski facet pobiegł z powrotem. Nie jestem pewna, czego chciał, ale chyba po prostu zameldował, że nas nie znalazł albo coś w tym rodzaju. Oczywiście nie ruszyłam się z miejsca, mimo że ochłonawszy po naszym szaleńczym biegu, byłam coraz bardziej zdrętwiała i obolała.

Rozpaczliwie chciałam się ruszyć, ale wyglądało na to, że zanim dostanę taką możliwość, upłynie sporo czasu.

Tamtego dnia pomyliłam się w wielu sprawach, ale w tej miałam rację. Minęły chyba ze trzy godziny, zanim miałam szansę się poruszyć. Kilka razy oficer zniknął z mojego pola widzenia, ale wtedy też nie śmiałam drgnąć, bo przecież mógł stać po drugiej stronie pnia,

której w ogóle nie widziałam. Helikopter przeleciał nad nami jeszcze cztery razy, raz znowu bardzo blisko, a w pozostałych wypadkach wystarczająco blisko. Za każdym razem przywierałam do drzewa i kuliłam się jak królik, nad którym przelatuje jastrząb.

Jedyną miłą rzeczą, jaka mnie spotkała, były konie, które przeszły obok. Tym razem miałam okazję dobrze im się przyjrzeć. Było ich siedem i nadal nie wyglądały na przejęte tym, co dzieje się na ich pastwisku. Ktoś o nie dbał: były dobrze odżywione - aż za dobrze - i starannie wyczesane. Lśniły jak konie, które są w dobrej formie. Parę razy przystanęły, żeby poskubać trawę, ale szybko zniknęły.

Tymczasem każda kończyna i każda kość w moim ciele jęczała z okropnego tępego bólu. W obie nogi złapał mnie skurcz. Rozpaczliwie potrzebowałam odrobiny ruchu. W końcu dostałam małą szansę. Zaczęli się schodzić ludzie, parami. Łącznie mogło ich być z dwanaścioro. Nie widziałam ich, ale wyraźnie słyszałam ich głosy: robili sporo hałasu.

Chyba składali meldunki albo może omawiali taktykę. Nie obchodziło mnie, co robią. Najważniejsze było to, że gdy tylko zjawili się pierwsi, oficer szybko ruszył w ich kierunku. Poza tym nie słyszałam warkotu helikoptera. Skorzystałam z okazji, by rozprostować nogi, potem ręce, a następnie, by pokręcić głową. Unosiłam i opuszczałam ramiona, a na końcu kilka razy zakręciłam tyłkiem.

Zacząłam jeszcze raz rozprostowywać nogi, lecz przy okazji otarłam prawą łydką o duży luźny kawał kory.

Chciałam go złapać, ale nie zdążyłam.

Za późno, pomyślałam zrozpaczona. I jakby tego było mało, wyciągając rękę po korę, straciłam długi kawał suchego drewna, a wtedy to drewno, kora oraz kilka gałązek, liści i innych suchych fragmentów drzewa spadły razem na ziemię, odprowadzane moim bezradnym spojrzeniem.

Byłam gotowa krzyknąć. Byłam gotowa skoczyć. Głośno zaszlochałam, czując rozgoryczenie i niesprawiedliwość tej sytuacji. Nie wiedziałam, co robić, dokąd pójść. Poczułam w żołądku przerażające mdłości. Kawałki leśnych śmieci spadały i spadały, objijając się po drodze o gałęzie. Czułam się tak, jakbym oglądała własną śmierć w zwolnionym tempie, nie mogąc absolutnie nic zrobić. A ponieważ pochłonął mnie deszcz drewna, nie zauważyłam terkoczącego, wściekłego warkotu helikoptera, który znów uderzył mnie w uszy. Zauważyłam jednak świeże tornado piachu i gałązek, które przeszło przez korony drzew, gdy śmigłowiec powoli je przeczesywał po raz szósty.

Chyba mój mały wodospad kory i gałązek nie został zauważony w burzy leśnych odpadków. Ten helikopter, tak zdeterminowany, by znaleźć mnie i zabić, uratował mi życie.

Gdy zdałam sobie sprawę, że nikt po mnie nie idzie, że nikt nie stoi pod drzewem i nie strzela między liście, przywarłam do gałęzi, o którą się opierałam, i odmówiłam całą najprawdziwszą modlitwę. Zastanawiałam się nawet, czy gdzieś w niebie nie czuwa nade mną Robyn. Wcale bym się nie zdziwiła. Nie wiem, czy każdy z nas rodzi się z własnym aniołem stróżem, ale doszłam do wniosku, że ja najprawdopodobniej go mam.

Dopiero po jakimś czasie znowu zaczęłam śledzić sytuację na polanie. Przez jakieś pół godziny nic mnie ona nie obchodziła. Stopniowo docierało do mnie jednak, że nasze kłopoty wcale się nie skończyły. Nadal byliśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nastąpiło późne popołudnie, słońce świeciło przez liście ostatkiem sił i ciepła, szykując się do nocnego spoczynku. Nie widziałam żadnego poruszenia na polanie, ale oczywiście nie mogłam zawierzyć tej ciszy. Nogi zdrętwiały mi bardziej niż kiedykolwiek i strasznie chciało mi się sikać. Po tym, co stało się poprzednim razem, nie śmiałam jednak drgnąć. Znowu spojrzałam na sąsiednie drzewa, próbując zobaczyć Fi, Homera i Kevina, zastanawiając się, jak sobie radzą w swoich małych gniazdkach, czy boją się tak bardzo jak ja. Żałowałam, że nie weszłam na to samo drzewo co któreś z nich.

Z lewej strony rozległ się gwizd: ostry, przenikliwy dźwięk wydany przez kogoś, kto wsunął dwa palce do ust. Zlustrowałam wzrokiem pobliski stok, ale nie widziałam, kto zagwizdał. Potem gwizd rozległ się z prawej strony i usłyszałam, jak odbija się echem na płaskowyżu. Najwidoczniej był to jakiś sygnał, na który szybko zareagowano, bo po chwili zobaczyłam ludzi powoli sunących ku miejscu obok polany. Chyba odbyli naradę, bo gdy lekki wietrzyk powiał w moją stronę, usłyszałam głosy. W pewnej chwili brzmiały tak, jakby ktoś się kłócił, potem czyjś głos najprawdopodobniej wydawał rozkazy. Nie wiedziałam, co się dzieje. Na szczęście w pobliżu nie było widać helikoptera.

Minęły wieki, zanim w końcu zaszło słońce. To typowe dla tej pory roku. Cała ta sytuacja przypominała mi stary migający film złożony z przebłysków akcji poprzedzielanych długimi chwilami szarego szumu. Z tych małych fragmentów fabuły trzeba było wywnioskować, co się dzieje. Nie chodziło o zgadywanie - należało ruszyć głową, wykorzystać każdą odrobinę inteligencji - a wiedza to władza, więc im więcej miałaś wiedzy, tym większą dostawałaś władzę.

Oczywiście tym razem nie chodziło o władzę. Chodziło o zdobycie prawa do przetrwania.

Obserwowałam otoczenie przez następną godzinę, aż wszystko spowięła zbyt duża ciemność. Potem widziałam tylko jedną osobę. Była to kobieta, która powoli spacerowała, rozglądając się. Trzymała nowoczesny karabin gotowy do strzału. Już prawie pomyślałam, że

jest sama, ale gdy zniknęła z mojego pola widzenia, coś do kogoś powiedziała... chyba. Byłam prawie pewna, że lekko się odwróciła i zaczęła mówić. W ciemności trudno było cokolwiek dostrzec. Może zwracała się do koni, które kilka minut później zjawiły się po raz drugi, prawdopodobnie przenosząc się ku lepszym kępom trawy, i co kilka minut przystawały, żeby ją poskubać.

Poza tym znowu usłyszałam helikopter. Przez piętnaście minut latały nawet dwa. Oba były daleko, tylko jeden z nich zbliżył się na chwilę wystarczająco blisko, bym. ponownie poczuła się tak, jakby głośny warkot rozlegał się tuż nade mną.

Nie widziałam go jednak. Czułam go tylko i słyszałam, i to mi wystarczało. Wyglądało jednak na to, że po zapadnięciu mroku poszukiwania straciły na intensywności. Obawiałam się, że żołnierze otoczą teren kordonem, może przyślą jakieś patrole, a potem, o poranku, znów rozpoczną poszukiwania na szeroką skalę.

Mój pęcherz pękał w szwach i czułam, że nie jestem w stanie dłużej czekać. Gdy tylko się ściemniło, wiedziałam, że muszę zaryzykować i zejść z drzewa. Modliłam się, by tym razem na polanie było pusto, by żadni żołnierze nie czekali na mnie z karabinami w rękach i wyrazem wilczej radości na twarzach. Poruszałam się powoli i ociężałe jak koala, lecz równie cicho, centymetr po centymetrze, uważnie macając w poszukiwaniu punktów oparcia, zatrzymując się i nasłuchując po każdym przesunięciu się w dół.

Najbardziej przerażające były ostatnie trzy metry. Czułam się zupełnie bezbronna. Nie miałam absolutnie żadnej możliwości obrony, a oni mogli mnie zobaczyć jak na dłoni. Mogłam zarobić kulkę w plecy i zginąć, nawet nie zobaczywszy twarzy osoby, która mnie zastrzeliła. Starłam się nie myśleć, jak by to było, ale w przeszłości dość często wyobrażałam sobie taką chwilę. Doszłam do wniosku, że siła rażenia wywołałaby szok w całym moim ciele: runęłoby w dół tak szybko i niespodziewanie, że w zasadzie niewiele bym poczuła, wszystko skończyłoby się w kilka sekund. To było jedyne pocieszenie, jakie umiałam sobie zaoferować.

Gdy moje stopy dotknęły ziemi, natychmiast przykucnęłam i szybko się rozejrzałam, próbując zobaczyć, co się dzieje na polanie. Plecak na moich plecach uderzył jednak w pień i przewrócił mnie na bok. Poza tym wielogodzinny bezruch też dawał mi się we znaki, więc nie byłam w stanie szybko się pozbierać. W rezultacie niczego nie zobaczyłam. Musiałam się wysilać, by znów stanąć na nogi. Jak zwykle nie okazałam się wysportowaną leśną wojowniczką, lecz niezdarnym misiem koala. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

Kiedy w końcu udało mi się odzyskać równowagę, przykucnąłam, by przyjrzeć się polanie. Na kilka minut naprawdę zapomniałam o pęcherzu. Jeszcze przed chwilą uznałabym, że to niemożliwe, ale to chyba kolejna korzyść płynąca ze strachu.

Na polanie panował całkowity spokój. W każdym razie przez mniej więcej dziesięć sekund. Potem usłyszałam hałas. Typowy leśny odgłos, dźwięk wydany przez innego misia koalę albo przez oposa, który po zmroku złązi z drzewa, by rozpocząć wieczorny obchód. Tylko że to nie był żaden opos. To musiał być człowiek-opos w wydaniu Fi, Kevina albo Homera. Nie czekałam jednak, by sprawdzić, w czym dokładnie. Miałam ważniejsze zmartwienie na głowie. Szybko manipulowałam przy guzikach džinsów z nadzieją, że zdążę je rozpiąć.

Mało brakowało, ale udało się.

Dopiero potem - a trochę to trwało - zadałam sobie trud, by spojrzeć, kto schodzi z drzewa. Ktokolwiek to był, dotarł już prawie na ziemię. Miałam jedynie nadzieję, że nie robiłam tyle hałasu co on lub ona. Podkraśniałam się jednak bliżej, idąc najciszej, jak umiałam. To był Homer. Chciałam go uściskać, ale nie był zainteresowany. Gnębił go ten sam problem co przed chwilą mnie. Dopiero gdy go rozwiązał, był gotów na powitanie.

Potem usłyszałam, że Kevin i Fi też schodzą z drzew. Ja i Homer rozglądaliśmy się w ciemności, mając rozpaczliwą nadzieję, że nie zauważymy żadnego śmiertelnego zagrożenia.

Gdy znów stanęliśmy w komplecie, odbyliśmy szybką szeptaną naradę. Nasze szepty były tak ciche, tak skrótowe, że cała rozmowa przypominała mi motyle dotykające leciutko liści drzew.

- Musimy stąd wiać - szepnęła mi do ucha Fi.

- Wiem. Ale mogli wysłać patrole.

- Trzeba zaryzykować - powiedział Homer niskim pomrukiem. - Jutro będzie tu zbyt niebezpiecznie.

Kevin milczał. Tylko ja się odezwałam, w dodatku niepotrzebnie:

- Bądźcie bardzo cicho.

Nie miałam do nich pretensji za spojrzenia, którymi mnie obrzucili.

11

Czy nadal oddychałam? Nie byłam pewna. Nawet przyłożyłam rękę do serca, żeby sprawdzić. Chyba poczułam jakiś ruch, bo znów zaczęłam wpatrywać się w ciemność. Szkoda, że nie miałam wzroku kota. Szkoda, że zamiast oczu nie miałam reflektorów. Szkoda, że nie cofnęłam się o rok i nie wracałam do domu po przygotowaniu szopy na zaplanowane na następny dzień strzyżenie owiec, kierując się prosto pod prysznic.

Była to jedna z tych chwil, w których musiałam być dla siebie bezwzględna. Surowa i szorstka. Wypchnęłam te miękkie, clikliwe myśli z głowy i z jeszcze większym skupieniem gapiłam się w ciemność. Jeśli miał się tam pokazać choćby najmniejszy ruch, chciałam go zobaczyć, zanim wróg zobaczy mnie. Po prawej i lewej stronie Homer i Fi, a kawałek dalej Kevin, robili to samo co ja.

Opracowaliśmy plan. Zrób dziesięć kroków, zatrzymaj się i zanim ruszysz dalej, czekaj na sygnał od pozostałych. Wyraźny znak ręką. Jeśli pozostali stoją nieruchomo, zakładasz, że coś zauważyli.

Kiedy zatem po raz enty zrobiłam dziesięć kroków, zatrzymałam się i spojrzawszy na Fi, zobaczyłam, że zastygła w bezruchu, poczułam, że moja twarz zaczyna płonąć i swędzieć. Teraz wiedziałam, że oddycham. Również zamarłam, po części z, przerażenia, a po części po to, by zasignalizować problem Homerowi.

W zasadzie nie widziałam, jak się zatrzymuje, ale poczułam, że znieruchomiał.

Bardzo cicho i wolno obróciłam głowę, by lepiej zobaczyć to, co zauważyła Fi. Oczywiście ciemność utrudniała mi zadanie. Bałam się, że od tak intensywnego patrzenia popsuję sobie wzrok.

Tak naprawdę nic nie widziałam. To uszy dały mi podpowiedź. Chrząst suchej ziemi pod stopami. W ciągu tej wojny słyszałam go już kilka razy i zawsze towarzyszyła mu świadomość, że te stopy mogą przynieść śmierć. Ciągłe myślałam, że to nieustanne patrzenie śmierci w oczy w końcu stanie się łatwiejsze, ale wcale się tak nie działo.

Wszyscy staliśmy jak pomniki. Nic więcej nie mogliśmy zrobić. Nie mogliśmy uciec i nie mieliśmy broni, więc nie mogliśmy nikogo zaatakować. To było paralizujące uczucie. Nie wiedziałam, czy Homer i Kevin w ogóle zauważyli patrol, ale ja i Fi go zauważyłyśmy. Trzy mroczne postacie idące wolnym krokiem. Cały czas rozglądały się na boki, trzymając

karabiny w pogotowiu: nie były wyluzowane i swobodne jak patrole, które widywaliśmy wcześniej, w innych czasach i w innych miejscach.

Nadal staliśmy w bezruchu. Chyba dotarli do punktu, który wyznaczał granicę ich terytorium, bo pięć minut później wrócili tą samą drogą, równie cisi, równie ostrożni i równie śmiercionośni jak wcześniej.

Gdy znowu wtopili się w ciemność, my wycofaliśmy się w przeciwną stronę. Zabawne: zrobiliśmy to jak za sprawą osmozy, telepatii albo czegoś w tym rodzaju. Po prostu wszyscy skierowaliśmy się w tę samą stronę, nie potrzebowaliśmy żadnego sygnału ani słowa.

Cały czas szliśmy w tym kierunku. Z tą samą powolną, ostrożną strategią. Jeszcze raz przecięliśmy otwarty trawiasty teren. Zaliczyłam największy szok w życiu, kiedy z nagłym cichym tętentem kopyt ukazały się konie. Tym razem były naprawdę przyjaźnie nastawione, podeszły do nas, szukając cukru, owsa albo zainteresowania. Ogarnęło mnie przerażenie i zaczęłam się gorączkowo rozglądać z nadzieją, że nikt się nie zbliża, wykorzystując konie, by odwrócić naszą uwagę. Ale nikogo nie było.

Odepchnęliśmy konie i poszliśmy dalej. Pokonaliśmy spory kawałek, po dziesięć kroków naraz, i w końcu pozwoliłam sobie na pierwszy nieśmiały promyczek nadziei. Może dali sobie spokój. Może nie mieli wystarczająco dużo ludzi, by obstać cały teren, i udało nam się ominąć ich ostatni patrol. Może...

Wtedy zobaczyłam, że Homer zastygł tak samo, jak godzinę wcześniej Fi.

Znowu się zatrzymałam. Drżałam, było mi niedobrze z wściekłości i strachu. Los nie mógł nam sprzyjać w nieskończoność. Albo teraz, albo następnym razem, albo jeszcze następnym stracimy fart. Nauczyłam się tego po ataku w Zatoce Szewca. Czy tym razem zostaniemy złapani albo zabici? Czy naprawdę miało znaczenie, kiedy dokładnie nas to spotka, skoro i tak miało się wydarzyć? Bo oczywiście miało.

Nie widziałam patrolu usłyszanego przez Homera, ale dziesięć minut później mój przyjaciel zaczął się wycofywać, powoli i cicho. Nasza trójka wycofała się razem z nim.

Spotkaliśmy się ponownie na środku trawiastego płaskowyżu. Wyglądało na to, że to jedyne bezpieczne miejsce. Zbiliśmy się w gromadkę i znowu zaczęliśmy mówić najcichszym szeptem. W każdym razie troje z nas. Fi tylko cicho płakała. Paskudna, nieustanna presja dała jej się we znaki.

Jedyną osobą, która była czegokolwiek pewna, okazał się Homer. A Homer był pewien jednego. I to bardzo.

- Musimy się stąd wydostać - powiedział. - I musimy to zrobić dziś wieczorem. Rano w żadnym wypadku nie może nas tu być. Inaczej zginiemy.

To była marna pomoc. Miał rację, ale mimo to nie znał rozwiązania problemu. Staliśmy zbici w milczącą, żalosalną gromadkę i w naszych umysłach nie było ani jednego pomysłu. Za nami stały konie, tworząc własną grupkę. One także nie wydawały się zbyt szczęśliwe. Może poczuły się urażone naszym lekceważeniem.

Z tego co pamiętam, ja i Kevin wpadliśmy na ten pomysł równocześnie.

- Konie - powiedziałam.

- Cholera, konie! - zawołał Kevin.

Homer od razu zrozumiał, ale Fi wydawała się skołowana. Nadal cicho wylewała łzy, więc może trudno jej było się skupić.

- Konie? - zapytała, wykrzywiając twarz w rozpacz.

Zobaczyłam białą linię jej blizny.

- Wyjedziemy stąd konno - szepnął Homer. - To macie na myśli, prawda?

- Galopem - potwierdziłam.

Serce waliło mi z przejęcia, ale z nadzieją - oraz za sprawą mojego starego wroga: strachu. To był szalony pomysł, zwariowany, pokręcony i być może niemożliwy do zrealizowania - nie mieliśmy jednak innych pomysłów, innej drogi ucieczki.

A mimo to... Wiązało się z nim tak wiele problemów, tyle niebezpieczeństw. Galopowanie na nieznanymi koniach przez ciemność, las, pod ostrzałem. Wystarczy, że zderzymy się z jedną gałęzią, a będziemy mieli szczęście, jeśli wyjdziemy z tego jedynie z licznymi obrażeniami twarzy i czaszki. Jeśli jedno kopyto wpadnie w króliczą norę, poszybujemy ku najbliższemu pniowi albo wylądujemy u stóp żołnierza, który w mojej wyobraźni już unosił karabin. Jeśli jedno drzewo pojawi się w niewłaściwym miejscu i koń wpadnie na nie z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, zarówno on, jak i ja zginiemy jak motocyklista po zderzeniu z betonową ścianą. Nie mieliśmy dżokejek, uprząży ani siodeł.

Jeśli koń się spłoszy, zbuntuje, stanie dęba lub zatrzyma na widok żołnierza albo na dźwięk strzałów...

- Zróbmy tak - powiedziałam, wściekła na płaczliwą nutę w swoim głosie.

Jedno mnie pocieszało. Fi, która o życiu na farmie wiedziała tyle, ile o historii rolet weneckich, świetnie jeździła konno. Brała lekcje u Daphne Morrisett, a Daphne była dumą i radością Wirrawee, bo brała udział we wszechstronnym konkursie konia wierzchowego na olimpiadzie. Niewielu z nas mogło sobie pozwolić na lekcje u Daphne, ale rodzice Fi byli

wielkimi fanami takich rzeczy jak lekcje tenisa, lekcje pianina i lekcje jazdy konnej. Fi okazała się urodzoną dżokejką i zdobyła liczne nagrody w klubie jeździeckim. Daphne powiedziała, że Fi przypomina jej ją samą, kiedy była młoda, a to naprawdę ogromny komplement.

Więc choć nam wszystkim groziło okropne i realne niebezpieczeństwo, w wypadku Fi wydawało się ono trochę mniejsze. Każde z nas mogło się martwić o siebie. Nie musieliśmy zużywać mnóstwa energii na martwienie się o Fi, która zdawała się szybko podupadać na duchu.

Gdy podeszliśmy do koni, zwierzęta pokiwały łbami i wykonały taneczny ruch. Tak to już jest z końmi. To jedna z cech, które zawsze w nich lubiłam. Ich miękkie chrapy trącały nas i wpychały się do kieszeni. Łagodne, lecz zaskakująco silne i zdeterminowane zwierzęta. Znowu sobie przypominałam, jakie są silne.

Ale niewystarczająco silne, by zatrzymać kulę.

Każde z nas wybrało jednego konia. Ja zdecydowałam się na kasztanka wałacha, trochę podtuczzonego, jak one wszystkie. Pozwoliłam, żeby obwąchał mi ręce. Dałam mu szansę oswojenia się ze mną. Pogładziłam go po chrapach i szyi, potem przesunęłam dłoń po boku. Czułam jego napięcie, drżące mięśnie. To były konie pociągowe, przyzwyczajone do pracy, do trudnych zadań i nerwowych jeźdźców. Kasztanek wyczuł mój nastrój i zaczynał się coraz bardziej denerwować.

Pomyślałam, że najlepiej jak najszybciej go dosiąść. Homer przytrzymał go za szyję, a Fi pomogła mi wejść na grzbiet. Bez strzemion nie było to takie proste. Ale tym razem miałam prawo dosiąść konia jako pierwsza, bo byłam najniższa z naszej czwórki i prawdopodobnie najgorzej jeździłam konno. Przesunęłam się w stronę szyi konia i złapałam równowagę. Kasztan zadrżał i próbował potrząsnąć grzywą. Raczej od dawna nikt go nie dosiadał.

- Zawsze się denerwują, kiedy nie ma siodła - wyjaśniła Fi.

Jak można było się spodziewać, gdy tylko Homer i Fi go wypuścili, koń szybko ruszył przed siebie. Szedł bokiem, dopóki przekleństwami szeptanymi na ucho i kopniakami nie przekonałam go, żeby się zatrzymał. Kevin dosiadł swojego konia podobnie jak ja, z pomocą Fi i Homera. Zrobił to niezbyt elegancko. Przez chwilę leżał na końskim grzbiecie, próbując się wyprostować i zwrócić we właściwą stronę. Siedział na brązowym wałachu, który puścił się w krótki galop, mimo że Homer nadal trzymał go za szyję. Kiedy jednak Kevin się wyprostował, a Homer wypuścił konia, zwierzę się uspokoiło.

Bałam się, że za bardzo hałasujemy, ale co mogliśmy na to poradzić?

Nic.

Fi pomogła Homerowi dosiąść dużą czarną klacz, która natychmiast zabrała go na szybką przejażdżkę po polanie. Konie naprawdę zaczynały się niecierpliwić. To było dla nas dobre i zarazem złe. Chcieliśmy, żeby popędziły najszybciej, jak się da, ale nie chcieliśmy, żeby nas zrzuciły. Fi dosiadła konia jako ostatnia. Myślałam, że bez niczyjej pomocy będzie miała problem, ale cały czas spokojnie mówiła do konia. Gwałtownie kręcił łbem i wierzgał, ale chyba jej słuchał. Podprowadziła go do pniaka, na który następnie weszła, nie przestając szeptać do konia. Potem szybkim, zwinnym susem wskoczyła mu na grzbiet i z łatwością usiadła. To było wkurzające.

Tak więc byliśmy gotowi do pierwszej i być może ostatniej wspólnej przejażdżki. W głowie mignęła mi myśl o czterech jeźdźcach Apokalipsy. Kim oni byli, do diabła? Nie miałam pojęcia, ale odniosłam wrażenie, że być może to właśnie my: czterej jeźdźcy galopujący ku apokalipsie.

Ledwie panując nad końmi, próbowaliśmy obrać jakiś kierunek. Ten, na który się zdecydowaliśmy, pod wieloma względami był najgorszy z możliwych: ruszyliśmy w stronę Wirrawee. Po raz kolejny - jak to często bywało podczas tej wojny - nie mieliśmy jednak innego wyjścia. Za nami, wokół gospodarstwa Shannonów, teren opadał, czyniąc nocny galop zbyt niebezpiecznym. Po lewej i prawej rósł zbyt gęsty las. Nie chcieliśmy jechać prosto do miasta, lecz nadal dzieliło nas od niego jakieś dwa i pół kilometra, więc uznaliśmy, że zdołamy zeskoczyć z koni, zanim znajdziemy się na Barker Street i przyjdzie nam przystanąć na czerwonym świetle.

Oczywiście chcieliśmy się dostać do Wirrawee. Pytanie tylko jak i kiedy.

W każdym razie było to najmniejsze z naszych zmartwień. Potrafiliśmy myśleć tylko o tym, jak się przebijemy przez kordon patroli, uzbrojonych i śmiercionośnych żołnierzy. W porównaniu z tym żadna inna sprawa nie była warta naszych nerwów.

Ucisk w żołądku podpowiedział mi, że pora ruszać. Najlepiej, jak umieliśmy, odwróciliśmy łby koni, zwracając je w stronę mniej zadrzewionej części płaskowyżu. Spojrzałam na Fi i nerwowo się uśmiechnęłam, ale była zbyt zajęta koniem i za bardzo oddalona, by to zobaczyć. Próbowalam oszacować, ile czasu zajmie nam ominięcie żołnierzy. Pewnie z półtorej minuty, najwyżej dwie. Wszystko zależało od tego, jak szybkie są nasze wierzchowce, jak bardzo spowolniły je miesiące dobrej trawy i niewielkiego ruchu, z jak wielkim oporem podejda do nocnego galopowania przez las... a z drugiej strony, jak bardzo się rozkręca, jak bardzo się rozpędzą i jak bardzo pobudzimy je do biegu. Najważniejsze było to, byśmy nabrali takiej prędkości, która pozwoli minąć patrole w pełnym galopie. Potem

oczywiście przyjdzie pora na wielką próbę: jak zareagują konie, kiedy ktoś zacznie do nich strzelać. Miałam niejasne poczucie, że policyjne konie są specjalnie szkolone przy dźwiękach pękających przy uszach torebek, które mają je oswoić ze wstrząsami i głośnym hukiem. Nasze konie stwarzały wrażenie zwierząt, które na dźwięk wystrzału wpadną w panikę.

Homer rozejrzał się. Usłyszałam, jak pyta nas szeptem:

- Gotowi?

Kiwnęłam głową i wychrypiałam, że tak. Nagle w ustach i w gardle zrobiło mi się tak sucho, że język zdawał się puchnąć i wypełniać całą buzię. Nie spojrzałam na pozostałych, ale domyśliłam się, że też odpowiedzieli twierdząco, bo Homer odwrócił się z powrotem, mocno klepnął konia i ruszyliśmy.

To było niewiarygodne: najdziwniejsze doznanie w moim życiu - przerażające, lecz w pewnym zwariowanym sensie naprawdę wspaniałe. Gdy ruszyliśmy, mój koń odbił w bok - ta sytuacja raczej nie przypadła mu do gustu - i zanim go zawróciłam i zmusiłam, by biegł prosto, pozostali byli już pięć długości przede mną. Poza tym szybko się rozpędzali. Konie natychmiast zrozumiały, o co chodzi. Może tęskniły za porządną gonitwą. Tak czy siak, ich reakcja naprawdę mnie zaskoczyła. Już po kilku sekundach pędziły przez noc, pot na mojej twarzy zaczynał stygnąć, a przed sobą miałam duże zady pozostałych koni, ich fruwające ogony i troje jeźdźców, którzy przywarli do grzbietów z pochylonymi głowami, trzymając się - tak jak ja - jakby od tego zależało ich życie. Było to zdecydowanie najdziwniejsze doznanie, a najdziwniejszym jego elementem była cisza. Oprócz szybkiego tętentu kopyt i gwałtownego oddechu koni nie słyszałam żadnego dźwięku.

Przez pierwsze dwieście metrów byliśmy na otwartym polu. Najbardziej zagrażały nam królicze nory. Skierowałam konia lekko w prawo i zaczęłam doganiać resztę. Zbliżałam się do terenu, na który wolałam nie patrzeć, ale wiedziałam, że prędzej czy później będę musiała. Był to ciemny, bardzo ciemny las. Czułam się jak leming pędzący na skraj urwiska. Tutaj nie było urwiska - przynajmniej taką miałam nadzieję - ale czekały na nas śmierć i zniszczenie. Byliśmy głupi, myśląc, że można tak galopować w kompletnej ciemności i liczyć na przetrwanie. To było samobójstwo.

I nagle znaleźliśmy się w lesie. Gdy w nim zanurkowaliśmy, głęboko zaczerpnęłam powietrza. To było jak przejażdżka czymś, co nazywało się super chiller, którą zaliczyłam kiedyś w wesołym miasteczku. Wtedy też wstrzymałam oddech. Tkwiłam na szczycie pionowej wieży i czułam, że mała klatka, w której siedzę, runie prosto na ziemię, roztrzaskując się na milion kawałków.

W tamtym lesie myślałam, że zderzymy się z gąszczem drzew, skał i krzaków, rozbijając się na milion kawałków.

Konie dziko zarzucały łbami, ale nie zwalniały tempa. Te zwierzęta bywają szalone. Pamiętam, jak odbywała się gonitwa przełajowa w ramach mistrzostw południowych okręgów, której gospodarzem było liceum w Wirrawee. Nie startowałam w niej, ale zgłosiłam się na ochotnika do pomocy, żeby nie musieć iść na lekcje. Ustawiono mnie przy bramie posiadłości Murdochów, gdzie miałam dopilnować, by jeźdźcy nie pomylili drogi. Niedaleko domu Murdochów była zagroda, w której trzymali świeżo zakupionego źrebaka. Im więcej jeźdźców tamtędy przejeżdżało, tym bardziej zwierzę się niecierpliwiło. Źrebak zaczął galopować w zagrodzie, coraz szybciej, coraz bardziej szaleńczo. Już wkrótce rozpędził się i w ostatniej chwili zatrzymywał przed ogrodzeniem. Był tak nabuzowany, że zaczęłam się o niego martwić. Pobiełam do domu, żeby powiedzieć o tym Murdochom, ale gdy byłam pięćdziesiąt metrów od drzwi, rozpędzony źrebak wpadł na ogrodzenie. Chyba po prostu zapomniał się zatrzymać. Wyzionął ducha, zanim do niego dobiegłam. Złamał kark. Nigdy tego nie zapomnę. Był pięknym koniem. Stara Tammie Murdoch była zdruzgotana. Nigdy więcej nie pozwoliła, by trasa wyścigu biegła przez jej posiadłość, choć oczywiście zawodnicy nie byli winni tej tragedii.

W każdym razie koń na którym teraz jechałam, też nie zwolnił. Gnał najszybciej, jak umiał. Przejazdzka nie była już wspaniała, lecz potwornie przerażająca. Przywarłam do końskiego karku, ale jednocześnie próbowałam trzymać głowę lekko uniesioną, żeby zobaczyć to, w co za chwilę uderzymy. Chciałam to zobaczyć, zanim się na tym rozplaszczę. Wokół panował już spory hałas. Z lewej słyszałam jedynie trzask i łomot, gdy pozostała trójka gnała przez zarośla. Wyglądało na to, że żadne z nich nie zwolniło. Pisnęłam, kiedy niska gałąź śmignęła mi tuż nad głową, omijając ją zaledwie o centymetr. W tej samej chwili koń gwałtownie szarpnął w bok i omal nie spadłam. Gdy pień młodego drzewka uderzył mnie w stopę, ucieszyłam się jednak z tej gwałtownej reakcji.

Znowu spojrzałam do przodu i tym razem głośno krzyknęłam. Czułam się taka bezradna. Byłam pewna, że zginę. Zaledwie kilka metrów przed nami rozciągał się gąszcz eukaliptusów średniej wielkości, w którym w tych ciemnościach nie widziałam żadnej szczeliny. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko pochylić głowę, zanurzyć twarz w końskiej grzywie i czekać na zderzenie.

I zderzenie rzeczywiście nastąpiło. Niska gałąź, solidna i twarda, uderzyła mnie w górną część pleców, a potem jeszcze raz w tyłek. Nigdy w życiu nie dostałam takiego lania.

Trzymałam się kurczowo. Koń sapał i parował. Smagały mnie gałęzie. Mimo to kopnęłam go w zębra, żeby biegł dalej. Wiedziałam, że nie wolno nam się zatrzymać. Czułam okropny ból, jakby ktoś sprzął mnie po plecach słupem telegraficznym, ale wiedziałam, że ból od kuli byłby gorszy. Potem wychłostały mnie liście i cieńsze gałązki. Gnaliśmy przez następny, rzadszy zagajnik. Miałam wrażenie, że gałęzie wyrwały mi wszystkie włosy z głowy. Chciałam stchórzyć i zatrzymać konia, ale zdałam sobie sprawę, że nie mam na niego wpływu. Gnał przed siebie i zatrzymałby się tylko, gdyby padł. Dyszałam z bólu, szoku i strachu. Nie słyszałam już pozostałych. Nie miałam pojęcia, co się z nimi dzieje.

Potem sytuacja znowu się zmieniła. Poczułam to nie tyle dlatego, że liście przestały mnie smagać, ile dlatego, że zmieniło się powietrze. Było chłodniejsze. Było go więcej. Znowu odważyłam się podnieść głowę. Z lewej usłyszałam chyba wołanie Homera albo Kevina. Nie potrzebowałam jednak podpowiedzi. W lepszym świetle, na tym mniej zarośniętym terenie, od razu zobaczyłam to, co oni.

Żołnierzy było trzech i szybko zareagowali. Zbyt szybko. Bez wątpienia usłyszeli, jak nadjeżdżamy. Prawdopodobnie nie wiedzieli, co właściwie się dzieje, ale tętent końskich kopyt wzmógł ich czujność. Dwóch przykłękało, unosząc karabiny. Ich koleżanka najwidoczniej wołała stać, ale ona też była już prawie w pozycji do strzału.

Dałam koniowi następnego rozpaczliwego kopniaka w zębra. Szarpnął do przodu. To był dobry koń. Szybki. Byłby fantastyczny, gdyby ktoś nad nim popracował. Podejrzewam, że miał w sobie trochę czystej krwi. Biedny, piękny kasztanek. Noc, w której mnie poznał, przyniosła mu pecha.

Nawet nie usłyszałam strzałów. Nie tak jak dawniej. Widziałam jeden wystrzał, a przynajmniej zobaczyłam błysk płomienia przy żołnierzu, który stał prawie dokładnie naprzeciwko mnie, odrobinę w prawo. Nie wiem, ile strzałów oddał. Wiem, że celowo skierowałam na niego konia, który go stratował.

Staram się opowiadać o tym bez emocji. Czasami czuję, że mam już dość emocji, a wtedy zamykam się w sobie i próbuję niczego nie czuć. Nie wiem, czy to działa, nie wiem, czy to dla mnie dobre (Andrea powiedziałaaby, że nie), ale wiem, że tylko tyle jestem w stanie zrobić.

No więc stratowałam człowieka. Kiedy się do niego zbliżyliśmy, koń jakby stanął dęba, ale w zasadzie się nie wahał. Biegł zbyt szybko, by się zatrzymać albo skręcić. A żołnierz był zbyt powolny. Próbował oddać jeszcze jeden strzał. W pewnym sensie postępował właściwie - z jego punktu widzenia. Wiedział, że jeśli uda mu się strzelić, trafi w konia. Zresztą trafił w niego, ale wtedy nie zdawałam sobie jeszcze z tego sprawy. A żołnierz

chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, że tak rozpędzonego konia nic nie jest w stanie zatrzymać. To jak próba zatrzymania dwudziestopięcioletniego kenwortha z przeciętym przewodem hamulcowym. Wydaje mi się, że w chwili zderzenia z człowiekiem taki koń mógłby już nawet nie żyć. I pewnie nie żył. Ten mały zryw, który zrobił na moment przed runięciem na żołnierza, prawdopodobnie był chwilą jego śmierci.

Zamknęłam oczy i krzyknęłam, gdy uderzyliśmy w żołnierza. Dzięki Bogu, nie widziałam jego twarzy. Potem miałam inne zmartwienia na głowie, bo koń z impetem padł na kolana. Mocno uderzył o ziemię. Wyrznął w nią z przerażającą siłą. Gdy zaczął upadać, nie wiedziałam jeszcze, że nie żyje. Myślałam, że stracił równowagę. Od razu próbowałam jednak uniknąć zmiżdżenia. Bo gdy padł, zaczął się turlać. Wtedy zrozumiałam, że musi być martwy. Miał w sobie jakiś niewiarygodny brak życia. Nagle stał się jedynie wielką górą martwego ciała. Nie miałam jednak czasu, by się nad tym zastanawiać. Koń poturlał się w prawo, a ja rzuciłam się w lewo. Przynajmniej nie musiałam się martwić, że zaplączę się w strzemiona. To była jedyna korzyść z jazdy na oklep.

Upadek sprawił, że przez chwilę nie mogłam oddychać. Leżałam, czując ból w żołądku, i chwyciłam powietrze, wydając ciche, świszczące odgłosy. Z lewej słyszałam strzały, czyli co najmniej jeden żołnierz nadal strzelał. Odzyskałam oddech - choć nie całkiem - więc podźwignęłam się na czworaka. Poza tym nadal bolały mnie plecy i tyłek. Zignorowałam to i uklęknęłam. Spojrzałam w lewo. Zobaczyłam jedynie Fi, która obracała się, siedząc na koniu. Nie miałam pojęcia, jak się znalazła w tym miejscu. Była za mną i próbowała skierować konia w moją stronę, mimo że mnie nie widziała. Może zwierzę spłoszyło się na widok żołnierzy albo coś w tym rodzaju.

Nie wydaje mi się, by komukolwiek innemu udało się zapanować nad tym koniem. Zachowywał się jak wariat. Jednak Fi, pomimo braku siodła, odzyskała nad nim kontrolę. Ruszyła w moją stronę. Uświadomiłam sobie, że za chwilę przejedzie dziesięć metrów od miejsca, w którym klęczę.

Nigdy wcześniej nie wzywałam Fi na pomoc. Nie w taki sposób. Nie rozpaczliwym głosem, który mówi: „Zaryzykuj dla mnie własnym życiem”. Nigdy wcześniej jej o to nie prosiłam. Byłam jednak zbyt spanikowana, by zrobić coś innego. Co kilka sekund rozlegały się kolejne strzały, ale chyba nikt nie mierzył do Fi. Nie widziałam ani Homera, ani Kevina. W tamtej chwili potrafiłam jednak myśleć wyłącznie o sobie. Nie chciałam zostać na klęczkach w tych bezimiennych zaroślach, gdzie czekała mnie śmierć. Nie chciałam umierać w samotności. Nie miałam odwagi Robyn.

Dlatego wykorzystałam całe powietrze, które miałam w płucach, i zawołałam:

- Fi! Fi! Proszę, pomóż mi!

Już gdy to krzyknęłam, miałam poczucie winy. Wiedziałam, że narażam Fi na okropne niebezpieczeństwo. Ale chyba Bóg mnie usłyszał. Mój koń stoczył się ze wzniesienia i leżał za powalonym drzewem, więc chyba nawet go nie zauważyła.

Ale mnie usłyszała. Zwróciła konia w moją stronę i zmusiła go, żeby się zatrzymał, co nie było łatwe. Pokuśtykałam do miejsca, w którym uspokajała konia, próbując go nakłonić, żeby znieruchomiał. Rozglądałam się w poszukiwaniu pieńka, po którym mogłabym wsiąść na jego grzbiet. I wtedy nie tyle zobaczyłam, ile poczułam ruch z prawej strony, prawie za moimi plecami. Odwróciłam się i w słabym świetle zobaczyłam żołnierza. Sądziłam, że w ciągu ostatniej minuty strzelanina ustała albo coś w tym rodzaju, a poza tym nie zwracałam na nią większej uwagi, lecz gdy tylko zobaczyłam tego faceta, pomyślałam: „No tak, zabawne, od jakiegoś czasu nie było słychać strzałów, a zresztą koleś jest zbyt blisko, nie mógł strzelać tak daleko”.

Żołnierz był w kiepskiej formie. Wyglądał trochę jak ja, też słał się na nogach, z tą tylko różnicą, że on miał karabin, a ja nie. Próbował unieść broń do strzału, więc mroczna część mojego umysłu, która jeszcze działała, zrozumiała, że jest ranny i nie funkcjonuje najlepiej. Ale oczywiście nie trzeba funkcjonować zbyt dobrze, kiedy ma się karabin. Wpatrywał się w Fi i domyśliłam się, że gdy już zastrzeli ją, załatwi także mnie. Wiedziałam, że narażam Fi na śmiertelne niebezpieczeństwo. Nic nie mogłam zrobić. Mężczyzna był za daleko, bym mogła go dosięgnąć. Fi była do niego zwrócona plecami i też nie mogła nic zrobić. Za chwilę miała zginąć od strzału w plecy. Facet nie mógł chybić: nawet jeśli był ranny, trudno spudłować, gdy ma się przed sobą nieruchomy cel w tak niewielkiej odległości.

Krzyknęłam do Fi, chociaż to było bez sensu, ale podobnie jak w wypadku innych rzeczy, które robię instynktownie, wcale nie potrzebowałam sensu. W odpowiedzi tylko zawołała:

- Szybko! Szybko!

Uznała, że nie warto się przejmować tym, co dzieje się za jej plecami. Odważne posunięcie. Dało mi siłę do działania - choć byłam przekonana, że za chwilę obie zginiemy. Pomyślałam, że lepiej zginąć w działaniu, niż dać za wygraną. Dlatego chwiejnym krokiem ruszyłam w stronę pniaka, patrząc na żołnierza i wyciągając do niego ręce jak jakaś idiotka, jakbym zamierzała zatrzymać kule.

I wtedy zobaczyłam Homera.

Cholerny Homer, pomyśleć, że zawdzięczam życie akurat jemu. Ale to prawda. Nie jest najlepszym jeźdźcem na świecie, ale idzie mu całkiem nieźle i jakimś cudem zdołał

zapanować nad koniem. Pędził na tego żołnierza od tyłu z prędkością miliona kilometrów na godzinę. Żołnierz usłyszał go w ostatniej chwili i zaczął się odwracać. Raz już oberwał i gdy tylko zobaczył Homera, musiał sobie uświadomić, że nie ma szans, bo nawet nie próbował strzelać, tylko odrzucił karabin. I już w następnej sekundzie runął pod kopytami konia. To okropny widok, przerażający. Koń pędzący z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, jego masa, kopyta twarde jak skały. Ten człowiek dostał chyba kopytem w twarz i prawdopodobnie zginął, zanim upadł na ziemię, choć nie mogę mieć co do tego pewności. Nie traciliśmy czasu, żeby to sprawdzić.

Koń Homera potknął się, a ja wstrzymałam oddech, modląc się, żeby nie upadł. Strasznie się bałam, że jednak nie da rady. Jakimś cudem odzyskał jednak równowagę. Na chwilę zniosło go w bok i zrobił kilka drobnych, niepewnych kroków, ale potem było już w porządku i Homer skierował go we właściwą stronę, ku Wirrawee. Nie stałam bezczynnie, przyglądając się temu. Podbiegłam do pniaka i niezdarnie wgramoliłam się na koński grzbiet tuż za Fi. Było ciężko, bo nadal miałyśmy plecaki, więc musiałam się złapać plecaka Fi i usiąść dalej niż zazwyczaj.

Fi nie czekała zbyt długo, aż się zorganizuję. Zawróciła konia i nagle, z szarpnięciem, ruszyłyśmy naprzód. Zupełnie inaczej niż poprzednim razem nie chciałyśmy, by konie galopowały, lecz one były zbyt podniecone i nadal chciały pędzić jak szalone. Jak już wspomniałam, te zwierzęta bywają naprawdę postrzelone. Nie są tak rozsądne jak owce.

Ruszyłyśmy za Homerem, mając nadzieję, że przed nim pędzi Kevin. Po chwili konie trochę się uspokoiły, chyba głównie dlatego, że miały już dosyć tak wielkiego wysiłku. Zanim uspokoiły się na dobre, przeżyliśmy jednak kilka kolejnych chwil mrozących krew w żyłach, gdy nurkowaliśmy pod gałęziami i wykonywaliśmy gwałtowne zwroty, by ominąć pnie drzew. W końcu dotarliśmy do ogrodzenia, a kiedy spojrzeliśmy daleko w lewo, ujrzeliśmy bramę, przy której czekał na nas Kevin.

12

Konie głośno parskały i były bardzo zdenerwowane. Dostały okropny wycisk. Koń Kevina utykał, a Homera miał podrapane, zakrwawione nogi i paskudną ranę szarpaną z boku. Naprawdę wymagała szycia, ale szanse na zapewnienie tym biednym zwierzętom pomocy weterynaryjnej były równie duże jak prawdopodobieństwo, że zjemy śniadanie w McDonalddie.

Postanowiliśmy je zostawić. Byliśmy już bardzo blisko Wirrawee i nie mogliśmy ryzykować, że ktoś usłyszy zwierzęta. Nie podobało mi się, że opuszczamy konie w takim stanie, ale miałam nadzieję, że rano ich nowi właściciele zapewnią im odpowiednią opiekę. Bez wątplenia miały pecha, że nas spotkały. Nie tylko dostały okropny wycisk, lecz w dodatku straciły jednego z przyjaciół.

Współczułam im tej straty.

Tak więc zostawiliśmy konie, wszystkie trzy, a one znowu zbiły się w gromadkę, tyle że teraz wydawały się wstrząśnięte, przygnębione i obolałe. Miały spuszczone łby. Nie zdziwiłabym się, gdyby po czymś takim nie zaufały już żadnemu człowiekowi. W geście podziękowania szybko poklepałam konia Fi po chrapach, ale nie sędzę, żeby miało to dla niego większe znaczenie.

Szliśmy do Wirrawee najszybciej, jak umieliśmy. Sami też byliśmy dość wstrząśnięci i obolali, ale nie było czasu się tym przejmować. Ledwie pokonaliśmy pół kilometra, usłyszeliśmy za sobą nieprzyjazne dźwięki. Najpierw huk wystrzału, potem gwizd, może dwa, głośne, gorączkowe i przeciągłe. Wyteżyliśmy słuch i przyspieszyliśmy kroku. Potem było cicho. Wiedzieliśmy jednak, że wyruszyła pogoń. Żadna zemsty.

Mimo wyczerpania szliśmy jeszcze szybciej i jak najczęściej puszczaaliśmy się biegiem. Próbowałam oszacować, w którym miejscu wejdziemy do Wirrawee. Myślałam, że mniej więcej w okolicy Coachmans Lane. Nie pytałam pozostałych. Nie miałam odwagi się odezwać. Po części dlatego, że to było zbyt niebezpieczne, lecz również dlatego, że wszyscy wydawali się okropnie spięci. Już sam widok ich twarzy uzmysławiał mi, co czują. Wyglądały tak samo: wytrzeszczone oczy, które jednak nie skupiały się na niczym konkretnym, drżące usta, zmarszczone brwi. Nie tworzyliśmy ładnego obrazka.

Pędziliśmy coraz szybciej. Przestaliśmy już iść i przemieszczaliśmy się czymś między truchtem a biegiem. Z tyłu rozległ się następny gwizd, tym razem znacznie bliżej, i na jego dźwięk naprawdę zwiększyliśmy obroty. Najbardziej liczyliśmy na to, że błyskawicznie dotrzemy do Wirrawee, bo długa pogoń przez las skazałaby nas na klęskę. Nie mieliśmy już siły, szybkości ani wytrzymałości. Ulice Wirrawee stwarzały przynajmniej szansę na wykorzystanie mózgow dla zdobycia przewagi.

Gdy w oddali po raz pierwszy mignęło nam Wirrawee, zaczęliśmy działać w zasadzie instynktownie. Prawie zgadłam, w którym miejscu wejdziemy do miasta: trafiliśmy na odnogę Coachmans Lane - było tam mnóstwo małych krętych uliczek o nazwach odwołujących się do wschodu słońca i różnych faz księżyca. Nie wiem, na której dokładnie się znaleźliśmy. Wyszliśmy z rzadkiego lasu i zbliżaliśmy się do domów, które niedawno wzniesiono na obszarze hektara albo i większym. Nie były dobrą osłoną. Budynki dopiero co powstały, więc drzewa posadzone przez właścicieli były najwyżej mojego wzrostu. Rosło tam sporo trawy i niewiele ponad to. Podczas weekendów w czasie pokoju widywało się tam właścicieli na małych traktorkach do koszenia trawy, którymi krążyli po swoich parcelach.

Oczywiście dla nas cała ta trawa była bezużyteczna.

Rozproszyliśmy się, przeszliśmy przez pierwszy płot, jedno po drugim, i ostrożnie zaczęliśmy przemierzać podwórze. Stał na nim kremowy, obłożony cegłą dom, dość duży, ze zwirowym podjazdem i huśtawką dla dzieci z tyłu. Okolica była pogrążona w ciemności, a w dodatku, ponieważ znajdowaliśmy się dopiero na skraju miasta, nie świeciły się żadne uliczne latarnie. Z tyłu rozległ się jednak następny gwizd i w tej samej chwili zobaczyliśmy reflektory, które sunęły ulicą w naszą stronę. Mogły należeć do dwóch pojazdów, może do trzech.

- Wynośmy się stąd - powiedział Homer.

Przypomniałam sobie, jak kiedyś Lee powiedział, że to najczęściej używana kwestia w filmach. Poczułam nagłe ukłucie tęsknoty za Lee, zapragnęłam go dotknąć i potrzymać za rękę. Pewnego dnia poukładałam sobie to, co do niego czuję, ale na pewno nie w chwili, kiedy wybiegam z lasu przed świtem, ścigana przez żołnierzy, którzy zbliżają się do nas z dwóch stron, gwałtownie odcinając drogę ucieczki.

Odbiliśmy w innym kierunku, na wschód. Z początku myślałam, że Homer wybrał ten kierunek przypadkowo, ale potem zdałam sobie sprawę, że oddaliśmy się od dróg, tak by każdy, kto nas ściga, musiał być zdany na własne nogi. Trochę nam to pomogło, ale niewiele, bo byliśmy tak zmęczeni, że pozostało nam mało energii na ucieczkę. Noc była gorąca i

spływaliśmy potem. Na domiar złego teren zaczął się wznosić, co oznaczało prawdziwą mordęgę.

O dziwo, nadal mieliśmy na plecach plecaki, choć one jak zwykle nas spowalniały. Za to żołnierze musieli pewnie taszczyć karabiny. Biedactwa.

Wdrapaliśmy się na boczną grań i mozolnie parliśmy ku szczytowi. Nagle zrozumiałam, gdzie jesteśmy. Trudno powiedzieć, by Wirrawee miało jakiś punkt widokowy, bo w zasadzie nie ma tam na co patrzeć. Klub Rotariański wzniósł jednak coś takiego, wiele lat temu. I właśnie zbliżaliśmy się od tyłu do tego miejsca. Byłam tam tylko raz w życiu i niewiele pamiętałam z tej wycieczki. Do punktu widokowego prowadziła żwirowa droga, obok której stał kopiec ułożony z ciemnych kamieni scementowanych razem i zwieńczonych tabliczką. Raczej kiepska atrakcja turystyczna.

Dotarcie na szczyt zajęło nam kolejne pięć minut, mimo że wcale nie było daleko. Poruszaliśmy się tak wolno, że równie dobrze moglibyśmy biec w miejscu. Punkt widokowy wyglądał w zasadzie tak, jak przypuszczałam. Był tam kopiec, parę stołów piknikowych i gazowy grill: w świetle księżyca niczego więcej nie widziałam.

Byliśmy ugotowani. Gdybyśmy mieli karabiny, pewnie moglibyśmy się zatrzymać i stawić opór, witając ogniem każdego, kto wychyliłby się zza pagórka. To byłoby dobre miejsce na taką akcję, bo my bylibyśmy kryci, a oni nie. Moglibyśmy ich wykosić, a potem uciec do lasu.

Było to jednak niemożliwe. Nie mieliśmy broni. Ale musieliśmy coś zrobić. Dobrze wiedzieliśmy, że daleko już nie zajdziemy. Byliśmy u kresu wytrzymałości. Spojrzałam na pozostałych, a oni spojrzeli na mnie. Wyglądali jak siedem nieszczęść: wynędzniali, przestraszeni i wyczerpani. Wiedzieli, czego chcą. Następnego pomysłu w rodzaju tego z koźmi. Przez chwilę czułam złość. Dlaczego oczekiwali, że coś wymyślę? Czyżby nie mieli własnych mózgów?

Potem ku własnemu zaskoczeniu wpadłam jednak na pewien pomysł. Doprowadziła do tego kombinacja kilku rzeczy: wyrażenie „witając ogniem”, które nadal chodziło mi po głowie po tym, jak marzyłam o ostrzeleniu wroga, wspomnienie żołnierza, który bawił się papierosem, kiedy siedziałam na drzewie, oraz wszystkie ostrzeżenia z dzieciństwa dotyczące zabawy zapałkami.

Normalnie rozpalenie ogniska nocą, w trawie pokrytej rosą, byłoby trudnym zadaniem, ale ta noc była gorąca i sucha, a wiatr wiał coraz mocniej. On też był gorący i suchy, wiał w kierunku podnóża pagórka. Jeśli ktokolwiek w mieście zajmował się jeszcze

oceną zagrożenia pożarowego, uznaliby je teraz za wysokie. Może nie „alarmująco wysokie”, ale wystarczająco wysokie, zważywszy, że był dopiero początek sezonu.

Oczywiście każde z nas miało zapalki. To jedna z rzeczy, które zawsze wkłada się do plecaka, nawet jeśli - tak jak ostatnio my - niezbyt często rozpala się pod kuchnią. Kiedy pozostali zobaczyli, jak wyjmuję z bocznej kieszeni pudełko zapalek, szybko zrozumieli, o co mi chodzi. Przykucnęłam, osłoniłam zapalną dłoń i potarłam ją. Na wzniesieniu, z którego woda spływa równie szybko, jak spada z deszczem, trawa była zupełnie sucha. Musiałam zużyć cztery zapalki, by w końcu ją podpalić, ale gdy już zajęła się ogniem - mój Boże! - zapłonęła na całego. Płomień buchnął tak wysoko, że odsunęłam się, by ocalić brwi. Spojrzałam na pozostałych. Kevin wykrzesał już ładne ognisko, Homer podsycił płomynek wielkości pudełka zapalek, a Fi nadal gorączkowo przetrząsała plecak w poszukiwaniu zapalek.

Na szczęście ogień, który rozpaliłam, zaczynał szaleć. Patrząc na niego, poczułam wyrzuty sumienia, bo pomyślałam o tym, co powiedziałyby mój tata, gdyby mnie teraz zobaczył. Oczywiście by zrozumiał, ale wzniecając pożar, czułam się naprawdę dziwnie. Płomienie migotały i pędziły jak myszy rozbiegające się po warsztacie, gdy ktoś wchodzi do środka.

Ruszyłam naprzód przez linię płomieni, i spojrzałam na skraj wzgórza. Na niebie pojawiło się szare światło, w którym ujrzałam żołnierzy. Przeraziłam się, bo byli naprawdę blisko. Dotarli już na boczną grań i szybko parli naprzód. Małe czarne kropeczki jak muchy na psim brzuchu. Chyba wiedzieli, że nie jesteśmy uzbrojeni. Nawet nie zadawali sobie trudu, by spojrzeć w górę. Byli zdeterminowani. Wiedziałam, że jeśli nas dopadną, zginiemy. Po tym, co zrobiliśmy żołnierzom w lesie, istniały spore szanse, że zastrzelą nas na miejscu. Gdy tak patrzyłam, czując, jak moje serce drży ze strachu, jeden z nich mnie zobaczył. Mnie, ogień albo jedno i drugie. Spojrzał w górę i krzyknął coś do kolegów. Nie słyszałam co, ale zobaczyłam, że coś im pokazuje. Za moimi plecami Homer wrzasnął:

- Ellie, wracaj!

Odwróciłam się i zobaczyłam, co tak przykuło jego uwagę. Większość płomieni sięgała już do pasa i ogień naprawdę się rozkręcał. Wiatr wzmagał się z każdą chwilą. Znalezienie miejsca, gdzie można było przejść przez ogień, nie przyszło mi łatwo. Gdy w końcu się udało, podbiegłam kawałek dalej, by zobaczyć, co robią żołnierze. Poczułam, że ktoś za mną stoi i odwróciłam się. To była Fi. Nic nie powiedziała, ale jej brudna, spocona twarz szeroko się uśmiechnęła. Przystanęliśmy obok dużego starego eukaliptusa.

- Tam są - powiedziałam, wskazując palcem.

Żołnierze pokonali kolejne pięćdziesiąt metrów, ale znowu się zatrzymali. Wiedziałam dlaczego. Odgradzała nas teraz ściana płomieni, która szybko przesuwała się w dół wzgórza. Ci żołnierze nie mieli chyba pojęcia, co może zrobić taki pożar, ale ja miałam. Akurat na tych sprawach się znałam. Pożar wspomagany wiatrem, trawiący suchą trawę albo zarośla mknie jak rozgrzana półciężarówka. Jak byk rasy santa gertrudis po wystrzale z wiatrówki. Jak stado bydła w porze suszy, które widzi, że zbliżasz się z ładunkiem siana na pace pikapa. To najbardziej przerażająca rzecz na bożym świecie. W pewien dziwny sposób podniecająca, ale zdecydowanie przerażająca.

I nagle się zaczęło. Wiatr mocno dmuchnął, a płomienie odpowiedziały mu hukami i w mgnieniu oka podwoiły wysokość.

Żołnierze na stoku cofnęli się o kilka kroków. Będziecie musieli się ruszać szybciej, jeśli chcecie wyjść z tego cało, pomyślałam. Po raz pierwszy dotarło do mnie, że naprawdę mogą wpaść w pułapkę. Że mogą zginąć w ciągu następnych pięciu, dziesięciu minut. Spalenie żywcem - co za okropna, przerażająca śmierć. Śniła mi się w koszmarach. Zawsze uważałam, że to najgorszy koniec ze wszystkich.

Nie chciałam, żeby spłonęli. Po prostu chciałam stworzyć barierę, żeby ich od nas odgrodzić.

Więc zrobiłam coś naprawdę głupiego. Jakie to typowe! Wyszłam z cienia drzewa i pomachałam do nich. Nie w stylu: „Hej, chłopaki, co tam słyhać na dole?”, lecz: „Uciekajcie, uciekajcie, uciekajcie jak najszybciej!”. Fi była w szoku. Usłyszałam, jak mówi: „Ellie, co ty wyrabiasz?”, ale potem chyba zrozumiała, bo nie powiedziała już nic więcej. Po paru minutach sama wyszła i też do nich pomachała, choć pewnie wcale nie miała na to ochoty.

Żołnierze wydawali się skołowani. Zebrali się na stoku. Gdy zobaczyli, że energicznie wymachuję rękami, jeden z nich uniósł karabin, ale ktoś chyba coś do niego powiedział, bo po chwili znów go opuścił, a następnie wszyscy nagle zawrócili i zaczęli uciekać w stronę bocznej grani. Nawet wtedy nie wiedziałam, czy zdążą. Ogień potrafi bez problemu prześcignąć człowieka. A te płomienie już biegły. Rozzłoszczone gorące chmury dymu wzbijały się ku niebu - czarne, szare i białe. Gałązki, liście i kawałki kory szybowały razem z nimi. Kawałek niżej, na stoku, drzewo nagle z sykiem stanęło w płomieniach. U podnóża pagórka, pięćdziesiąt metrów poniżej granicy ognia, korona innego drzewa też eksplodowała płomieniami. Gdy to zobaczyłam, zrozumiałam, że ogień naprawdę się rozszalał. Kiedy płomienie zaczynają skakać jak kangur, wiadomo już, że szykuje się duży pożar. Zaczęłam się martwić o Wirrawee. Gdybyśmy spalili całe miasto, nie byłibyśmy zbyt lubiani.

Pospieszyłam z powrotem do punktu widokowego, a Fi ruszyła za mną. Przez dym nie było widać większości miasta, ale wyglądało na to, że na razie pożar nie wywołał żadnej reakcji. Wirrawee spało. Przypuszczałam, że za kilka minut rozpocznie się jakaś akcja, gdy mieszkańcy zobaczą, że za chwilę spadnie na nich z rykiem ogromny pożar. Jeśli utrzymywali wiejskie wozy strażackie w dobrym stanie, powinni sobie poradzić. Na skraju miasta ogień nie mógłby znaleźć dobrej pożywki - po tej stronie drogi istniała naturalna zapora przeciwogniowa - a ponieważ niedawno skończyła się zima, w zbiorniku retencyjnym nadal powinno stać mnóstwo wody.

Homer i Kevin podeszli do miejsca, w którym stałyśmy. Mieli na twarzach szerokie uśmiechy. Zawsze podejrzewałam, że chłopaki w głębi duszy są piromanami. Uwielbiają wzniecać pożary.

Nie zapominajmy jednak o tym, że ubiegłoroczne spalenie mostu w Wirrawee sprawiło mnie i Fi wielką frajdę.

- Co wy na to? - odezwał się Kevin. - Trochę ich rozdrażniliśmy?

- Jak myślisz, dokąd powinniśmy pójść? - zapytałam.

- Do miasta - wtrącił Homer ku mojemu zaskoczeniu.

- Do miasta?

- Tak. Powiem wam dlaczego. Bo to ostatnia rzecz, której będą się spodziewać. A poza tym dlatego, że nie znaleźliśmy dotąd Lee i Nowozelandczyków, ale jeśli cokolwiek jeszcze pamiętacie, to pewnie wiecie, że wyszliśmy z Piekła właśnie z ich powodu.

Nie mogłam dyskutować z taką logiką.

- Którędy? - zapytała Fi, mając na myśli to, którądy powinniśmy się dostać do Wirrawee.

- Prosto, wzdłuż drogi - odpowiedział Homer. - Potem przetniemy stadion i zaszyjemy się niedaleko Honey Street.

W oddali rozległo się wycie syren. O dziwo, wcale się tego nie spodziewałam. Syreny strażackie wydawały mi się częścią dawnego życia. Nie należały do tego nowego świata. Te syreny uzmysłowiły nam jednak, że lepiej uciekać, zanim to nam zacznie płonąć grunt pod nogami. Gdy całe miasto się zmobilizuje, znajdzie się wystarczająco dużo ludzi, by znów ruszyć za nami w pościg.

Popędziliśmy pylistą drogą, pochyleni, zachowując między sobą duże odstępki. Nie musieliśmy już uzgadniać takich spraw. Stały się oczywistymi, podstawowymi środkami przetrwania. Gdy dotarliśmy do stadionu, pozostali skreśli w prawo i przeszli przez niskie białe ogrodzenie, a potem jedno po drugim przemknęli przed trybuną główną. Ja nie mogłam

się powstrzymać i przystanąłam, by spojrzeć na pożar. To było niesamowite. Płonął cały stok, od podnóża po szczyt. Huk ognia był niewiarygodny. Przypominał tornado. Na ścianach wszystkich domów po drugiej stronie ulicy odbijała się czerwona łuna, jakby zachodziło słońce. Czerwone światło i hałas wyciągały ludzi z domów. Gdy tylko to zobaczyłam, popędziłam ostrzec przyjaciół. Wcześniej myślałam, że wszyscy mieszkańcy będą tak zaabsorbowani pożarem, że uda nam się dostać, gdzie tylko zechcemy. Okazało się jednak, że na ulicach będzie bardzo niebezpiecznie, bo wszyscy ludzie wyjdą na dwór.

Odbyliśmy kolejną szybką naradę. Miałam wrażenie, że te narady stają się coraz krótsze, może dlatego, że tak bardzo do siebie przywykliśmy, tak doskonale rozumieliśmy swoje emocje, że zazwyczaj od razu wiedzieliśmy, co myślą pozostali. Dlatego natychmiast postanowiliśmy przedostać się na drugą stronę toru wyścigowego, która była bardziej oddalona od domów.

Ruszyliśmy w tamtym kierunku. Teren był zdradliwy i trochę to trwało. Musieliśmy się chować za szopami i drzewami, a parę razy wycofać się pod ogrodzenie. Gdy w końcu dotarliśmy na drugą stronę, stanęliśmy przed wyborem. Za ogrodzeniem był budynek z toaletami, szopa zamknięta na kłódkę i zarośla za budynkiem.

Wybraliśmy szalet. Przebywanie w budynku, nawet jeśli to była toaleta, miało w sobie coś pocrzepiającego. Chłopcy oczywiście nalegali, byśmy poszli do męskiej. Nie mam pojęcia, dlaczego było to dla nich takie ważne, ale było. Może myśleli, że w naszej toalecie panowałyby dla nich zbyt babska atmosfera. Naprawdę nie wiem. W napisach, które można znaleźć na ścianach damskich toalet, nie ma nic dziewczęcego.

Gdy tylko weszliśmy do męskiej toalety, zaczęłam się denerwować. Zaledwie pół godziny później miałam już totalną klaustrofobię. Wiedziałam, że jeśli tam zostaniemy, wpadniemy w pułapkę. Jeśli przyjdą żołnierze, nie będziemy mieli którędy uciec. To mi się nie podobało.

- Chodźmy stąd - powiedziałam.

Nikt się nie spierał. Chyba czuli to samo co ja. Ostrożnie wymknęliśmy się na zewnątrz, na wypadek gdyby ktoś obserwował budynek, ale okolica wydawała się bezpieczna. Chyba wszyscy albo gasili pożar, albo ratowali swoje domy.

Ups. Miałam na myśli domy, które nam ukradli.

Szybko zdaliśmy sobie sprawę z jednej rzeczy. Ogień zdecydowanie wymknął się spod kontroli. Niebo było czarne od dymu i wirujących wokół drobinek popiołu. Gdy tylko wyszliśmy na zewnątrz, Fi zaczęła kaszleć. W oddali zobaczyliśmy migotanie płomieni. Podkrađłam się do drogi i zobaczyłam, jak jakiś mężczyzna polewa dom wodą ze szlauchu -

dom, który ukradł - ale ciśnienie tej wody było oczywiście bardzo niskie. Nikogo więcej nie widziałam. Stresowałam się tym, co zrobiliśmy, ale nadal uważałam, że miasto da się ocalić. Wróciłam do pozostałych i powiedziałam, co zobaczyłam. Naprawdę nie wiedzieliśmy, co robić. Gdybyśmy się ruszyli, ryzykowaliśmy, że nas złapią. Gdybyśmy się nie ruszyli - też. Gdyby wiatr lekko zmienił kierunek, mógł nas nawet dopaść ogień.

W końcu postanowiliśmy się ruszyć.

- Jeśli tego nie zrobimy - powiedziałam - z łatwością nas tu znajdą. A gdy tylko ugaszą pożar, zaczną nas szukać.

- Tak - zgodził się Kevin. - Na pewno będą chcieli nas dorwać.

Dlatego znów ruszyliśmy w drogę. Myślę, że pod pewnymi względami ta wyprawa była bardziej niebezpieczna niż wszystkie wcześniejsze. Podróż przez miasto, w którym wszyscy powychodzili z domów i pałają do nas nienawiścią, wydawała się niewiarygodnie ryzykowna. Byłam jednak pewna, że nie mamy innego wyjścia.

Dym trochę nam pomagał, ale poza tym mieliśmy niewiele sprzymierzeńców. Kierowaliśmy się w stronę miejsca, które wszyscy dobrze znaliśmy i które najprawdopodobniej stało puste. Do liceum w Wirrawee.

Wybraliśmy najgłupszą z dróg. To zadziwiające, w jak wielkim stopniu Wirrawee wróciło do „normalnego” życia. Mieszkało tu teraz tylu ludzi. Nie wiem, ile domów zajęto, ale z pewnością okropnie dużo. Miałam jedynie nadzieję, że nie posunęli się jeszcze do otwarcia szkół. Na szczęście nie widywaliśmy wielu dzieci.

Mimo wszystko musieliśmy bardzo uważać. Co kilkaset metrów sytuacja się zmieniała. Nasza wyprawa składała się z podkradania się wzdłuż ogrodzenia dużego domu, czołgania się przez ogród innego i z półgodzinnego czekania w garażu pani Potts, przed którym zatrzymało się dwóch facetów, by pogadać o pożarze - w każdym razie zakładałam, że właśnie o tym rozmawiali. Chwilami było niemal zabawnie, ale równocześnie bardzo przerażająco. Jedynym łatwym etapem okazało się pokonanie pół kilometra wzdłuż strumienia.

Dotarliśmy do Sherlock Road dopiero około pierwszej po południu.

Nie było zbyt trudno dostać się na teren szkoły. W sąsiedztwie stoi zaledwie kilka domów. Wszystko wskazywało na to, że nikogo w nich nie ma, ale oczywiście nie mogliśmy być tego pewni.

Dlatego znalezienie najlepszej drogi zajęło nam całe wieki. Wyglądało na to, że osadnicy coraz lepiej panują nad ogniem. W pewnym sensie była to zła wiadomość -

oznaczała, że znajdą czas, by nas szukać. Na szczęście w szkole nikogo nie było. Właściwie wyglądała tak, jakby opuszczono ją przed wieloma laty.

Marzyliśmy o odpoczynku, ale trzeba było rozwiązać jeszcze jeden problem: dostać się do szkoły. Brzmi to prosto, lecz musieliśmy znaleźć jakiś mało oczywisty sposób. Nie mogliśmy rozwalić drzwi, bo ktoś by to zauważył. Dostaliśmy się jednak na mały czworokątny dziedziniec, gdzie w końcu poczuliśmy się lepiej. Był on zupełnie niewidoczny od strony drogi. Wszystkie paprocie uschły - co wzbudziło mój smutek - i wokół wałało się mnóstwo śmieci, ale poza tym byliśmy trochę bezpieczniejsi.

W końcu musieliśmy wybić szybę w oknie. Byliśmy gotowi uciec, gdyby odezwał się alarm przeciwłamaniowy. Ale nie. W czasie pokoju szkoła miała alarm, lecz najwidoczniej już nie działał.

Gdy weszliśmy do środka, pozbieraliśmy kawałki szkła, a potem znaleźliśmy płytę pilśniową i za pomocą taśmy zasłoniliśmy okno. Mieliśmy nadzieję, że każdy, kto to zobaczy, dojdzie do wniosku, że już tak było.

Fi zgłosiła się na ochotnika do pełnienia warty, co było niezwykle miłe z jej strony. Reszta z nas w końcu mogła trochę pospać.

13

Znaleźliśmy chyba ostatni budynek w Wirrawee, który stał w zasadzie nietknięty. Zniszczono kilka rzeczy w sekretariacie, ale poza tym wszystko było w dobrym stanie. Coraz wyraźniej czułam, jakby to miejsce zostało opuszczone dawno temu. W zasadzie nie chodziło o kurz ani o ciszę. Winny był brak ludzi: w pustych korytarzach nabierało się pewności, że od dawna nikt tu nie zaglądał.

Poza tym chodziło o zapach, choć wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Każdy wydziela własny zapach. Podobno niewidomi ludzie potrafią rozpoznać, kto był w pomieszczeniu, po zapachu, jaki po sobie zostawił. Ja potrafię poznać w ten sposób, kiedy mój tata był w łazience. Mam na myśli toksyczne gazy. Gdybyśmy je zabutelkowali i wykorzystali jako gaz paralizujący, wygralibyśmy tę wojnę przed upływem tygodnia.

Oczywiście dzięki swojej nieomyślności znalazłam jedyne miejsce w szkole, w którym akurat nie było cicho. Kiepska sprawa, bo rozpaczliwie chciałam pospać. To była izba chorych, w której stały dwa łóżka. Ja położyłam się na jednym, a Kevin na drugim. Między ścianą a ramą okna musiała być jednak szpara, bo wiatr bez przerwy gwizdał w niej i wył, ciągle zmieniając tonację. Przerażający dźwięk. Jakby dzikie zagubione stworzenia płakały nocą, błagając umęczonymi głosami, żeby ktoś je ocalił. Tyle że były już martwe i płakały z za grobu. Po chwili gwizdy cichły, a ja myślałam: „No dobra, w końcu sobie pośpię”, i dokładnie w tym samym momencie wszystko zaczynało się od nowa. Nie pomagał mi również fakt, że do szkoły docierał czarny dym z pożaru i choć wszystko wskazywało na to, że jest go coraz mniej, tworzył atmosferę i dźwięki rodem z piekła.

No więc raczej się nie wyspałam. Prawdziwym powodem braku snu był chyba jednak strach. Przebywanie w Wirrawee w biały dzień i spanie w tym mieście wydawało się bardzo niebezpieczne. Jasne, potrafiłabym przytoczyć sto racjonalnych powodów, dla których mogliśmy spać spokojnie. Od wieków nikt tu nie zaglądał, wszyscy byli zajęci gaszeniem pożaru, najprawdopodobniej doszli do wniosku, że uciekliśmy do lasu...

Okej, to trzy racjonalne powody, dla których mogliśmy spać spokojnie. I to dobre powody. Ale niewystarczające. Nadal byłam spięta i gapiłam się przez okno na gorący czarny dym.

Zaczęłam sobie uświadamiać, że jest jeszcze jeden powód, dla którego nie mogę zasnąć. Galop przez las, stratowanie tamtych żołnierzy, otarcie się o śmierć: to wszystko wydarzyło się zaledwie dwanaście godzin wcześniej. I jak zwykle na tej wojnie, nie było czasu na reakcję, nie było szansy na zastanowienie, na odnalezienie w tym znaczenia ani na umieszczenie tego wszystkiego w jakimś sensownym kontekście.

Jeśli nie wiesz, co coś oznacza, to masz kłopot.

Oczywiście w pewnym sensie wiedziałam, co oznacza ostatnia noc: wiedziałam, że zrobiłam to wszystko, by pozostać przy życiu. To było oczywiste. Potrzebowałam jednak odpowiedzi, która wyjaśni mi coś więcej. Jeśli miałam uznać, że moje życie znaczy więcej niż cudze, że to w porządku, kiedy ktoś umiera, bym ja mogła przetrwać, musiałam wiedzieć, że naprawdę tak jest. Jasne, w ludzkiej naturze leży ochrona własnego życia za wszelką cenę. Zresztą nie tylko w ludzkiej. W naturze, i tyle. Widziałam, co schwyty w pułapkę kangur robi z psami, które za bardzo się zbliżą. Ale skoro Bóg dał mi mózg i sumienie, a do tego wyobraźnię, która pozwala mi wnikać w cudzy umysł, to pewnie chce, bym z nich korzystała. A nie tylko robiła różne rzeczy, nie zastanawiając się nad ich znaczeniem. Nie jestem kangurem.

Dlatego zastanawiałam się - i nadal się zastanawiam - czy to było w porządku.

Następnym darem od Boga było poczucie odpowiedzialności. Czasami wołałabym go nie mieć. Wielkie dzięki, Boże. Bo poczucie odpowiedzialności nie opuszcza mnie na krok i gdy robię coś, co moim zdaniem może być złe, nie mogę się go tak po prostu pozbyć. Wiedziałam, że zabiłam drugiego człowieka, może nawet wielu. To coś, czego faktycznie się dopuściłam - coś mojego i niezbywalnego.

Dlatego musiały mnie dopaść wyrzuty sumienia. Tamci żołnierze w lesie zginęli. I tamten koń też. Znowu podjęłam decyzję, że moje życie jest warte więcej niż ich życie. A nawet nie znałam tych ludzi. Byli dla mnie obcy.

Czy była w tym jakaś logika? Czy zasługiwałam na przetrwanie, a tamci obcy mi ludzie - na śmierć? Czy była to jakaś próba, którą musiałam przejść? Może w przyszłości miałam znaleźć lekarstwo na raka albo coś w tym rodzaju? A jeśli to jeden z tamtych żołnierzy miał zakończyć służbę za dziesięć lat i znaleźć lekarstwo na raka, co jednak nigdy nie nastąpi, bo właśnie go zabiłam?

Właśnie to miałam na myśli, mówiąc o szukaniu sensu w otaczającym mnie szaleństwie.

Zamiast znaczenia dostałam tylko dzikie wycie wiatru oraz dławiący dym i gorący pożaru, który sama wznieciłam.

Późnym popołudniem najwidoczniej udało się zapanować nad ogniem. Popiół leżał, jak okiem sięgnąć, a boisko przyprószyła czern przypominająca cukier puder na biskopcie, tyle że w niewłaściwym kolorze.

Woń spalenizny, ten niedający się pomylić z niczym innym zwęglony zapach wnikał w każdą szczelinę, w każdy kąt i zakamarek. Przywarł do naszych ubrań i stopniowo tłumiał wszystko inne: stęchły zapach szkoły, spoconą woń Homera i Kevina, a nawet Fi i moją, oraz przyprawiający o mdłości odór zdechłego oposa, który sączył się ze strychu do sali A23.

Gdy ciemność powoli otoczyła szkołę, poczuliśmy się trochę bezpieczniej. Uznaliśmy za mało prawdopodobne, by ktoś mógł nas tu szukać w nocy. Mieli zbyt wiele własnych problemów związanych ze zniszczeniami po pożarze. Poza tym trudno coś znaleźć, kiedy jest ciemno. Może nawet trochę się nas bali. Pokazaliśmy przecież, że jesteśmy dość zdesperowani. Ostatnio często bałam się samej siebie, więc wcale bym się nie zdziwiła, gdyby oni też się mnie bali. Nie, nie wydawało mi się, by mieli nas szukać po zmroku.

Postałam na warcie, a potem poszłam porozmawiać z Fi. Trudno było ją znaleźć. Dziwnie się chodziło po długich, pustych szkolnych korytarzach. Oczywiście nigdy nie widziałam ich w takim wydaniu, choć z drugiej strony dla każdego człowieka byłby to niecodzienny widok. Byliśmy w skrzydle A. Odgłos moich kroków niósł się echem po budynku. Minęłam sekretariat, pracownię plastyczną, toalety, salę komputerową, a potem zwykłe sale lekcyjne. Cały świat mógłby zniknąć, a ja nawet bym o tym nie wiedziała. Tak tam było pusto. Nigdy nie czułam się bardziej osamotniona - być może dlatego, że ten budynek wzniesiono dla setek uczniów i nauczycieli, więc teraz wydawał się bardziej opustoszały niż chatka pustelnika.

Na samym końcu znalazłam Fi. A raczej Fi znalazła mnie. Była w sali A22. Zawołała mnie, kiedy dotarłam do końca korytarza. W przeciwnym razie nie zauważyłabym, że tam jest. Chyba była naprawdę przybita, podobnie jak ja, ale tym razem - wbrew temu, czego można się było spodziewać - nie zamierzałyśmy się nawzajem dołować.

- To była moja ulubiona sala - powiedziała.

- Dlaczego?

Sala wyglądała niezbyt ciekawie. Inwazja nastąpiła w czasie ferii, więc w pomieszczeniach dydaktycznych było jeszcze nudniej niż zwykle. Na ścianach nie wisały żadne eseje ani zdjęcia, na białych tablicach nie było żadnych napisów, wokół nie leżały żadne książki. Na tablicy ogłoszeń, tuż obok włącznika światła, wisił plan ewakuacji budynku, a po drugiej stronie plakat z wierszem Emily Dickinson. Plakat był jednak naderwany w rogu, a na dole ktoś nabazgrał coś flamastrem. Z wentylatora pod sufitem nadal

zwisła żałobna bożonarodzeniowa serpentyna. Gdy niespełna rok temu świętowano tu Boże Narodzenie, nikt nie przypuszczał, że niebawem wszystko się zmieni.

- Miałam tu lekcje angielskiego - wyjaśniła Fi.

- Z kim?

- Z panem Ruddem.

- Aha, mnie nigdy nie uczył.

- Był taki fajny! Mam nadzieję, że nic złego mu się nie stało.

- Szkoda, że nie miałam z nim żadnych lekcji. Wszyscy się nim zachwycali. Był Amerykaninem, prawda?

- Nie, Irlandczykiem.

Fi, która leżała na podłodze, nagle się ożywiła. Zerwała się na nogi i zaczęła naśladować pana Ruddy.

- Fiono, przykro mi, że musieliśmy zacząć bez ciebie. Odnoszę wrażenie, że zawsze się spóźniasz na moje lekcje i zastanawiam się, czy moglibyśmy sprawić, by lekcje angielskiego stały się dla ciebie trochę bardziej atrakcyjne. Czy zechciałabyś tutaj usiąść? To nasza łoża dla VIP-ów. Pozwolisz, że wezmę twój płaszcz? Może podać ci coś do picia? Może wolisz wygodniejsze krzesło? Proszę, weź moje. Nie, nie, naprawdę, nie przejmuj się, to żaden kłopot.

Fi zawsze była beznadziejna, jeśli chodzi o naśladowanie innych ludzi, ale i tak się roześmiała.

- Wydaje się złośliwy - zauważyłam.

- Mhmm, niezupełnie. To znaczy mógłby być złośliwy, ale w przeciwieństwie do innych nauczycieli nigdy nie zachowywał się podle.

- W ósmej klasie miałam tu wiedzę o społeczeństwie - powiedziałam. - Z panią Barlow. Nie było źle. Zorganizowaliśmy dzień japoński: przygotowaliśmy japońskie potrawy, robiliśmy origami i tak dalej. Było fajnie.

- A tak, pamiętam. A w dniu Bastylli gotowaliśmy dania francuskie. Pani Barlow była w tym dobra. Nazywaliśmy ją Baa-Baa. Strasznie głupie przezwisko.

- A pamiętasz tamten klasowy grill? Chyba w dziewiątej klasie. Chłopcy podali całkiem surową kiełbasę. Z miejsca zostałam wegetarianką. A potem była bitwa na jedzenie.

- Pamiętam. Moja mama poskarżyła się dyrekcji. Cały mundurek miałam upakowany tłuszczem i sosem pomidorowym. Pan Muir wpadł w tarapaty, bo nie umiał nad nami zapanować.

- Był beznadziejny, no nie? Byłaś na tej lekcji, kiedy zaczął płakać?

- Nie, ale słyszałam o tym.

- Okropna sprawa. Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy mu współczuć. Wiesz, to była wina Homera. Dał mu się we znaki. Nie chciał mu odpuścić. Ciągłe żartował z jego tuszy. Dwa razy nazwał go „dwutonowcem”, prosto w twarz, a potem udawał, że rozmawiał z Davo. Raz go zapytał: „Panie Muir, je pan, żeby żyć, czy żyje pan, żeby jeść?”, i wtedy facet się popłakał.

Fi wyglądała na zasmuconą. Była łagodna i miła. Nie mogła nawet słuchać o tym, że ktoś gnębił nauczyciela. Żałowałam, że nie mam choć części jej uroku. Wystarczyłaby mi połowa.

W sali było już ciemno, ale rozmawiałyśmy dalej, wspominając dobre i złe chwile, które przeżyłyśmy w tym budynku, w tej szkole.

- Zdajesz sobie sprawę, że spędziłyśmy tu ponad dwie trzecie życia? - zapytałam Fi.

- Serio? Boże. W takim razie dwie trzecie tego czasu marzyłam o tym, żeby być gdzieś indziej. A teraz oddałabym wszystko, by znowu być tutaj i grać na angielskim w mecze improwizacji.

- Grałście w mecze improwizacji? Nic dziwnego, że ci się podobało. My nigdy nie robiliśmy takich fajnych rzeczy. Tylko nudne stare dyktanda i nauka o języku. Fajnie było jedynie wtedy, kiedy musieliśmy wygłaszać przemówienia. Bryony opowiedział, jak jego siostra myślała, że owcze kupki to rodzynki, i próbowała je zjeść. A pewnego dnia musieliśmy przynieść ulubione obrazki i wyjaśnić, dlaczego je lubimy. To było niesamowite, bo Homer przyniósł obraz z liliami wodnymi i mówił o tym, że w chwilach największego stresu siada przed nim i uspokaja się, gapiąc się na te lilie przez pół godziny. Wszyscy byli w totalnym szoku. To jedyny raz, kiedy Homer wyszedł w szkole ze swojej roli twardziela. Nikt oprócz niego nie przyniósł obrazu. Wszyscy pokazywali zdjęcia swoich ulubionych drużyn piłkarskich i tego typu rzeczy.

- Myślałam, że właśnie o to ci chodziło, kiedy powiedziałaś o ulubionych obrazkach - przyznała Fi.

- Mhmm. Ja przyniosłam stare nudne zdjęcie przedstawiające mnie z Mirrimbah Buckley Park.

- Co to jest Mirrimbah Buckley Park? - zapytała Fi.

- Dawno temu mieliśmy stado merynosów - wyjaśniłam. - Zaczęli je hodować moi dziadkowie, a potem owce przejął tata. W końcu doszedł jednak do wniosku, że to go przerasta. Owce wymagały za dużo pracy, a konkurencja była niewiarygodnie silna. Ludzie robili najdziwniejsze rzeczy, żeby rozreklamować swoje stada. Organizowali wielkie

wyprzedaje, na które przywozili klientów samolotami. Tata nie miał czasu na takie bzdury. Poza tym i tak nie byłoby nas na to stać. Zresztą tatę interesowały różne gatunki. Sprzedał stado Lucasom. Zanim to zrobił, czasami jeździłam z owcami na wystawy, a Mirrimbah Buckley Park był naszym najlepszym baranem. Zdobył pierwsze nagrody na wystawie merynosów w Stratton i na Open Rams, a do tego trzecie miejsce na wystawie krajowej. Dostaliśmy za niego fortunę. Babcia była wściekła na tatę, kiedy go sprzedał, ale tata już wcześniej postanowił sprzedać całe stado, tylko że nie powiedział o tym babci. Gdy w końcu ją o tym poinformował, mieliśmy coś w rodzaju końca świata. Babcia nie odzywała się do niego wiele miesięcy. Rozumiałam ją. Razem z dziadkiem ciężko pracowali, by stworzyć to stado, a tata je przejął i sprzedał. Najśmieszniejsze było to, że później i tak musieliśmy reklamować rasę charolais, więc ostatecznie tata nie zaznał spokoju.

Zauważyłam, że Fi mnie nie słucha. Gapiła się przez okno.

- Co się dzieje? - zapytałam.

- Tam się coś rusza - powiedziała.

14

Równocześnie padłyśmy na podłogę. Leżałam z twarzą przy zakurzonej dywanie. Serce waliło mi tak mocno, że prawie podskakiwałam. Nie poświęciłam mu jednak zbyt dużo uwagi. Fi już się czołgała w stronę drzwi, więc ruszyłam za nią. Wydostałyśmy się na korytarz, a potem, zgięte w pół, by nie można nas było zobaczyć przez okna, szybko i cicho pobiegłyśmy z powrotem do izby chorych. Wiedziałam, że Homer stoi na warcie, i myślałam, że Kevin drzemie na jednym z łóżek.

Znalazłam jednak czas, by wkurzyć się na Homera. Pomyślałam, że powinien być zauważyć, jak ktoś się zbliża. Umówiliśmy się, że osoba stojąca na warcie będzie przy głównym wejściu, skąd roztaczał się dobry widok na trzy strony boiska. Aby zobaczyć czwartą stronę, trzeba było jednak co chwila zerkać za ściankę działową. Nie mogłam się pozbyć wrażenia, że Homer okazał się zbyt leniwy.

Nie doceniłam go jednak. Biegając korytarzem, napotkałyśmy Homera i Kevina, którzy już nas szukali, zgięci w pół tak jak my.

- Co zobaczyłyście? - zapytał Homer nagle szepem, kiedy się spotkaliśmy.

- Była chyba tylko jedna osoba - powiedziała Fi. - Nawet nie jestem pewna, czy to rzeczywiście człowiek.

- Ja zauważyłem jednego - oświadczył Homer. - Ale na sto procent był człowiekiem. Węszył w stołówce.

Przykucnęliśmy na korytarzu. Od każdego z nas bił strach. Byliśmy w grupie, tworzyliśmy krąg, więc strach zdawał się skupiać pośrodku. Przypominał namacalną rzecz, po którą można sięgnąć.

- Lepiej przejdźmy na drugą stronę - zaproponował Kevin. - Zobaczymy, czy ktoś tam jest.

- Nawet jeśli jest - dodał Kevin - nie uda nam się wyjść, nie robiąc przy tym hałasu. Zalepiliśmy dziurę w oknie, pamiętacie? A wszystkie pozostałe okna mają zamki antywłamaniowe.

Nagle zdałam sobie sprawę, że wpakowaliśmy się w pułapkę. Poczułam mrowienie na całym ciele.

- Mimo to przejdźmy na drugą stronę - szepnęłam. - Jeśli się okaże, że nikogo tam nie ma, po prostu wybijemy szybę i uciekniemy.

Uznałam, że lepiej zrobić cokolwiek, niż kulić się z przerażenia.

Nadal zgięci wpool, pobiegliśmy na drugi koniec budynku. Na zewnątrz zrobiło się już całkiem ciemno. To była nasza jedyna przewaga. Jeśli jednak otoczyli budynek, niewiele nam dawała.

Aby się dostać na drugi koniec szkoły, musieliśmy wejść do pokoju nauczycielskiego. Zabawne uczucie. Pokój nauczycielski nadal stwarzał wrażenie zakazanego terytorium. Prowadziły do niego drzwi wahadłowe, które ostrożnie otworzyliśmy, a potem pędem okrążyliśmy stoły do ping-ponga i podeszliśmy do okien. Wyglądało na to, że noc jest bezksiężycowa. Na dworze było tak ciemno, że prawie nic nie widzieliśmy.

- Co ty na to? - mruknął do mnie Homer.

- Nie wiem. Ale musimy spróbować, nie możemy tak po prostu siedzieć i na nich czekać.

- Wcale nie muszą wiedzieć, że tu jesteśmy. Jeśli spróbujemy wybić szybę i uciec, możemy zwrócić na siebie ich uwagę.

- Tak, chyba masz rację. Ale to dziwne, że w ogóle tu zajrzeli.

Byłam zmęczona i z wysiłkiem szukałam słów, by wyrazić to, co miałam na myśli. Po mojej prawej Kevin robił coś, czemu towarzyszyło drapanie, które brzmiało niebezpiecznie głośno. Nie chciałam go jednak powstrzymać, bo domyśliłam się, że usiłuje otworzyć okno. Musieliśmy podjąć pewne ryzyko. Próbowałam się skupić na rozmowie z Homerem.

- Nie przeszukiwaliby każdego budynku w mieście, przecież nie mają miliona żołnierzy. Poza tym musieliby przeczesać las. Nie przyszliby tutaj, chyba że wiedzą, że tu jesteśmy.

Homer milczał.

- Może to jakiś dzieciak, który wpadł się pobawić - podsunęłam z nadzieją.

Homer pokręcił głową.

- Widziałem tylko jego cień, ale był za wysoki jak na dzieciaka.

Od strony okna, przy którym majstrował Kevin, dobiegło chrobotanie. Nie mogłam się powstrzymać.

- Ciszej, do cholery - syknęłam bezlitośnie.

Kevin podpełzł do miejsca, w którym szeptaliśmy. Zignorował mój syk.

- Otworzyłem je - powiedział. - Wyjdę pierwszy, jeśli chcecie.

Czasami Kevin zaskakiwał mnie takimi aktami odwagi. Ciągle musiałam sobie przypominać, że mam o nim zbyt niskie mniemanie. Gdy zaczynałam go uważać za palanta, robił coś imponującego.

Może powinnam była zaproponować, że to ja pójde pierwsza, ale nie zaproponowałam. Prawdę mówiąc, miałam już dość tych ciągłych wyzwań. Akcja w Zatoce Szewca omal mnie nie zabiła. Chyba wpłynęła na mnie w sposób, z którego wcześniej nie zdawałam sobie sprawy. Zmieniła mnie głęboko w środku. I dlatego zmagalam się teraz z tyloma problemami. Wiem, że najgorsze było więzienie, które wpłynęło na mnie najmocniej, podobnie jak śmierć Robyn i Chrisa, los Corrie i cała ta inwazja... Och, ta lista nie ma końca. Czekanie w tamtym kontenerze, a potem myśl, że po eksplozji zginę, ujrzenie nad Baloney Creek przyjaciół schwytanych przez wrogich żołnierzy i to, co musiałam tym żołnierzom zrobić - wszystkie te wydarzenia najwyraźniej odbiły się na mnie w straszny, okropny sposób.

Dlatego gdy Kevin zgłosił się na ochotnika, nie powiedziałam ani słowa.

Podeszliśmy do otwartego okna. Na zewnątrz nie było aż tak ciemno, jak mi się zdawało.

- Nikogo nie widzę - szepnęła Fi.

Okno nie było całkowicie otwarte. Fi by się zmieściła, ale Kevin nie miał szans. Dotknęłam ramy. Drewno było zbutwiałe. Widziałam i czułam pod palcami miejsca, w których Kevin podważył ramę. Ostrożnie popchnęłam je o kolejne trzydzieści, czterdzieści centymetrów. Pchałam od dołu, a okno skrzypiało i pissało.

- Ostrożnie, dobra? - burknął Kevin, odwdzięczając się za moje syknięcie sprzed paru minut.

Gdy w końcu otworzyłam okno, nie wahał się ani chwili. Od razu zaczął się przeczołgiwać po parapecie, a na koniec szybko dał nura i zniknął za oknem. Spadł tak błyskawicznie, że przez jedną okropną chwilę myślałam, że ktoś go zastrzelił, ale nie było słychać huku wystrzału, więc chyba wszystko poszło zgodnie z planem. I rzeczywiście - kilka sekund później zobaczyłam, że pochylony szybko biegnie zygzakiem w ciemność.

To było odważne, naprawdę odważne.

Potem przez sześć albo osiem minut panowała cisza. Wytężaliśmy wszystkie komórki nerwowe, obserwując, nasłuchując, węsząc w powietrzu, próbując znaleźć jakąś wskazówkę, która nam podpowie, co się dzieje.

W końcu Homer szepnął:

- Mam tego dość. Idę za nim.

Ja i Fi odpowiedziałyśmy mu równocześnie:

- Nie, Homer, nie idź.

- Zaczekaj chwilę - dodałam. - Jeśli coś mu się stało, ciebie spotka to samo.

Oboje wiedzieli, o czym mówię.

Dlatego czekaliśmy dalej. Chyba znowu minęło pięć minut. Potem usłyszałam dźwięk, którego najmniej się spodziewałam - dźwięk tak nieprawdopodobny, że pomyślałam, że w końcu zwariowałam. A jeśli nie ja, to z pewnością Kevin. Bo albo mi się przestyszało, albo gdzieś w ciemności Kevin się roześmiał.

Zdumiona spojrzałam na Homera. Śmiech Kevina należał do tych, których nigdy się nie zapomina. Osioł wystraszony serią z karabinu maszynowego wydałby podobny odgłos. Niełatwo naśladować taki śmiech. A ja byłam pewna, że go słyszałam i że śmiał się nie kto inny, jak Kevin.

Zaryzykowałam i trochę się wyprostowałam, by mieć lepszy widok na boisko. Ta ciemność mnie dobijała. I zaledwie chwilę później zobaczyłam dwie osoby, które zbliżały się do budynku od strony mroku spowijającego drzewa. Jedną z tych osób był Kevin.

A drugą Lee.

Zapominając o wszystkim, co kiedykolwiek mówiliśmy o bezpieczeństwie, wyszłam przez okno i pobiegłam do nich. Pragnęłam jednego z tych silnych uścisków na powitanie, które widuje się w filmach i który wymieniliśmy już kiedyś z Kevinem, ale gdy podbiegłam do Lee, zauważyłam, że jest w kiepskiej formie. Uśmiechnął się, ale przypominało to raczej skurcz mięśni twarzy niż prawdziwy uśmiech. Drżała mu broda i miał spuszczoną głowę. Szedł bardzo wolno. Za to Kevin szczerzył się jak dziecko, które wygrało zabawę w krzesła na trzech przyjęciach urodzinowych pod rząd. Chyba ryzykując życie i wychodząc w noc, nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, gdy spotkał go tak przyjemny finał.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam Lee, witając go jednym z tych głupich pytań, które się zadaje, kiedy nie sposób wymyślić nic lepszego.

- Chętnie bym coś zjadł - powiedział.

Podeszliśmy do okna. Wychylał się przez nie rozpromieniony Homer, któremu od razu kazałam przynieść coś do jedzenia.

Jego uśmiech szybko zniknął, a wraz z uśmiechem zniknął Homer. Po chwili usłyszałam, jak drzwi do pokoju nauczycielskiego otwierają się i zamykają.

Ja i Fi pomogłyśmy Lee wejść przez okno. Był bardzo osłabiony. Kiedy wciągnęłyśmy go do środka, usiadł na taborecie, a potem zmienił zdanie i położył się na podłodze. Pobiegłam korytarzem poszukać Homera. Nadal wyjmował rzeczy z plecaka. Tym razem mieliśmy wojskowy prowiant od Nowozelandczyków, głównie suszone produkty w

małych foliowych opakowaniach. Były niewiarygodnie lekkie i naprawdę powstawało z nich smaczne jedzenie. Najbardziej lubiłam danie o nazwie „Aromatyczny ryż”. Należało je jednak namoczyć, a potem ugotować, a nie byłam pewna, czy w szkole będzie to możliwe. Nie wiedziałam nawet, czy nadal jest prąd. Dlatego zamiast czekać, żeby to wszystko sprawdzić, złapałam trochę muesli, wyjęłam z plecaka Kevina resztki jego soku pomarańczowego w proszku i podeszłam do umywalki w pokoju nauczycielskim. Z kranu nadal płynęła woda, więc z łatwością rozpuściłam trochę pomarańczowego proszku i powstałym sokiem zalałam muesli.

Chyba gdzieś słyszałam, że nie należy się objadać, jeśli długo się głodowało. Właśnie sobie przypomniałam, skąd o tym wiem. Z jednego z opowiadań z czasów drugiej wojny światowej poświęconych jeńcom na torach Kolei Śmierci. Podobno gdy wojna dobiegła końca i Amerykanie przybyli ich uratować, niektórzy jeńcy zmarli z przejedzenia.

Prawda, że życie potrafi być niesprawiedliwe?

Wtedy nie pamiętałam tej historii, ale miałam przeczucie, że podanie Lee góry jedzenia nie byłoby dobrym pomysłem. Dlatego wcisnęłam w niego kilka łyżek, a potem powiedziałam, że musi z godzinę odczekać. Nie był zbyt uradowany, ale okazałam się nieugięta, a Homer i Fi mnie poparli.

Gdy karmiłam Lee, Kevin zamknął okno i znowu je zaryglował. Jednak nie na zamek antywłamaniowy. Poczułam się trochę lepiej, widząc, że teraz mamy przynajmniej możliwość ucieczki. W końcu mogliśmy zadać Lee pytania, które nie dawały nam spokoju.

- Co się stało, Lee? - zapytał Homer, przykucając obok niego. - Gdzie Iain, Ursula i pozostali?

Lee wzruszył ramionami.

- Nie wiem - powiedział. Mówił bardzo powoli, jakby słowa wymagały wielkiego wysiłku. - Nie mam zielonego pojęcia. Kiedy wrócili ze zwiadu, kazali mi się ukryć w lesie za miastem, obok kościoła, no wiecie, tego Kościoła Chrystusowego. Powiedzieli, że po ataku przyjdą po mnie i od razu wrócimy do Piekła. Czekałem i czekałem, ale się nie zjawili.

My też czekaliśmy, żeby powiedział coś jeszcze, ale Lee milczał.

- Więc co się stało? - zapytałam w końcu.

Lee znowu wzruszył ramionami.

- To wszystko. Nic się nie stało.

- Nic?

- Czekałem całą noc. Nie przejmowałem się, bo powiedzieli, że w razie problemów albo po mnie wrócą, albo przeczekają w mieście do następnej nocy. Kazali mi się zaszyć w

lesie i przygotować na spotkanie po zmroku. Ale następna noc wyglądała identycznie. Nic się nie wydarzyło.

- I to wszystko? - zapytał Homer. - Chcesz powiedzieć, że nie masz najmniejszego pojęcia, co się z nimi stało?

Wydawał się wkurzony, jakby to była wina Lee.

Lee tylko pokiwał głową i zamknął oczy. Mówił dalej, nie otwierając ich.

- Nie było żadnego znaku - powiedział. Przed każdym słowem zastanawiał się z minutę. Wydawał się stary i zmęczony. W końcu przez sześć dni był w Wirrawee zupełnie sam. - Nawet najmniejszej wskazówki - ciągnął. - Żadnego dźwięku od strony lotniska, żadnych biegających żołnierzy, żadnej strzelaniny. Nie wiem, co się dzieje. Wiem tylko, że coś poszło nie tak. Ellie, dasz mi coś jeszcze do zjedzenia?

Dałam mu sześć łyżek muesli.

- Lepiej trochę odpocznij - poradziłam mu. - Jeśli dasz radę doczłapać do izby chorych, znajdziesz tam wygodne łóżko.

- Tutaj mi dobrze - odpowiedział. - To prawda, chce mi się spać. Ostatnio mało spałem. Ale mam dla was jeszcze więcej wieści.

- Chodź do izby chorych - namawiałam go. - Tam będziesz mógł nam o wszystkim opowiedzieć.

Nie chciał się ruszyć, ale go zmusiliśmy. Dotarł do izby chorych o własnych siłach, a potem pomogliśmy mu się położyć i zdjęliśmy mu buty.

- Faj - powiedziałam. - Ale smrodek.

Próbowałam go rozśmieszyć, ale na próżno się wysilałam. Już spał.

15

Cały Kevin. I cała pani Gilchrist. Nigdy nie wiadomo, co knują dyrektorzy szkół. Kevin uparł się, żeby przeszukać jej gabinet i w dolnej szufladzie biurka znalazł niespodziankę: prywatny zapas alkoholu. Było tam pół butelki brandy, trzy czwarte butelki wytrawnej sherry i dwie puszki piwa.

- Rozbiłem bank! - zawołał Kevin, wchodząc z uśmiechem do pokoju nauczycielskiego i unosząc swoje trofea nad głową.

Ulokowaliśmy się w pokoju nauczycielskim, bo były tam najwygodniejsze krzesła. Jak to u nauczycieli.

Fi stała na warcie, ale doszliśmy do wniosku, że jedna szklaneczka jej nie zaszkodzi. Lee głęboko spał. Uznaliśmy, że trzeba coś dla niego zostawić, a do tego jeszcze trochę dla Fi. Potem zaczęliśmy się martwić, czy zostanie wystarczająco dużo dla nas.

W każdym razie wyglądało na to, że czeka nas mała imprezka. Homer przyniósł kilka kieliszków z nauczycielskiej kuchni. To zadziwiające, jak dobrze radzili sobie chłopcy z obsługą imprez, kiedy w grę wchodził alkohol.

Kevin nalał nam wszystkim sherry, a potem odchylił się na krzesło i wznosił toast.

- Picie nieletnich w pokoju nauczycielskim - powiedział.

- Moje marzenia się spełniają.

- Co więcej, stawia pani Gilchrist - dodał Homer.

- Za szczęśliwe zakończenia - powiedziałam. - Obyśmy wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

- To coraz mniej prawdopodobne - zauważył Homer.

Nie wydawał się jednak wyjątkowo zdołowany. Powiedział to ze śmiechem, jakby doskonale dawał sobie radę.

Zabawne, chyba wszyscy tak się zachowywaliśmy. Wieści od Lee - a raczej ich brak - powinny były nas przygnębić, bo teraz wydawało się już oczywiste, że akcja Nowozelandczyków się nie udała.

Tylko że już o tym wiedzieliśmy. No, w zasadzie nie wiedzieliśmy, ale się domyślaliśmy. To, że Lee potwierdził nasze przeczucia, nie zdołowało nas jeszcze bardziej. Zamiast tego cieszyliśmy się, że nasz przyjaciel żyje i jest w dość dobrej formie. Cieszyliśmy

się, że w ogóle go zobaczyliśmy. Oczywiście bardzo nam zależało na Nowozelandczykach, ale naszą piątkę łączyła więź silniejsza niż wszystko inne.

Na dnie mojego umysłu, w jego najmętniejszych głębinach, czaiły się dwie czarne myśli. Nie zdobyłam się na to, by je stamtąd wydobyć i dokładnie obejrzeć, ale czasami, kiedy byłam megazdołowana, na chwilę wyływały na powierzchnię. Jedną z nich była obawa, że już nigdy nie zobaczę rodziców. Drugą strach, że kolejny członek naszej grupy może zostać zabity.

Jedno i drugie oznaczałoby mój koniec. Ostateczny koniec. Nigdy nie myślałam o samobójstwie, nawet w najgorszych chwilach w więzieniu w Stratton, ale gdyby doszło do którejś z tych dwóch rzeczy, bez wątpienia nastąpiłby kres mojego życia.

Lee wrócił, więc mieliśmy co świętować, mieliśmy pretekst, by zrobić imprezę. I choć nie była to najbardziej zwariowana ani najweselsza impreza w moim życiu, okazała się znacznie lepsza niż ta poprzednia, w Wellington. Tym razem imprezowałam z przyjaciółmi, z prawdziwymi przyjaciółmi.

Dość szybko opróżniliśmy butelkę sherry, a potem Homer i Kevin zajęli się brandy i ginem. Picie tego bez lodu wydawało mi się mało przyjemne, a poza tym sherry wyczyniała już dziwne rzeczy w mojej głowie. Postanowiłam przystopować, zwłaszcza że za godzinę miałam stanąć na warcie. Podejrzywałam, że już teraz miałam co najmniej 0,05 promila, a nie chciałam, żeby podczas warty każde drzewo przypominało mi Marsjanina, a księżyc unosił się na niebie jak balon z helem.

Poza tym ostatnim razem, kiedy za dużo wypłam, skończyłam tak marnie, że wolałam tego nie powtarzać.

Lee ciągle spał. Jakby zamierzał pobić rekord. Jakimś cudem dotrwałam do końca warty, ale Homer i Kevin wcale mi nie pomagali, bo obaj strasznie się spili i robili więcej hałasu niż przedszkolaki w porze obiadu. Zorganizowali szalony turniej ping-ponga na stole w pokoju nauczycielskim, co w ciemności wcale nie było łatwe, a potem ganiłi się po całym budynku, popychając się nawzajem i urządzając zapasy. Co jakiś czas mówiłam im, żeby się zamknęli, choć chyba nie byli aż tak głośno. Jednak w porównaniu z ciszą, do której przywykliśmy, ich zachowanie zdecydowanie wymykało się spod kontroli.

Potem Kevin padł na drugie łóżko w izbie chorych i zasnął równie szybko jak wcześniej Lee. Wszystkie starania Homera, żeby go obudzić, spełzły na niczym. Tak więc Homerowi zabrakło towarzysza zabawy. Przyszedł do mnie i chwilę rozmawialiśmy, ale był dość zaprawiony i jego słowom brakowało sensu. Potem nagle zasnął na krześle i leżał przewieszony przez oparcie, przedstawiając sobą obrzydliwy widok i okropnie chrapiąc.

Od razu przestał być dobrym towarzyszem.

Kevin miał stanąć na warcie, więc bez większego przekonania próbowałam go obudzić, ale nawet nie drgnął, a nie chciało mi się robić scen. Zostawiłam go w izbie chorych, przysięgając sobie, że następnej nocy mi za to zapłaci. Spał dwanaście godzin, ale gdy tylko się obudził, zaciągnęłam go na wartę. Wyglądał paskudnie i pachniał jeszcze gorzej. Nie jestem pewna, czy cokolwiek widział przez nabiegłe krwią oczy.

Lee spał piętnaście godzin. Nikt z nas nie zastanawiał się nad tym, co powiedział tuż przed snem o kolejnych wieściach, które dla nas ma. Homer i Kevin byli zbyt skacowani, żeby o tym myśleć, a mnie po prostu wyleciało to z głowy. Może ostatnio uodporniłam się na dramatyczne nowinki. Miałam wrażenie, że znam już wszystkie.

Około południa usłyszałam, że Lee przewraca się na łóżku w izbie chorych. Weszłam do środka.

- Masz coś do jedzenia? - zapytał. - Umieram z głodu.

Tym razem był już w stanie jeść samodzielnie, ale ponownie dopilnowałam, by nie zjadł za dużo. Trochę ponarzekał, podobnie jak wcześniej, ale wydawał się rozkojarzony i szybko połykał jedzenie.

- Kiedy dostanę więcej? - zapytał.

- Za mniej więcej godzinę.

Ale ledwie zwrócił uwagę na moją odpowiedź.

- Ellie - powiedział - mogłabyś tu ściągnąć pozostałych?

Ton jego głosu mnie wystraszył. Mówił tak cicho i poważnie.

- Coś się stało? - zapytałam.

- Po prostu ich przyprowadź, proszę.

- Kevin stoi na warcie.

- Gdzie?

- W tym dużym pomieszczeniu przy drzwiach wejściowych. No wiesz, z przodu budynku. Jest stamtąd widok na trzy strony, a przy odrobinie wysiłku na czwartą też. Jedyne problem polega na tym, że w ciągu dnia osoba stojąca na warcie nie może się za bardzo poruszać. Byłaby dość dobrze widoczna.

Za dużo mówiłam, ale Lee mnie zestresował.

- W takim razie wejdę do sekretariatu - powiedział. - Kevin będzie mnie stamtąd słyszał. Zwołaj tam pozostałych.

Z wysiłkiem wstał z łóżka i pokuśtykał w stronę sekretariatu. Chciałam mu pomóc, ale najwyraźniej postanowił poradzić sobie sam. Widocznie sen dobrze mu zrobił. Pobiegłam po resztę. Czułam, że to, co ma do powiedzenia Lee, wiele zmieni - może nawet wszystko.

Wkurzałam się, bo znalezienie Homera i Fi zajęło mi pełną minutę. Gadali sobie w korytarzu między blokiem A a blokiem B. Kiedy jednak zobaczyli moją minę, przestali rozmawiać i szybko pobiegli za mną do sekretariatu.

- O co chodzi? - zapytał mnie Homer.

- Nie mam pojęcia.

- Oj, daj spokój. Przecież Lee mówi ci wszystko. Na pewno wiesz.

- Nie wiem, przysięgam. Poza tym Lee wcale nie mówi mi o wszystkim. Skąd ci to przyszło do głowy?

Lee siedział w sekretariacie na brązowym krześle obrotowym za biurkiem pani Myers. Kevin opierał się o kontuar, skąd mógł słyszeć Lee i widzieć, co się dzieje na zewnątrz. Nadal wyglądał blado i wydawał się przygnębiony. Ja, Fi i Homer zajęliśmy miejsca. Usiadłam na pustym zakurzonym biurku. Objęłam kolana rękami i wbiłam wzrok w Lee. Przez okna wpadało sporo światła, ale Lee wyglądał tak, jakby spowijał go głęboki cień. Trudno było zobaczyć jego ciemną twarz. Byłam ciekawa, jaką ma minę. Z tego, co udało mi się dojrzeć, wyglądał spokojnie.

Gdy zaczął mówić, zrobił coś, co mnie zaskoczyło. Wyciągnął dłoń i wziął Fi za rękę. Tego się nie spodziewałam. Patrząc na jego długie brązowe palce na białej skórze Fi, poczułam ukłucie zazdrości. Zastanawiałam się nawet, czy przypadkiem nie zaczęli ze sobą chodzić bez mojej wiedzy. Od razu dotarło do mnie jednak, jakie to śmieszne. I gdy tylko Lee zaczął mówić, zapomniałam, że trzyma Fi za rękę. Zahipnotyzował mnie ponury ton jego głosu.

- Powiedziałem wam, że przyniosłem jeszcze inne wieści. Nie jestem pewny, co stało się potem. Chyba zasnąłem, prawda? Przykro mi, że nie udało mi się tego powiedzieć wczoraj w nocy. Ale powiem to teraz.

Pochylił się trochę i odchrząknął. Jego głos, już i tak cichy, stał się jeszcze cichszy.

- Wiem, co się stało z naszymi rodzinami.

Rozległ się zduszony okrzyk, szloch i jęk. Nie jestem pewna, z czyjego gardła wydobyły się poszczególne dźwięki. Poczułam, że runął we mnie jakiś mur. To przypominało namacalne, fizyczne doznanie. Kevin szybko się odwrócił, zapominając o warcie. Jego rozłąka z rodzicami trwała krócej niż nasza, ale i tak była długa. Nie mógł mieć pewności, że

teraz czują się dobrze. Mogło ich spotkać dosłownie wszystko. To samo dotyczyło naszych rodzin.

Lee spojrzął na Homera.

- Twoi rodzice są gdzieś między Wirrawee a Stratton - powiedział. - Są w niezłym stanie. Pracują w grupach roboczych. Nie jestem pewny gdzie dokładnie. Ale ostatnim razem, kiedy o nich słyszano, wszystko było z nimi w porządku. Pracują w osobnych grupach, więc raczej nieczęsto się widują. George jest w Stratton. Przydzielili go do pracy w jednej z fabryk.

- George w fabryce - powiedział Homer. - Pewnie nie jest zadowolony. A mama i tata nie rozstawali się od dnia ślubu.

Mimo to jego szeroką brązową twarz ożywił wyraz ulgi. Rozejrzał się po sekretariacie, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

- Na początku posyłali do pracy tylko jednego członka rodziny, a pozostałych trzymali na terenie wystawowym jako zakładników - ciągnął Lee. - Teraz zabezpieczają się w ten sposób, że umieszczają ludzi w różnych grupach, więc jeśli z jednej ktoś ucieknie, mogą ukarać jego krewnych z innych grup. Sprytny system.

Zwrócił się do Kevina:

- Kevin, twój tata pracuje na farmie gdzieś na północy. Wszystko wskazuje na to, że radzi sobie dobrze. Twoja mama nadal jest na terenie wystawowym. Nie zostało tam zbyt wiele osób, ale razem z kilkoma innymi kobietami prowadzi żłobek. Twoi bracia też tam są. - Lee na chwilę zamilkł. - Wydaje mi się, że twoja mama jest coraz bardziej zdołowana. Wiesz, co mam na myśli? Pod tym względem chyba nie jest z nią najlepiej. Fizycznie czuje się dobrze, ale męczy się psychicznie.

Kevin skrzywił się i znowu się odwrócił. Nie sposób było wywnioskować, jak przyjął te wieści. Odniosłam wrażenie, że nie chce wiedzieć o problemach emocjonalnych. Podobnie jak wielu facetów ze wsi uważał, że należy być wystarczająco twardym, by ze wszystkim sobie poradzić. Był przekonany, że facetom powinno się usuwać kanaliki łzowe przy urodzeniu. W Nowej Zelandii nie palił się do rozmów z terapeutą. Tak naprawdę Homer i Lee przyjęli pomoc psychologiczną lepiej niż Kevin, czego wcześniej bym się nie spodziewała.

- Ellie - powiedział Lee.

Napięłam mięśnie i poczułam mdłości. Dlaczego Lee zaczął od chłopaków? Czy moi rodzice mieli jakieś kłopoty?

- Ellie, twój tata jest przetrzymywany na terenie wystawowym, w pawilonie. To specjalne miejsce dla osób, które nie wykazały chęci współpracy. Chyba coś w rodzaju więzienia, które jednak nie przypomina tego w Stratton. Chyba robił problemy, Ellie, bił się

ze strażnikami i tak dalej. Razem z nim siedzi tam mała grupka ludzi, mężczyzn i kobiet, wszyscy z tego samego powodu. Ale twój tata dostał surowszą karę, bo podobno próbował sabotować czołg, który miał naprawić. Czołg. Sprzęt wart z milion dolarów.

Pokiwałam głową, próbując zachować spokój.

- Ale nic mu nie jest?

- Słuchaj, ma kilka siniaków, to pewne. Ale biorąc pod uwagę okoliczności, najwidoczniej jest w niezłym stanie.

- A mama?

- Została przydzielona do domu w Holloway jako służąca.

- Jako kto?

Lee wydawał się zakłopotany.

- Przykro mi! Wiedziałem, że nie będziesz zachwycona. Ale właśnie tak to wygląda: wykorzystują kobiety jako służące w miastach i na farmach. Każą im zmywać, prasować, sprzątać i gotować. Tego typu rzeczy. Jak widzisz, są już dość dobrze zorganizowani.

Byłam wściekła.

- Mama musi być wniebowzięta. Boże, ona oszaleje. Nie znosi pracę i prasować, a co dopiero dla obcych ludzi. Jak oni śmia!

Lee nie odpowiedział, tylko zwrócił się do Fi.

- Fi, być może uda ci się zobaczyć rodziców.

Fi zbladła, zrobiła się biała jak ściana i nagle pomyślałam, że za chwilę zemdleje. Nigdy nie widziałam, żeby czyjaś twarz tak szybko straciła kolor. Zaciśnęła palce na dłoni Lee. Zobaczyłam, jak jej paznokcie wbijają mu się w skórę. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale potem tylko siedziała z otwartą buzią, nie mówiąc nic.

- Obydwoje pracują w okręgowym centrum dowodzenia - wyjaśnił Lee. - Ludzie posiadający jakieś specjalistyczne umiejętności zazwyczaj nie są rozdzielani. Zresztą twoja siostra jest przetrzymywana jako zakładniczka na terenie wystawowym. Twój rodzice pracują codziennie od ósmej rano do dziewiętnastej. Siedzą przy komputerach, załatwiają papierkową robotę i tak dalej. Sprawy administracyjne.

Jasne. Rodzice Fi byli prawnikami, więc musieli mieć tęgie głowy.

- Nowe centrum dowodzenia jest w wyższej szkole technicznej - ciągnął Lee. - Odkąd wysadziliśmy w powietrze Turner Street, musieli znaleźć nowe miejsce, z którego można kierować inwazją, a ta uczelnia ma wszystko, czego im potrzeba. Pracuje tam sześciu więźniów, a ochrona jest raczej leniwa. Po części dlatego, że na terenie wystawowym są

zakładnicy, a po części dlatego, że... Nie miej mi tego za złe, Fi, ale twoi rodzice raczej nie nadają się na partyzantów ani na terrorystów.

Fi próbowała się uśmiechnąć, ale jej nie wyszło.

- No więc w porze lunchu - ciągnął Lee - mogą wyjść na pół godziny. Zazwyczaj idą na spacer do parku. Jeśli chcesz, możesz się tam z nimi spotkać.

- Pewnie, że chce! - zawołałam.

Cieszyłam się ze względu na Fi i jednocześnie jej zazdrościłam. Miała się zobaczyć z rodzicami. Miała zobaczyć swoich rodziców, a ja nie. To było cudowne - wszyscy marzyliśmy o takiej chwili i tęskniliśmy do niej - więc byłam rozdarta między radością z powodu jej szczęścia a poczuciem winy, że nie cieszę się bardziej.

Fi siedziała, zastygła w bezruchu. Nie sposób było odgadnąć, o czym myśli. Była równie blada jak wcześniej i na chwilę przypomniała mi się Królowna Śnieżka, która potrzebowała miłości, by wyrwać się z zimnego, samotnego snu. Podeszłam do niej i przytuliłam ją, jednocześnie wiedząc, że czasami nawet przyjaciele nie są w stanie pomóc.

- Ellie - szepnęła. - Nie wiem, co powiedzą, kiedy zobaczą moją twarz.

Byłam w takim szoku, że nie mogłam wydusić słowa. Blizna Fi zaczynała się pod brodą i biegła w górę, mijając usta po prawej stronie. U góry zbladła, więc najbardziej rzucała się w oczy część pod brodą, a w okolicach ust blizna była już prawie niewidoczna. Ja już do niej przywykłam, więc przestałam ją zauważać, ale w Nowej Zelandii kilka razy się wkurzyłam, widząc, że niektórzy ludzie naprawdę robią z tego sensację. I mówiąc „ludzie” mam na myśli chłopaków.

Słowa Fi wypowiedziane tutaj, w szkolnym sekretariacie, przepełniły mnie jednak przerażeniem. Rodzice Fi stali dość wysoko na drabinie społecznej Wirrawee, a jej mama uwielbiała drogie sukienki, perły, muzykę klasyczną i tego typu rzeczy. Wydawała więcej na jedną sukienkę niż moja mama na dziesięć. Jeśli mieliśmy nadwyżkę finansową, kupowaliśmy nową przyczepę, program komputerowy śledzący ceny bydła albo zestaw przenośnych paneli do zagród.

Naprawdę nie potrafiłam zrozumieć reakcji Fi. Moja przyjaciółka była chyba za bardzo zaskoczona. To wszystko stało się tak niespodziewanie. Dlatego uczepiła się pierwszej myśli, jaka przyszła jej do głowy, i wypowiedziała ją na głos.

Milczałam. Trzymałam ją za rękę. Pozostali z przejęciem zadawali Lee tysiące najróżniejszych pytań dotyczących rodzin, a ja tylko siedziałam i słuchałam.

- Skąd to wszystko wiesz? - Homer zadał pytanie, które nasunęło się nam wszystkim.

- Obok punktu widokowego wybuchł spory pożar. Pewnie go widzieliście...

Lee nie rozumiał, dlaczego zaczęliśmy się śmiać. Nawet Fi lekko się uśmiechnęła.

- Sami go wznieciliśmy - wyjaśnił Kevin. - Żeby uciec przed zgrają żołnierzy.

- Serio? Bawiliście się zapalkami? Puściliście z dymem kawał okolicy. Z tego co widziałem, mało brakowało, by spłonęło całe Wirrawee. W każdym razie kiedy szalał pożar, wielu żołnierzy pobiegło gasić ogień, więc pomyślałem, że to dobra okazja, żeby się ruszyć. Ukrywałem się na cmentarzu i nie chciałem tam dłużej siedzieć. Pamiętacie, jak Iain mówił, żeby nie tkwić zbyt długo w jednej kryjówce? No więc kiedy na ulicach zrobiło się pusto, zacząłem się skradać w stronę szkoły. Postanowiłem, że poczekam właśnie tam. Mniej więcej w połowie drogi poszedłem na skróty przez park i zobaczyłem doktora Krishnananthana. Zacząłem z nim rozmawiać, schowany za rododendronem. Chyba przeżył spory szok. Okazało się jednak, że robi to samo, co twoi rodzice, Fi, więc o wszystkim mi opowiedział. Pracuje nad programem komputerowym, który śledzi ruchy wszystkich jeńców, więc okazał się doskonale poinformowany. Nie ma jednak dostępu do informacji o dokładnym miejscu pobytu poszczególnych osób. Wie tylko, w którym regionie przebywają. Najeźdźcy nadal bardzo dbają o bezpieczeństwo.

- Zapytałeś go o Nowozelandczyków? - zainteresował się Kevin.

- Jasne. Nic o nich nie wiedział. Nie słyszał o żadnych tego typu akcjach. Ale powiedział, że lotnisko jest zarządzane odrębnie, więc gdyby coś się tam wydarzyło, władze w mieście wcale nie musiałyby o tym wiedzieć.

- Co jeszcze ci powiedział? - zapytałam.

Lee przez chwilę wpatrywał się w dal. Nie potrafiłam zgadnąć, co się z nim dzieje. W końcu powiedział:

- Niewiele. Pożar nas zaskoczył. Doktor K. poważnie się zmartwił. Oczywiście bał się żołnierzy, a poza tym jeszcze tego, że Wirrawee spłonie. Pożaru obawiał się chyba najbardziej. Przez całą rozmowę spadały na nas drobinki popiołu. Zresztą już wtedy byłem w kiepskiej formie. Czułem okropny głód i zmęczenie. Nie wiedziałem, czy lepiej spróbować wrócić do Piekła, czy może wymyślić coś innego. Nie wiedziałem, czy nadal tam będziecie, czy może połączyliście się z pułkownikiem Finleyem i wróciliście helikopterem do Nowej Zelandii albo wyruszyliście do miasta, żeby nas szukać. Doszedłem do wniosku, że jeśli nie znajdę czegoś do jedzenia, zabraknie mi sił, by wrócić do Piekła. A nie miałem pojęcia, skąd wziąć pożywienie. Doktor K. wcale mi nie pomógł.

Powiedział, że surowa kontrola racji żywnościowych dla jeńców uniemożliwia przemyślenie czegokolwiek.

Do głowy przyszła mi pewna myśl, więc zapytałam:

- W którym miejscu szkoły zamierzałaś się ukryć?

Wyglądał na zdziwionego.

- Schowałem się w szopie na rowery. Pomyślałem, że nikt nie będzie tam zaglądał.

Roześmiała się, uradowana.

- Mam zdolności paranormalne! Zawsze o tym wiedziałam!

Powiedziałam im o wiadomości, którą zostawiłam w chatce pustelnika. Nie zrobiła na nich większego wrażenia, ale moim zdaniem cała historia była świetna. Uwielbiam takie dziwne przypadki. Mieliśmy jednak tak wielki mętlik w głowie z powodu przejęcia, zdenerwowania, kaca i braku snu, że gadaliśmy jak wariaci, miotając się po sekretariacie niczym rój szarańczy.

Stopniowo wywiązała się jednak bardzo rzeczowa, poważna rozmowa. Okazało się, że musimy podjąć trzy ważne decyzje. Po pierwsze, zorganizować spotkanie Fi z rodzicami. Po drugie, wycofać się w bezpieczne miejsce. Naiwnie myślałam, że uda się poprzestać na tych dwóch sprawach, ale Lee wyskoczył z trzecią.

Z atakiem na lotnisko.

Na szczęście wspominał o tym dopiero wtedy, gdy zdążyliśmy się oswoić z dwiema pierwszymi. Tamte były dość proste do zrealizowania. Doktor K. miał przekazać rodzicom Fi, że ich córka jest w pobliżu, by byli gotowi na spotkanie. W nocy odeskortowalibyśmy Fi w umówione miejsce, w którym zaczekałaby, aż rodzice wyjdą na lunch. Fi miała przed sobą długi dzień, ale kto by się tym przejmował. Warto było poczekać.

Ja też miałam przed sobą długi dzień, bo Fi poprosiła szeptem, żebym poszła razem z nią, a przecież nie można odrzucić takiej prośby. Nawet przez myśl mi to nie przeszło.

Drugie zadanie też nie było zbyt trudne. Mieliśmy się skontaktować z pułkownikiem Finleyem w środę i doszliśmy do wniosku, że jeśli do tego czasu nie zjawią się Nowozelandczycy, wrócimy do Wellington bez nich. Niczego więcej nie mogliśmy dla nich zrobić.

Potem nagle wypłynął trzeci temat. Myślę, że zaskoczył nas wszystkich, nie tylko mnie.

- Musimy zaatakować bazę lotniczą - oznajmił Lee.

Powiedział to ot tak, spokojnie i bez emocji. Ale bardzo zdecydowanie. Zapadła pełna zdumienia cisza.

- Nie możemy tego zrobić - odezwał się w końcu Kevin.

- Właśnie że możemy.

- Skoro nie udało się to dwunastu Nowozelandczykom, wyszkolonym i świetnie uzbrojonym, to jakie mamy szanse? Powiem ci jakie: zerowe. Chyba upadłeś na głowę. Nie ma mowy. Za nic w świecie.

- Możemy i musimy to zrobić - odpowiedział Lee. - Nie wrócimy do Nowej Zelandii z podkulonymi ogonami. Nie możemy wrócić, nawet nie spróbowawszy. Bardzo prawdopodobne, że Nowozelandczycy nie żyją. Musimy to zrobić dla nich. Musimy znaleźć jakiś prosty sposób, któremu podołamy.

- Wiesz, jak wyglądał ich plan? - zapytałam.

- Mniej więcej - odpowiedział Lee. - Mieli ładunki wybuchowe, które chcieli przyczepić do samolotów.

Lee cały czas mówił, nie patrząc na nas. Jakby był wiele kilometrów stąd. Robiło to dziwne wrażenie. Jasne, nadal był zmęczony, nadal dochodził do siebie po niedożywieniu, samotności i strachu poprzednich dni i nocy, ale czułam, że chodzi o coś innego, o coś, czego nie rozumiałam.

Do sporu włączył się Homer.

- Szkoda, że w ogóle to zaproponowałeś - powiedział zgorzkniałym tonem. - Przysięgam, że mam już dość zgrywania bohaterów. Ale skoro już to zrobiłeś... No tak. Postawiłeś nas w trudnej sytuacji. Będzie nam bardzo trudno zrezygnować.

- Zagłosujmy - zaproponowała Fi. Nadal była bardzo cicha, jakby jeszcze nie przezwyciężyła szoku.

Już miałam się zgodzić, ale Lee mnie prześcignął.

- Głosujcie, jeśli chcecie - powiedział. - Dla mnie to bez różnicy. Jak będzie trzeba, zaatakuję lotnisko sam. Możecie iść ze mną albo nie. Jak sobie chcecie.

Wszyscy zaprotestowaliśmy. Stawianie nas w takiej sytuacji było nie w porządku. Gdybyśmy puścili Lee samego, a on by nie wrócił, co by się z nami stało? Gdybyśmy poszli razem z nim i zginęli, też nie byłoby fajnie. Próbował nam narzucić swoją wolę, a żadne z nas tego nie lubiło.

Lee nie potrafił nas jednak zrozumieć. Albo nie chciał. Ciągłe powtarzał:

- To moja decyzją i moje życie. Nie macie z tym nic wspólnego. Jeśli nie chcecie iść ze mną, w porządku.

Lee znowu był w nastroju spod znaku zemsty i honoru. Wiedziałam, że nie będzie chciał nas słuchać. Najdziwniejsze było to, że nie wiedział, jak zaatakować lotnisko. Miał jedynie niewyraźne poczucie, że powinien to zrobić.

Dyskusja zakończyła się około czwartej, lecz nie doszliśmy do porozumienia. Zamiast radości z powodu wieści o rodzicach czuliśmy zmęczenie i złość. Poszłam się przespać, by nadrobić braki po nocnej warcie. Znowu jednak nie mogłam zasnąć. Kręciłam się i wierciłam na wąskim, twardym łóżku, rozmyślając o tych wszystkich sprawach: o moich rodzicach, o tacie zamkniętym w więzieniu i o mamie, która musi pracować brudną obcych ludzi, o rodzicach Fi i spotkaniu, na które tylko ona może mieć nadzieję, o uporze Lee, o jego szalonej ambicji zabicia siebie i każdego, kto z nim pójdzie.

I nagle z przerażeniem i poczuciem winy pomyślałam o dwóch pytaniach, których żadne z nas mu nie zadało. Nie mogłam uwierzyć, że tego nie zrobiliśmy, i teraz wydaje mi się to jeszcze bardziej niewiarygodne. Jedynym wytłumaczeniem jest to, że mieliśmy zbyt wiele spraw na głowie: nasze umysły były przeciążone. Tyle że to żadne usprawiedliwienie. Byłam przerażona, zniesmaczona, przepełniona niedowierzaniem i wstydem.

Ale rozumiałam.

Zrozumiałam wszystko.

16

Znalazłam go dopiero po jakimś czasie. Zajrzałam do każdego pomieszczenia w każdym bloku: do sekretariatu, sal lekcyjnych, pokoiów nauczycielskich, nawet do toalet.

Potem pomyślałam: „A, no jasne, ale ja jestem głupia, dlaczego od razu na to nie wpadłam?”.

Okno zastałam otwarte. Poszłam prosto do szopy na rowery.

Było już po dziewiątej wieczorem i zrobiło się zupełnie ciemno, za ciemno, by cokolwiek widzieć. Nie miałam jednak wątpliwości. Wiedziałam, że tam jest.

Stałam w drzwiach i zadałam pierwsze pytanie.

- Lee, co się stało z twoją rodziną?

Nie padła żadna odpowiedź. Ruszyłam do przodu, zrobiłam trzy kroki, próbując coś dojrzeć w ciemności, próbując zobaczyć, gdzie może siedzieć Lee. Było niemożliwie ciemno. Spróbowałam jeszcze raz.

- Lee? Czy oni wszyscy nie żyją?

Z lewej strony, w najciemniejszym kącie szopy dało się słyszeć coś w rodzaju łkania. Odwróciłam się w tamtym kierunku i wyciągając ręce, żeby uniknąć zderzenia z ewentualnymi przeszkodami, po omacku podeszłam do Lee. Przez kilka ostatnich metrów szurałam, nie chcąc odrywać nóg od podłogi. W końcu natrafiłam na jego kolana. Dotknęłam ich. Poczułam, jak przez ciało Lee przebiega dreszcz. Odnalazłam jego ramię i lekko obróciłam go do siebie. Potem jakby się na mnie osunął. Zaczął się tak bardzo trząść, że słyszałam szczekanie jego zębów. Objęłam go i mocno przytuliłam. Miałam poczucie, że to najważniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam, że jeśli okażę mu zbyt mało miłości, Lee kompletnie się załamie albo wyślizgnie mi się i już nigdy nie wróci - nie tylko do mnie: do nikogo, nawet do samego życia. Modliłam się do Boga, znowu do Boga Robyn, by dał mi wystarczająco dużo miłości, która zatrzyma Lee przy nas. Myślałam, że będę go tuliła, ile będzie trzeba, nawet jeśli potrwa to całą wieczność. Byłam zdruzgotana swoim poczuciem winy: przez cały czas mówiliśmy o naszych rodzicach i o lotnisku, a nie przyszło nam do głowy, by zapytać Lee o jego rodzinę. To uczucie stopniowo jednak ustąpiło. Zrozumiałam, że tak naprawdę to bez znaczenia, że miłość może przewyciężyć te wszystkie głupie nieporozumienia, że ktoś, kto naprawdę cię kocha, wie, co masz w sercu, więc nieważne, czy

popęłniłeś jakiś błąd. Patrzy ponad twoimi słowami i odczytuje to, co naprawdę czujesz. Jeśli to mu się spodoba, jeśli uzna to za coś dobrego, jest w stanie ci wybaczyć dosłownie wszystko.

Tak właśnie myślałam, siedząc tam, w ciemności, czując, jak drętwieją mi nogi i lewa ręka, tuląc Lee i próbując wspólnymi siłami odegnąć siły strachu, samotności i smutku.

Trochę to trwało. To chyba jedna z tych bitew, których nigdy się nie wygrywa. Trzeba ją toczyć po wieki. Może najlepsze, na co można liczyć, to uniknięcie oddania zbyt dużego pola, świadomość, że dopóki walczysz, możesz przynajmniej stać na własnej ziemi, w każdym razie przez większość czasu. Może właśnie to trzeba nazywać zwycięstwem.

Siedzieliśmy tak chyba z dwie godziny, zanim nagle zaczął mi o wszystkim opowiadać. O tym, że jego rodzice zostali zabici, gdy tata Lee zaatakował strażnika na terenie wystawowym, i strażnik wystrzelił dokładnie w chwili, kiedy mama Lee biegła go powstrzymać. Rodziców Lee uśmierciła jedna kula. A stało się to na oczach młodszego rodzeństwa mojego przyjaciela. Jego bracia i siostry nadal byli na terenie wystawowym, pod opieką kobiet prowadzących żłobek.

Mniej więcej godzinę później zadałam Lee drugie pytanie, które nie dawało mi spokoju.

Ku mojemu zaskoczeniu odpowiedział natychmiast. Odpowiedź była jednak inna, niż się spodziewałam. Nie użył słów. Zamiast tego wstał, wziął mnie za rękę i wyprowadził z szopy w suche, gorące powietrze nocy. W porównaniu z mrokiem panującym w szopie było dość jasno, całkiem sporo widziałam. Wokół nadal unosił się zapach spalonych drzew i trawy, a gdy szliśmy przez boisko, na wzgórzu nad miastem zobaczyłam drzewa otoczone czerwoną poświatą. Trzeba było wielu dni, by spłonęły. Każde z nich było masą rozgrzanego czerwonego węgla, która wymagała długotrwałej ostrożnej obserwacji. Miałam nadzieję, że ktoś się tym zajął. Pożary lasów są niebezpieczne nie tylko wtedy, kiedy buchają płomienie.

Chyba obydwójce czuliśmy się kuloodporni, kiedy oddalaliśmy się od szkoły. Nie wiem dlaczego, nie mam pojęcia. W każdym razie był to chyba jedyny raz od początku inwazji, kiedy nie zaprzęaliśmy sobie głowy rozglądaniem się ani stosowaniem środków szczególnej ostrożności.

W dodatku nie powiedzieliśmy pozostałym, że się oddalamy, co było dość niebezpieczne. Nie potrafię tego usprawiedliwić. Po prostu o tym nie pomyśleliśmy.

Na ulicach znowu staliśmy się ostrożni. Nie rozmawialiśmy ze sobą. Chyba się domyślałam, dokąd idziemy. Robiliśmy to co zawsze: trzymaliśmy się cienia, nie szliśmy ulicą, lecz raczej przemykaliśmy od ogrodu do ogrodu, uważając zwłaszcza na

skrzyżowaniach. W mieście panował spory ruch. Wcale mnie to nie zdziwiło: wiedzieli, że ukrywamy się gdzieś w pobliżu i być może zaczęło do nich docierać, że jesteśmy w mieście, a nie w lesie. Pomyślałam, że po powrocie do szkoły powiem pozostałym, że czas się stąd wynosić. Siedzenie tu dłużej było zbyt niebezpieczne.

Aktywność mieszkańców sprowadzała się jednak głównie do ruchu pojazdów, których dość łatwo unikaliśmy. Co jakiś czas przejeżdżały samochody i ciężarówki - niektóre wyraźnie się dokądś spieszyły, inne wyraźnie patrolowały okolicę. Widzieliśmy też patrol pieszy, ale ukryliśmy się w krzakach i poczekaliśmy, aż przejdzie. Naprawdę przestałam się bać, że na widok żołnierzy znowu stracę panowanie nad sobą. Sytuacja się zmieniła.

Około drugiej dotarliśmy na cmentarz. O drugiej w nocy na cmentarzu jest zimno, nawet w tak ciepłą noc jak tamta. Lee nie wahał się ani chwili. Dobrze wiedział, dokąd iść. Ruszyliśmy główną alejką i prawie przy samym końcu skręciliśmy w lewo. Już zaczynałam płakać. Wzięłam Lee za rękę i mocno ją ścisnęłam. Znowu skręciliśmy w lewo i podeszliśmy do rzędu świeżych grobów. Były zwyczajnymi kopczykami surowej karmelowej ziemi. Naliczyłam ich siedem albo osiem. W każdym tkwił mały biały krzyż. Trochę się różniły od ozdobnych szaro-białych nagrobków z marmuru w sąsiednim rzędzie. Tamte były sprzed wojny. Niektóre mierzyły dwa metry wysokości, a dwa miały krzyże dwukrotnie większe ode mnie.

Grób Corrie był trzecim kopczykiem ziemi. Na białym krzyżu widniało jej imię i nazwisko wraz z datą śmierci. Nic więcej. Łzy płynęły mi po twarzy, ale były tylko wodą z moich oczu. Nie czułam, że płaczę, tak jak czują normalni ludzie. Nie szlochałam. Miałam jednak szczęście, że Lee trzymał mnie za rękę, bo gdyby go przy mnie nie było, osunęłabym się na ziemię. A gdybym upadła, jak owca w czasie suszy, chyba już bym się nie podniosła. Tak działa wojna. Albo zabija cię od razu, albo niszczy po kawałku. Tak czy inaczej cię dopada.

Nie staliśmy tam długo. Chyba obydwójce mieliśmy dość smutku jak na jedną noc, dość emocji. Zerwałam z drzewa kilka czerwonawych kwiatów, zmówiłam cichą modlitwę i obiecałam Corrie, że wrócę i spędzę przy niej więcej czasu. Potem trochę się odsunęliśmy i usiedliśmy na nagrobku w sąsiednim rzędzie.

I wtedy ta tragedia uderzyła we mnie z pełną siłą. Corrie była w moim wieku, była moją najlepszą, najlepszą przyjaciółką, z którą dzieliłam dzieciństwo. To była Corrie, którą w wieku czterech lat mama znalazła zapłakaną w pokoju i która na pytanie, co się stało, odpowiedziała ze łzami w oczach: „Ellie kazała mi iść do mojego pokoju, a przecież nawet nie zrobiłam nic złego!”. Corrie, która bawiła się ze mną w szkołę, wykorzystując w roli

uczniów małe głupiutkie owieczki, które przed rozpoczęciem lekcji usiłowała nakłonić, by ustawiły się w równych rzędach. Corrie, z którą w pierwszej klasie postanowiłyśmy zrobić coś złego i wyrzuciłyśmy lunch Eleanor do kosza, a potem napełniłyśmy jej pudełko na kanapki owczymi kupkami. Tak sobie tym nagrabiłyśmy, że potem byłyśmy w szoku. Nie zdawałyśmy sobie sprawy, jakie to niegrzeczne. Ale już tydzień później w przebieralni na basenie podrzucałyśmy majtki do wentylatora pod sufitem i jedna para spadła prosto na twarz pani Mercer.

W wieku siedmiu lat bawiłyśmy się w dentystki i naprawdę wyrwałam Corrie jeden ząb. Oczywiście i tak się ruszał, więc Corrie nie miała nic przeciwko temu, ale pani Mackenzie na chwilę zaniemówiła. Organizowałyśmy teatryki kukielkowe i pokazy magii dla naszych rodzin, pobierając dwadzieścia centów za wejście. Zjadłyśmy całe opakowanie oranżadki w proszku, którą Corrie zwinęła mamie z torby z zakupami, a potem jakimś cudem nabrałyśmy przekonania, że to trutka na szczury, więc wpadłyśmy w panikę i pobiegłyśmy do kranu, żeby spróbować ją wypłukać z ust. Na pierwszym biwaku leżałyśmy w namiocie, wysysając pastę do zębów z tubek. Innym razem, w tym samym namiocie, udawałyśmy małżeństwo. Całowałyśmy się i dotykałyśmy nawzajem, tak jak naszym zdaniem całowali się i dotykali poślubieni sobie ludzie. A na innym biwaku tak długo sobie wmawiałyśmy, że obok namiotu czai się potwór, że w końcu naprawdę się wystraszyłyśmy, z krzykiem pobiegłyśmy do domu i odmówiłyśmy wyjścia na zewnątrz.

Po prostu byłyśmy kumpelkami. Zawsze trzymałam Corrie za rękę, kiedy szliśmy parami do biblioteki, na basen albo do pracowni plastycznej. Podobnie jak Fi, przerabiałyśmy typową listę dziecięcych zainteresowań: jazz, balet, lekcje pływania, nauka gry na pianinie, klub jeździecki. W przeciwieństwie do Fi w żadnym z tych miejsc nie wytrzymałyśmy zbyt długo. Miałyśmy za dużo do roboty w domu, a nasi rodzice narzekali, że ciągle trzeba nas gdzieś wozić. Przeszłyśmy klasy: pierwszą, drugą, trzecią i czwartą. Pisałyśmy do chłopaków listy miłosne, a następnego dnia dochodziłyśmy do wniosku, że oni jednak nam się nie podobają. Grałyśmy w softball w dziecięcej lidze Wirrawee, ale kiedy Corrie wyleciała za to, że była niegrzeczna wobec naszej trenerki Narelle, odeszłam z drużyny na znak protestu. Próbowaliśmy podglądać postrzygaczy przez małą dziurkę w ścianie ich łazienki. Urządziłyśmy zawody, żeby sprawdzić, która z nas wytrzyma dłużej bez pójścia do toalety, i przy okazji omal nie eksplodowały nam pęcherze. Na obozie w piątej klasie założyłyśmy się z innymi dziewczynami, że pobiegniemy topless do masztu i z powrotem, i ja naprawdę tak zrobiłam, ale Corrie, która miała już co nieco do ukrycia, stchórzyła. Szósta klasa, siódma i ósma. Przeczytałyśmy w pewnym magazynie, że czasami dziewczyny, które blisko się

przyjaźnią, miesiaczkują w tym samym czasie, więc próbowałyśmy się zsynchronizować, ale bezskutecznie. Przez ponad jedno półrocze prowadziłyśmy rejestr kolorów majtek Andrew Matthewsona, który nosił opadające spodnie i zawsze siedział przygarbiony z rozłożonymi nogami. Robiliśmy to dla żartu, ale czasami nawiedzała mnie myśl, którą nie podzieliłam się nawet z Corrie: marzyłam o tym, żeby pewnego dnia Andrew zapomniał włożyć majtki.

Corrie, która doprowadzała się do rozpaczy przed każdą klasówką. Corrie, która przez całą lekcję pisała na komputerze litery A - same litery A - a potem kopiowała je i wklejała, dopóki w końcu nie stworzyła pliku o objętości ośmiu megabajtów. Potem kliknęłyśmy na statystykę wyrazów. Wynik pokazał się po dwunastu i pół minutach.

Corrie, która złamała obojczyk, spadając z przyczepy ciężarówki, kiedy wyjmowałyśmy słupki starego ogrodzenia. Corrie, która namówiła mnie, bym czołgała się za nią wąskimi szczelinami między belami siana w stodole jej rodziców, a potem nagle spanikowała, stwierdziła, że nie będzie w stanie stamtąd wyjść i dostała totalnej klaustrofobii. Corrie, która zakochała się w Kevinie tak szaleńczo i niespodziewanie, że zaczęłam być zazdrosna i zachowywałam się tak jak on. Na początku próbowałam nawet wybić jej go z głowy, ale o dziwo, nie posłuchała: zakochała się w nim, zdobyła go i w końcu musiałam się pogodzić z tym, że nasza przyjaźń zmieniła się już na zawsze.

Wiedziałam, że Kevina też będziemy musieli przyprowadzić na ten cmentarz, bo miał do tego takie same prawo jak ja, a może nawet większe, bo bardzo się poświęcił, zawożąc Corrie do szpitala.

Ale nie, pomyślałam, ja też mam prawo tutaj być. Przyjaźniłam się z Corrie. Przyjaźniłyśmy się przez całe życie.

A teraz moja najlepsza przyjaciółka leżała w ziemi, pod dwoma metrami ciężkiego piachu, odgradzona ode mnie tym piachem i całą wiecznością. Jak to możliwe? Omawiałyśmy tyle planów na przyszłość: miałyśmy wynająć wspólnie mieszkanie, pójść na studia, podróżować po świecie, pracować jako pilotki, farmerki, nauczycielki, lekarki albo nianie. Nawet przez chwilę nie przyszło nam do głowy, że nasze plany mogą się zakończyć w taki sposób. Nie miałyśmy w planach śmierci. Nigdy nawet o niej nie wspomniałyśmy. Myślałyśmy, że jesteśmy niezniszczalne. Co teraz ze mną będzie? Zawsze snułyśmy plany dla dwóch osób, ale Corrie mnie opuściła i zostałam sama. Czułam się jak bliźniaczka syjamska odcięta od siostry. Jasne, miałam Fi, którą oczywiście bardzo kochałam, ale dorastałam z Corrie, a nie z nią.

Po raz ostatni widziałam Corrie w szpitalu. Pomyślałam, że już wtedy się z nią pożegnałam i w pewnym sensie wiedziałam, że więcej jej nie zobaczę. Teraz jednak

zrozumiałam, że wcale nie pogodziłam się z jej śmiercią. Było tyle rzeczy, które powinnam była jej powiedzieć, które chciałam jej powiedzieć, które zapomniałam powiedzieć. A teraz? Jak miałam je powiedzieć? Nawet gdybym żyła sto lat, nie dostanę drugiej szansy.

- Skąd wiedziałeś, że tu jest? - zapytałam Lee.

Wzruszył ramionami i objął mnie.

Przyjęłam to z wdzięcznością, chciałam, żeby mnie objął, i przytuliłam się do niego.

- Nie wiem. Po prostu się rozglądałem. Ukrywanie się na cmentarzu zrobiło się strasznie nudne. Zauważyłem nowe groby i pomyślałem, że pewnie leżą tu ludzie, którzy umarli po inwazji.

- Gdzie leżą twoi rodzice?

- Pochowali ich na terenie wystawowym.

Wyprostowałam się trochę, odsunęłam od niego i spojrzałam mu w oczy.

- Na terenie wystawowym? Dlaczego? Dlaczego nie tutaj?

- Wszystkie osoby poddane egzekucji, bo tak określają mordowanie ludzi, są zakopywane na terenie wystawowym. Nie wiem dlaczego. Chyba myślą, że ktoś tak nieposłuszny nie zasługuje na właściwy pochówek.

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Powiedział mi doktor Krishnananthan.

- Więc to od niego usłyszałeś o ich śmierci? Nie widziałeś ich grobów?

- Zgadza się.

- Och, Lee. To wszystko jest takie smutne.

Przytulaliśmy się do siebie chyba z godzinę, próbując pocieszyć się nawzajem.

W końcu powiedziałam:

- Lepiej już wracajmy.

- Nie chcę.

- Tak, wiem.

I wiedziałam dlaczego. Po powrocie musieliśmy przekazać te wieści pozostałej trójce.

W pewnym sensie wolałabym znowu stanąć twarzą w twarz z wrogiem niż zmierzyć się z takim zadaniem.

Czasami przyjaźń ma wysoką cenę. Kochałam Fi i lubiłam jej rodziców, ale kiedy poprosiła, żebym schowała się z nią w parku, by na nich poczekać, najpierw się zgodziłam, a potem zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę wcale nie chcę tego zrobić.

Dlaczego? Nie jestem pewna. To wszystko chyba mnie przerosło. W ciągu jednej nocy dowiedziałam się o śmierci trzech osób, które były dla nas bardzo ważne, doświadczyłam smutku, o jaki już się nie podejrzewałam (myślałam, że już nigdy nie będę w stanie niczego poczuć), i zrozumiałam, że nadal jestem dość mocno zakochana w Lee. A to wszystko wydarzyło się tuż po tym, jak Fi poprosiła, bym poszła z nią do parku.

Fi jakoś dziwnie zareagowała na wieść o śmierci rodziców Lee i Corrie. Chyba to do niej nie dotarło. Nie zareagowała smutkiem, tak jak Homer, ani wściekłością i rozpaczą jak Kevin. Może była na to wszystko znieczulona. Szok związany z informacjami o jej rodzicach przemienił ją w coś w rodzaju robota. Jakby się wyłączyła.

Kilka razy doświadczyłam tego samego, więc od razu to w niej zauważyłam.

O czwartej trzydzieści nad ranem poszłam jednak do parku razem z nią i Lee, który pokazał nam miejsce pośrodku drzewiastych paproci, gdzie miałyśmy się ukryć. Było tam chłodno i wilgotno.

W przeciwieństwie do paproci wokół szkoły, te w parku przetrwały zaniedbanie na początku inwazji. Teraz ktoś o nie dbał, bo liście miały świeży zielony kolor, a pnie - wyraziście brązowy

Oczywiście zobaczyliśmy to dopiero po wschodzie słońca. Przystawiliśmy ławkę, co było zaproponowanym przez doktora Krishnananthana sygnałem dla rodziców Fi, a gdy Lee poszedł, cały czas szukałam wygodnego miejsca. Wśród paproci było tak wilgotno, że wkrótce miałam mokry tyłek. Poza tym było dość chłodno. Po chwili wstrząsnęła mną seria kichnięć, których naliczyłam chyba z siedem. To wyrwało Fi ze śpiączki. Nerwowo wyjrzała z kępy paproci, na wypadek gdyby setki żołnierzy biegły w naszą stronę z pudełkami chusteczek. Albo z czymś w tym rodzaju.

Z niecierpliwością czekałam na świt, który miał przynieść ocieplenie, ale nawet po wzejściu słońca żaden żar nie dotarł do naszej kępy paproci. Tak został zaprojektowany park. Poczulałam, że niedługo umrę z powodu wyziębienia organizmu. Kiedy przestałam panować

nad szczykaniem zębami i żadna ilość masowania nie chciała rozgrzać moich rąk i nóg, powiedziałam do Fi:

- Muszę na chwilę wyjść na słońce, bo to zimno mnie wykończy.

Za bardzo się denerwowała, by wyjść razem ze mną, ale ciągle się rozglądała, kiedy cieszyłam się dwiema krótkimi minutami w ciepłe wczesnego poranka.

Dzień włókł się niemiłosiernie. Długo milczałyśmy. Było tyle do powiedzenia, że nie wiedziałyśmy, od czego zacząć. Co chwila spoglądałam na zegarek: siódma pięćdziesiąt, ósma pięć, ósma piętnaście, ósma trzydzieści pięć. Miałyśmy nadzieję, że zobaczymy, jak rodzice Fi idą do pracy, ale nie zobaczyłyśmy. Prawdopodobnie przyjeżdżali samochodem albo ciężarówką z terenu wystawowego, a parking był po drugiej stronie budynku.

W końcu wczułam się w sytuację. Zaczęłam się cieszyć szczęściem Fi. Jedyne problemy polegały na tym, że kiedy zaczęłam kichać, nie mogłam przestać. Za każdym razem, gdy kichałam, Fi podskakiwała jak oparzona, a potem ze strachem rozglądała się, czy nikt nie nadchodzi. Próbowałam zdusić kichanie, ale czasami się nie udawało. Zawsze wyznawałam zasadę, że powstrzymywanie się od kichania jest szkodliwe. I rzeczywiście, już wkrótce rozboleła mnie głowa, dowodząc słuszności mojej teorii.

Dziesiąta trzydzieści pięć, jedenasta, jedenasta piętnaście, jedenasta czterdzieści pięć. Wskazówki zegarka przesuwają się tak wolno, że co chwila zbliżałam go do ucha, by sprawdzić, czy nadal działa. Nie wiedziałyśmy, o której godzinie wyjdą rodzice Fi, ale przypuszczaliśmy, że po południu. Żadna z nas nie była w stanie usiedzieć na miejscu. Fi była tak bardzo przejęta, że prawie robiła piruety. Zaczęła mówić. Ciągle dotykała swojej blizny, zaczynała jakieś zdanie, przechodziła do następnego i zapomniała, o czym mówiła wcześniej.

- Myślisz, że ta paproć jest... Przypomina mi ogrody botaniczne w Stratton... Ciekawe, czy je zbombardowali... Pamiętasz tamtejszy kościół? Na pewno... O, popatrz, na ręce pomnika usiadł gołąb... Widziałas kiedyś, jak papugi pana Morrisona...

Wszystko było tak pokawałkowane, jakby Fi nie słyszała samej siebie. Jąkała się, plątała i zmieniała temat. Potrzebowała pięciu minut, by wydusić z siebie kilka słów.

Nie miałam do niej jednak pretensji. Wiedziałam, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Fi przeżyje jedno z najważniejszych chwil w swoim życiu, chwile, o których wszyscy marzyliśmy i do których tęskniliśmy, i które dla co najmniej jednego z nas miały już nigdy nie nastąpić. Ciągle się zastanawiałam, co czuł Lee, przygotowując się do powiedzenia Fi, że będzie mogła się spotkać z rodzicami. Wiedział, że sam nie dostanie takiej szansy. W każdym razie nie w tym życiu.

Oprócz smutku z powodu Lee czułam jednak szczęście z powodu Fi. Żałowałam tylko, że w moim małym ciele nie ma więcej miejsca, by pomieścić wszystkie te gwałtowne, dzikie uczucia, które krzyczały wewnątrz. Już teraz było tam tłoczno - wątroba, wyrostek robaczkowy, jelita, serca i reszta tego śmiecia. Zdecydowanie nie było miejsca na uczucia. Mimo to udało im się gdzieś wepchnąć. Większość zamieszkała w żołądku - narobiły tam okropnego bałaganu - ale niektóre pełzły mi po rękach, a inne utknęły w gardle, jakbym połknęła gałkę od drzwi.

Gdy o tym wszystkim myślałam, upłynęło następne trzydzieści minut. I nagle Fi tak mocno ścisnęła mnie za lewy nadgarstek, że omal nie złamała mi kości. Tak samo, jak niedawno ścisnęła rękę Lee. Nie miałam pojęcia, że jest taka silna. Podniosłam głowę i spojrzałam na budynek uczelni. Zobaczyłam ich. Wolno szli po trawie, próbując zachowywać się normalnie. Wyglądali całkiem dobrze. Obydwoje byli bardzo chudzi, jak zawsze, tyle że przed wojną byli szczupli, a teraz kościści. Obydwoje mieli na sobie dzinsy i T-shirty, co było zabawne, bo wcześniej lubili raczej sztruks i tweed. Bez krawata pan Maxwell wydawał się nagi.

Fi wydała z siebie ciche łkanie. Gdybym jej nie przytrzymała za koszulkę, chyba od razu by do nich podbiegła. Nie byłam od niej lepsza, bo trzy razy bardzo głośno kichnęłam. Państwo Maxwellowie spojrzeli w naszą stronę, jakby usłyszeli strzały. Potem obydwójce rozejrzeli się wokół z widocznym poczuciem winy. Szli oddaleni od siebie o jakieś pięć metrów, ale mieli tak skoordynowane ruchy, że wyglądali, jakby łączył ich jakiś niewidzialny sznurek.

Miałam rozpaczliwą nadzieję, że nikt ich nie obserwuje. Zlustrowałam wzrokiem park, szukając znaków jakiegokolwiek ruchu.

Państwo Maxwellowie minęli paprocie, każde z innej strony, a potem pan Maxwell udał, że zauważył coś godnego zainteresowania. Zawołał żonę i pokazał jej to, a potem oboje weszli w zarośla jak para botaników w dżungli.

Wyszczrzyłam się do nich radośnie, a pan Maxwell nerwowo się do mnie uśmiechnął i poklepał mnie po ramieniu, choć oczywiście obydwójce patrzyli na kogoś innego.

- Och, moje biedactwo, co ci się stało w twarz? - powiedziała pani Maxwell, obejmując Fi ramieniem i jakby wtulając ją w siebie.

Zostawiłam ich samych i oddaliłam się na skraj zarośli. Udawałam, że chcę sprawdzić, czy nie nadchodzą żołnierze, ale gdyby nawet jakiś się zjawił, niewiele mogłabym zrobić. My mogliśmy uciec, lecz państwo Maxwellowie nie, bo młodsza siostra Fi była przetrzymywana na terenie wystawowym jako zakładniczka. A gdybyśmy i uciekły we dwie i żołnierze by nas

zauważyli, domyśliliby się, że to nas szukali w lesie, że to my wznieciłyśmy pożar. W takim wypadku rodzice i siostra Fi znalazłby się w wielkich tarapatach.

Z drugiej strony nie mogliśmy tak po prostu zostać i dać się złapać. Choć od rana spędziłam z Fi mnóstwo czasu, nie zastanowiłyśmy się nad tym, co zrobimy, jeśli ktoś nas zobaczy. Pewnie zaczęłybyśmy uciekać - musiałybyśmy uciekać - ale konsekwencje byłyby tak okropne, że nie umiałam sobie wyobrazić, jak później miałybyśmy z nimi żyć.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, w jak ogromnie niebezpiecznej jesteśmy sytuacji. Powinnyśmy były lepiej to zaplanować. Traciłyśmy stary nawyk ostrożności, który miałyśmy przed ucieczką do Nowej Zelandii. Zaczynaliśmy się czuć zbyt swobodnie.

Miałam poczucie winy, ale liczyłam na to, że Fi nie spędzi z rodzicami zbyt dużo czasu.

Oczywiście tak naprawdę oddaliłam się dlatego, że chciałam, by Fi miała rodziców tylko dla siebie. To były dla niej cenne chwile - możliwe, że upłyną miesiące, a nawet parę lat, zanim coś takiego się powtórzy - i mimo wszystkich zagrożeń starałam się im nie przeszkadzać.

Był chyba jeszcze jeden powód, dla którego się oddaliłam. Bardzo prosty. Udział w tym spotkaniu był dla mnie najzwyczajniej zbyt bolesny. Za bardzo mnie ranił. To wszystko.

Przykucnęłam zatem na skraju wilgotnej zieleni, kichałam najciszej, jak umiałam, a potem wycierałam nos i znowu kichałam.

Słyszałam, jak w zaroślach głos Fi wznosi się i opada. Brzmiał zadziwiająco spokojnie. Mówiła głównie Fi. Pewnie miała im mnóstwo do powiedzenia. Kilka razy usłyszałam swoje imię, ale po raz pierwszy w życiu starałam się nie podsłuchiwać. Usłyszałam niski, dudniący głos pana Maxwella, który wspomniał coś o siostrze Fi, Charlotte, i nagle omal nie zachichotałam, bo przypomniałam sobie ckliwy artykuł w nowozelandzkim magazynie „New Idea”. Był poświęcony relacjom między ojcami i dziećmi i napisano w nim, że częsta nieobecność ojca nie ma znaczenia, jeśli czas, który poświęca dziecku, ma „wysoką jakość”.

Zastanawiałam się, czy redaktorzy „New Idea” uznaliby „jakość” tego spotkania za „wysoką” i czy nie miałyby dla nich znaczenia to, że Fi nie widziała się z ojcem przez ponad dziewięć miesięcy.

Spojrzałam na zegarek. Wiedzieliśmy, że przerwa na lunch państwa Maxwellów trwa tylko pół godziny. Doktor K. podkreślił, że powinni wrócić o czasie. W przeciwnym razie nadzorca przyjdzie ich szukać i wlepi im wysokie kary, bo jego zadanie polegało na tym, by

wszyscy byli tam, gdzie powinni być, i robili to, co powinni robić. W zasadzie kary nie miały większego znaczenia, ale nadzorca, który wyjdzie ich szukać, mógł nam bardzo zaszkodzić.

Obliczyłam, że upłynęły już dwadzieścia cztery minuty i uznałam, że muszę się wtrącić.

- Chyba za parę minut będą państwo musieli wracać - zawołałam.

Przed wojną nie ośmieliłabym się przerywać takim ludziom jak Maxwellowie, ale teraz zrobiłam to właściwie bez wahania.

- Tak - odpowiedział pan Maxwell. - Dzięki, Ellie, już idziemy.

Wracając między paprocie, usłyszałam, jak żegnają się z Fi.

Spojrzałam na nich. Było widać, że pani Maxwell płakała. Oczy pana Maxwella też były czerwone. Obydwoje mnie uściskali i powiedzieli miłe słowa, więc domyśliłam się, że Fi dobrze się o mnie wyrażała.

- Jeśli zobaczą państwo moich rodziców, proszę im przekazać, że bardzo, bardzo ich kocham - powiedziałam. - Proszę im powiedzieć, że wszystko u mnie w porządku. Ze za nimi tęsknię i codziennie o nich myślę, i nie mogę się doczekać, kiedy znowu ich zobaczę. Proszę im powiedzieć, że land-rover nadal stoi ukryty na Szwie Krawca.

Nie wiem, dlaczego powiedziałam to ostatnie zdanie. Chyba po prostu chciałam pokazać, że jestem odpowiedzialna i troszczę się o samochód albo coś w tym rodzaju.

Obydwoje pokleпали mnie po ramieniu i wyszli z zarośli od strony niewidocznej z budynku uczelni. Roześmiałam się, a Fi zachichotała, widząc, że postanowili zgrywać niewiniątka, na wypadek gdyby ktoś ich obserwował. Szli jak zakochani, trzymając się za ręce, całując i migdałąc jak w starym filmie. Od razu było widać, jakie chcą stworzyć wrażenie w związku z pobytem w krzakach. Fi, która stała już obok mnie, pisnęła.

- Ale wstyd! - dodała. - Boże, mam nadzieję, że nikt nie patrzy.

Mimo wszystko podziwiałam ich odwagę i spryt. To był dobry pomysł.

Gdy podeszli do budynku, zza rogu wyłonił się żołnierz i coś do nich powiedział, ale najwidoczniej nie chodziło o nic poważnego.

Przypomniało mi to jednak, że jesteśmy w samym środku gniazda wroga.

Stałyśmy w obliczu następnego długiego oczekiwania. Przed przyjściem do parku postanowiłyśmy, że zostaniemy tam do zmroku. Ale tym razem to ja - zazwyczaj cierpliwa i ostrożna - przekonałam Fi, że powinnyśmy ruszyć wcześniej.

- Nawet jeśli pokonanie stu metrów zajmie nam godzinę, i tak będzie ciekawiej niż sterczeć tu cały dzień - uznałam.

Fi zgodziła się po krótkim wahaniu. Była w innym nastroju niż wcześniej. Zafascynowana obserwowałam tę zmianę, która zaszła w tak krótkim czasie. Fi wydawała się rozmarzona, mówiła nie na temat, wszystkie zmartwienia i rozglądanie się wokół pozostawiła mnie. Sama chciała jedynie bez końca trajkotać o swoich rodzicach. Oczywiście to całkiem zrozumiałe, ale nadal byłyśmy w ogromnym niebezpieczeństwie.

Powoli wycofałyśmy się spomiędzy paproci i szłyśmy dalej, przez kępy krzaków i drzew. W pewnej chwili Fi była tak rozkojarzona, że pochyliła się i wyrwała zielsko z rabatki obok nas.

- Na miłość boską, Fi - zdenerwowałam się. - Skup się na tym, co się dzieje, dobra?

Odwrociła wzrok, ale nic nie odpowiedziała. Miałam poczucie winy i byłam na siebie zła.

Chłopcy mieli czekać w szkole, więc zmierzałyśmy w tamtą stronę. Nasz powrót nie miał w sobie nic interesującego, nie licząc tego, że w pewnej chwili, przechodząc niedaleko kliniki weterynaryjnej, zobaczyłyśmy lotnisko. Zdziwiłam się, widząc, że małe lotnisko Wirrawee, które przed wojną było pasmem ubitego piachu dla cessn i cherokee, dla samolotów do opryskiwania pól i dla bogatych farmerów, zmieniło się w duże ruchliwe miejsce z tuzinem brązowo-zielonych odrzutowców zaparkowanych przed dużym, nowym terminalem. Poza tym stał tam ogromny nowy hangar, całą bazę otaczało ogrodzenie pod napięciem zwieńczone drutem kolczastym, a pas startowy był z betonu, znacznie dłuższy niż dawniej. W dodatku wszędzie kręciło się pełno ludzi. W czasie naszej krótkiej obserwacji naliczyłyśmy osiemnaście osób.

Nic dziwnego, że Nowozelandczycy chcieli zaatakować to lotnisko. Stanowiło ono ważny element planów naszych wrogów.

Zauważyłam też, że żołnierze pracują nad ulepszeniem drogi prowadzącej do lotniska. Ściągnęli tam mnóstwo równiarek, buldożerów i ciężarówek, całkiem jak w czasie pokoju. Poczulałam zaskoczenie i smutek, widząc, że wszystko idzie im gładko i nie przejawiają najmniejszych oznak strachu przed przeciwnikiem.

Nie dostrzegłam żadnych śladów ataku przeprowadzonego przez Nowozelandczyków albo kogokolwiek innego. W ogrodzeniu nie było ani jednej dziury, nie widziałam żadnego zniszczonego samolotu ani nawet wybitej szyby w oknie. Dwunastu nowozelandzkich żołnierzy zniknęło bez śladu.

To mi przypomniało, że Fi miała zapytać o nich rodziców. Ale nie zapytała. Zapomniała. Znowu się wkurzyłam, tyle że tym razem wykazałam wystarczającą samokontrolę i powstrzymałam się od naskoczenia na przyjaciółkę.

Nie mogłyśmy tak stać i się przyglądać. Na niebie nadal świeciło słońce, a nasza kryjówka była bardzo niepewna. Dlatego wycofałyśmy się chyłkiem i ponownie ruszyłyśmy w stronę szkoły.

Gdy dotarłyśmy na miejsce, chłopcy byli znacznie miłsi dla Fi niż ja. Tylko że oni nie siedzieli z nią przez większość dnia, przyczajeni w wilgotnych paprociach, bez słowa podziękowania. Zebrali się wokół nas i zadawali milion pytań, śmiejąc się razem z nią. Czułam, że zostałam zepchnięta na boczny tor. Stałam i kichałam.

Jasne, byłam zwyczajnie zazdrosna i tęskniłam za swoimi rodzicami. Ale to mnie nie usprawiedliwia. Mogłam być życzliwsza. Jeśli ktokolwiek miał wtedy prawo czuć się podle, to raczej Lee. On zachowywał się jednak tak, jakby naprawdę cieszył się szczęściem Fi. Znając Lee, jestem pewna, że udawał. Może był zadowolony, ale w głębi serca czuł najczystsza rozpacz.

Gdy sytuacja wróciła do normy, chłopcy zaczęli nam opowiadać, jak spędzili ostatnie godziny. Powinnam była się domyślić, co robili. Od wczesnego ranka aż do teraz dyskutowali o lotnisku. Wpadli nawet na ten sam pomysł co my: podkradli się do dobrego punktu obserwacyjnego i stamtąd przyjrzeni się bazie. Wynotowali, co moglibyśmy zrobić.

Od razu kazałam im pozbyć się tych notatek. Gdyby ktoś je u nas znalazł, natychmiast zostalibyśmy straceni jako szpiegzy albo sabotażyści. Nie mielibyśmy najmniejszych szans na wyjście z takiej opresji.

Mimo to wysłuchałam ich pomysłów. Przeważnie mówił Lee. Po kilku przyzwoitych posiłkach odzyskał trochę energii i zdrowia, ale napędzała go przede wszystkim myśl o zemście.

Po cichu postanowiłam mieć go na oku. Lee w zasadzie nie dbał już o to, czy przeżyje, czy zginie. Ale reszta z nas tak. Musieliśmy pilnować, by nie wpakował nas w kłopoty, robiąc coś szalonego albo zbyt brawurowego. Uznałam, że powinnam zamienić z nim parę słów na osobności i przypomnieć mu o jego młodszych braciach i siostrach. Może to mu uświadomi, że ma pewne obowiązki.

W każdym razie chłopcy wpadli na dwa pomysły. Słuchałam ich z lekkimi oporami, ale i tak wiedziałam, że nie będę miała zbyt wielkiego wyboru, gdy przyjdzie nam odpowiedzieć na wielkie pytanie o to, czy spróbujemy przypuścić atak. Skoro nie miałam wyboru w tej kwestii, mogłam przynajmniej dopilnować, by uwzględniono moje zdanie w mniej ważnych sprawach: jak, gdzie i kiedy uderzymy oraz na co sobie pozwolimy. Nie chciałam wylądować z kolejnym przechłapanym zadaniem w stylu siedzenia w ciemnym

kontenerze wypełnionym saletrą, który zostaje wwieziony do Zatoki Szewca przez ciężarówkę. Nie, dziękuję.

Jeden z pomysłów był dość sprytny, całkiem niezły. Trzy noce wcześniej Lee przechodził obok składu paliw Currs przy Back Street. Wszyscy znaleźliśmy to miejsce, bo wieki temu uprowadziliśmy stamtąd ciężarówkę, którą wykorzystaliśmy do wysadzenia w powietrze mostu w Wirrawee.

- A teraz posłuchajcie - powiedział Lee, patrząc na mnie i na Fi, jakby był nauczycielem przemawiającym do dwóch nowych uczennic.

Zastanawiałam się, ile upłynie czasu, zanim znowu zobaczę uśmiech na jego twarzy. Czy Lee kiedykolwiek się jeszcze uśmiechnie?

- Od tamtej pory zwiększyli środki bezpieczeństwa - ciągnął. - Wokół składu jest ogrodzenie z drutem kolczastym, wyższe niż kiedyś. W zasadzie takie samo jak to na lotnisku, wysokie na mniej więcej dwa i pół metra. Pilnują go dwaj strażnicy, którzy co jakieś pół godziny przechodzą po wewnętrznej stronie ogrodzenia. Muszę powiedzieć, że nie wydają się zbyt uradowani tą robotą.

- Też nie byłbym uradowany - powiedział Homer - gdyby życie upływało mi na krążeniu wokół składu paliw.

- Potem wracają do swojej małej stróżówki - podjął Lee. - Jest z blachy i stoi niedaleko głównej bramy. Dawniej było w niej chyba biuro.

- Zgadza się - powiedziałam. - Trzymali tam książkę zamówień. Kiedy potrzebowało się paliwa, wpisywało się swoje nazwisko i liczbę zakupionych litrów. A tamtej nocy, gdy wysadziliśmy most, ja i Fi wzięliśmy stamtąd kluczyki do cysterny.

- Chodzi o to, że teraz jest tam skład paliw dla lotniska - kontynuował Lee. - Wszystko widziałem. Ciężarówki z napisem „Paliwo lotnicze” podjeżdżają drogą od strony Stratton, podłączają węże do podziemnych zbiorników i opróżniają cysterny. W zbiornikach musi być tego mnóstwo.

- Pewnie ze względów bezpieczeństwa - dodał Kevin. - Nie chcą mieć na lotnisku zbiornika z milionami litrów paliwa.

- Od razu zaznaczam, że nie zamierzam ich wysadzać w powietrze - oświadczyłam. - Nie ma sensu. Zbudują nowe zbiorniki i znowu napełnią je milionami litrów.

- Wiem - zniecierpliwiał się Lee. - Nie tylko ty masz mózg, Ellie. Myślę raczej o czymś długofalowym, o czymś, co zniszczy delikatne silniki ich pięknych odrzutowców na długie tygodnie, a może nawet na zawsze. Albo sprawi, że runą na ziemię tuż po starcie.

Domyśliłam się, do czego zmierza.

- Chcesz sabotować paliwo?

- Właśnie.

- Jak?

- Cukrem.

- Skąd zamierzasz go wziąć?

- Włamiemy się do supermarketu.

- Skąd wiesz, że będzie tam cukier?

- Widziałem go. W ciągu dnia brama magazynu na zapleczu cały czas jest otwarta, zupełnie jak za dawnych czasów, i trzymają tam mnóstwo cukru. Całe palety.

- Ale cukier to nie wszystko - wtrącił się Homer. - Chcemy przypuścić atak w dwóch różnych miejscach. Założmy, że ty i Fi zaprawicie cukrem paliwo. W tym samym czasie moglibyśmy wzniecić następny pożar u stóp wzgórza za lotniskiem. Jeśli wiatr będzie wiał w odpowiednią stronę, tak jak ostatnio, ogień dotrze do bazy w pięć minut, zanim samoloty zdążą wystartować. Nie ma szans, by się uratowały. Moglibyśmy rozwalić co najmniej połowę z nich.

- Więc jeśli jeden plan zawiedzie, drugi powinien wypalić - podsumował Lee. - A jeśli wypalą obydwa, tym lepiej. Następne samoloty, które sprowadzą na miejsce tych spalonych, dostaną do baków paliwo zaprawione pysznym cukrem.

- Ale wtedy będziemy już z powrotem w Nowej Zelandii - zauważył Kevin.

Najwidoczniej ta część planu spodobała mu się najbardziej. W zasadzie nic dziwnego.

Siedzieliśmy i omawialiśmy wszystkie szczegóły. Plan miał wiele zalet. Jedną z nich było to, że mogliśmy wrócić do Nowej Zelandii bez plamy na honorze. Straciliśmy kontakt z Iainem, Ursulą i resztą Nowozelandszczyków, ale musieliśmy przyznać, że nie jesteśmy w stanie im pomóc. Mogli być tysiące kilometrów stąd. Jeśli zostali schwytani, na pewno nie przebywali już w Wirrawee. Mogli zostać rozwiezieni w dziesięciu różnych kierunkach. Do więzień o zastrzonym rygorze.

I oczywiście mogli już nie żyć. Doktor K. nic o nich nie słyszał i domyślałam się, że rodzice Fi też, bo w przeciwnym razie by o tym wspomnieli. Gdybyśmy jednak mogli przeprowadzić ich misję, coś przynajmniej ocalałoby z tej tragedii. Moglibyśmy się skontaktować z pułkownikiem Finleyem, wezwać śmigłowiec i wydostać się stąd. Mogłabym znowu rozmawiać z Andream.

Pośpiech, który towarzyszył naszemu wyjściu z Piekła, by ratować Nowozelandszczyków, wydawał się teraz dość naiwny. Przez chwilę myśleliśmy, że jesteśmy bohaterami na białych koniach, którzy ratują ludzi z opresji. No tak, w tej historii

rzeczywiście wystąpiły konie, ale reszta naszych marzeń pozostała tylko marzeniami. A towarzyszący temu pośpiech, odrzucenie ostrożności i rozwagi wpakowały nas w tarapaty. Napotkanie tamtych dzieci okropnie namieszało w naszych planach.

Jeśli chodzi o ratowanie misji, plan chłopaków miał zatem wiele zalet. Oczywiście wiązało się z nim także wiele problemów. Pierwszym było uzyskanie dostępu do cukru. W środku nocy, gdy Lee miał już dosyć cmentarza, zrobił sobie kilka małych wycieczek po Wirrawee, i jego zdaniem supermarketu nie pilnowali żadni strażnicy. Po ulicach miasta chodziły nieregularne patrole, średnio w odstępach półgodzinnych, ale sam supermarket zamknięto, dokładnie tak jak w czasie pokoju.

Zakładając, że udałoby nam się wejść do magazynu, następnym dużym problemem było przetransportowanie całego cukru do składu paliw Currs. Kolejne ryzyko wiązało się ze sforsowaniem tamtejszego ogrodzenia. Mogliśmy wziąć nożyce do cięcia drutu ze szkolnej narzędziowni. Po wyczyszczeniu i naoliwieniu cięłyby drut z łatwością. Gdybym dostała się na drugą stronę ogrodzenia, a Fi zasłoniłaby dziurę z powrotem, strażnicy raczej by jej nie zauważyli.

Martwiło mnie jednak wiele drobnych problemów. Gdyby choć jeden z nich pokrzyżował nam plan, byłoby po sprawie.

Chyba wszystko, co robiliśmy, wiązało się z takim ryzykiem, ale tym razem wydawało się ono jeszcze większe. To samo z planem chłopaków. Wzniecenie pożaru mogło już nie być takie łatwe. Długa susza, tak wcześnie w tym sezonie, zdecydowanie nam sprzyjała, podobnie jak noce bez rosy, ale z drugiej strony wróg wiedział, że jesteśmy gdzieś w okolicy, więc z pewnością był czujniejszy niż kiedykolwiek.

Właściwie bardziej przemawiał do mnie plan z paliwem, bo wymagał myślenia lateralnego (czy jak je tam zwą). Trzeba było ruszyć głową i użyć wyobraźni, a to wydawało się całkiem dobrym początkiem.

Homer bardzo chciał, abyśmy do przewiezienia cukru wykorzystali wózek golfowy z klubu. Nie chciał zrezygnować z tego pomysłu. Uważał, że taki pojazd jest cichy - i pod tym względem miał oczywiście rację, bo wózki golfowe są zasilane akumulatorowo. Poza tym są jednak powolne, rzucają się w oczy i prawdopodobnie od początku wojny nikt ich nie łądował. Akumulatory były pewnie kompletnie wyczerpane. Mimo to Homer nalegał.

- Chyba żartujesz - powiedział. - Próbujesz mi wmówić, że oficerowie nie wpadają do klubu, żeby pyknąć parę rundek? Założę się, że oficerowie każdej armii na świecie wszędzie szukają pola golfowego.

Musiałam przyznać, że to możliwe.

- Ale te wózki widać z odległości kilometra - spierałam się. - Zawsze są białe i oznakowane małymi flagami. Poza tym robią trochę hałasu.

- Kto go usłyszy o trzeciej w nocy? - zdziwił się Homer.

Miał na tym punkcie obsesję. Nie mogłam się pozbyć myśli, że być może potrzebuje po prostu kolejnej dobrej historyjki, którą będzie opowiadał po powrocie do Nowej Zelandii. W każdym razie czasami, kiedy ludzie kłócą się wystarczająco długo i zaciekle, można w końcu stracić poczucie rzeczywistości i przyznać im rację. Przekonują cię, nawet jeśli pomysł jest śmieszny. Dlatego w pewnej chwili prawie ustąpiłam.

- Słuchaj - powiedziałam - jeśli załatwisz wózek golfowy, który o trzeciej jeden będzie czekał pod supermarketem, skorzystamy z niego. Tylko wcześniej zetrzyj swoją krew z siedzenia. Nie chcę żadnego bałaganu.

Oczywiście pożałowałam tych słów, gdy tylko je wypowiedziałam. Homer wydawał się lekko wstrząśnięty, a Lee wyglądał tak, jakbym dała mu w twarz. Zazwyczaj nie żartowaliśmy z takich spraw. Przestały być zabawne wieki temu.

- Przepraszam - powiedziałam. - To był kiepski żart.

Nastąpiła niezręczna cisza, a potem wróciliśmy do omawiania planów. Jak zamierzaliśmy się dostać do supermarketu? Mogły tam być alarmy antywłamaniowe, choć te zainstalowane w szkole już nie działały. Nie mogliśmy jednak liczyć na łut szczęścia. Gdybyśmy narobili hałasu podczas włamania, ktoś mógłby się tym zainteresować. Gdybyśmy wybili szybę w oknie, patroli na pewno by to zauważyły i spotkałby nas gorszy koniec niż tę szybę. Im dłużej o tym myślałam, tym wyraźniej czułam, że to może być nasz największy problem.

- Możemy to zrobić w inny sposób - odezwała się Fi. - To bardzo ryzykowne, ale może się udać.

- No?

- Wiecie, że czasami patrzy się na otwarte okno i nie sposób zgadnąć, czy naprawdę jest otwarte, czy nie?

- Trudno odróżnić szybę od braku szyby. Racja.

- Zakładamy, że wybijemy szybę w oknie i żołnierze zauważą kawałki szkła. Ale jeśli nie będzie kawałków szkła, jeśli uprzątniemy je z parapetu i z ziemi, skąd będą wiedzieli, że szyba została wybita?

- Większość patroli jeździ teraz samochodami albo ciężarówkami - powiedział Lee, gdy reszta z nas zastanawiała się nad słowami Fi.

Miał na myśli to, że żołnierzowi w samochodzie trudniej będzie zauważyć wybitą szybę.

Potem zrobiliśmy chyba najzabawniejszą rzecz od początku inwazji. Po śmierci rodziców Lee i Corrie potrzebowaliśmy czegoś, na czym można by się skupić. Wieki temu widziałam w domu Corrie ścierkę do naczyń. To było, jeszcze zanim został zbombardowany. Teraz ta ścierka prawdopodobniegniła w ruinach. Była jedną z ulubionych ścierek pani Mackenzie. Ona uwielbiała różne oklepane teksty. Na ścierce widniał mniej więcej taki napis: „Kiedy to się skończy, przeżyję swoje załamanie nerwowe. Zapracowałam na nie, jestem do niego uprawniona, zasługuję na nie i na pewno z niego nie zrezygnuję”. Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, wydał mi się umiarkowanie zabawny, a potem ledwie go zauważałam. Zdawał się jednak streszczać nasze obecne nastawienie do życia. W każdym razie moje. Chciałam tylko wrócić do Nowej Zelandii i zaliczyć załamanie nerwowe. Bóg mi świadkiem, że na nie zasłużyłam, i Bóg mi świadkiem, że na pewno je przeżyję.

Ale zanim to nastąpi, miałam robotę do wykonania. Zupełnie jak na farmie. „Nieważne, że tego nie znosisz - masz to zrobić”. Chciałam pooglądać telewizję. Chciałam zadzwonić do Corrie. Chciałam wziąć motor i pojechać do Homera. Chciałam pograć na komputerze, napisać mejla do Robyn, popływać, pojeść, pospać, posłuchać muzyki...

Rondlowi do smażenia konfitur przydałoby się porządne szorowanie, jeśli w tym roku chcieliśmy jeść dżem. Skończyłaś już przebierać nasiona? Trzeba naostrzyć łańcuch piły motorowej. Pora powycinać trochę rzepów z wełny, Ellie. Popielnica w kuchence jest już pełna. Ellie, czy możesz sprawdzić, czy to stado baranów na pastwisku ma zanokcicę? Zbieranie kamieni, zbieranie patyków, opryskiwanie jeżyn. Nieważne, że tego nie znosisz - masz to zrobić.

Nie znosiłam tego, co teraz robiliśmy, ale wiedziałam, że trzeba to zrobić.

Nie mogę jednak powiedzieć, że nie znoszę tego, co wieczorem zrobiliśmy w szkole. Zamierzaliśmy ją zdemolować i wiedzieliśmy, że nikt się za to na nas nie wkurzy. Oczywiście oprócz wrogów. Ćwiczyliśmy różne sposoby bezgłośnego wybijania szyb w oknach. Tłukliśmy tylko te wzdłuż korytarza w bloku A, a i tak nie wszystkie, choć gdybyśmy pozwolili, Homer z pewnością nie przepuściłby żadnej.

Szybko znaleźliśmy najlepszy sposób: nałożyć koc na szybę, a potem uderzyć w nią czymś twardym w rodzaju młotka. Musieliśmy zadbać, by całe szkło wpadło do środka, a potem strącić jeszcze odłamki, które pozostaną w ramie, by patrol nie zauważył poszarpanych kawałków szkła.

Razem z Fi postanowiliśmy odrzucić uprzejmą propozycję Homera i zamiast na wózek golfowy zdecydowaliśmy się na taczkę. Trzeba było tylko ukraść jedną zawczasu i mieć ją pod ręką.

A jeśli chodzi o systemy zabezpieczeń - no cóż, nic nie mogliśmy na nie poradzić. Uzgodniliśmy, że jeśli odezwie się alarm, po prostu uciekniemy. Jeśli żaden alarm się nie włączy, zaryzykujemy i ruszymy do akcji.

18

- Ręcznik.

- Jest.

- Młotek.

- Jest.

- Nożyce do cięcia drutu.

- Są.

- Taczki.

- No nie, Ellie, naprawdę nie widzisz tych cholernych wielkich tacek, które przede mną stoją?

- Okej, okej, tylko sprawdzałam.

Przekleństwo w ustach Fi - jedno z najrzadszych zjawisk na świecie.

Znowu poczułam znajome napięcie. Boże, czy kiedykolwiek dotrzemy do etapu, w którym będziemy mogli przestać to robić? Ile razy będzie nam to uchodziło płazem? No, pomyślałam, dość tego biadolenia. Załatwmy to i miejmy to już za sobą.

Tak naprawdę czułam się trochę oszołomiona i przybita. Po ułożeniu planu rozeszliśmy się. Chyba musieliśmy się przygotować na to, co nas czekało, i każde z nas robiło to na swój sposób. To znaczy wszyscy oprócz mnie - ja przez najbliższe trzy godziny miałam stać na warcie.

Kiedy jednak skończyłam i zastąpił mnie Homer, zrobiłam coś, co nie dawało mi spokoju. Poszłam poszukać Lee.

Nie było łatwo go znaleźć, ale w końcu go namierzyłam. Siedział w narzędziowni i w zamyśleniu przyglądał się zakurzonej wyrzynarce. Większość dużych narzędzi zniknęła - prawdopodobnie została rozkradziona - i domyślałam się, że pewnego dnia wyrzynarka też stąd zniknie.

- Co robisz? - zapytałam Lee.

Trochę się denerwowałam.

- Szukam paliwa.

- Po co?

- Żeby ogień mógł się szybko rozprzestrzenić.

- I znalazłeś?

Bez słowa skinął w stronę dwudziestolitrowej beczki, która stała pod wyrzynarką.

- Jest pełna?

- Tylko w połowie. Ale lepsze to niż nic.

Oczywiście tak naprawdę wcale nie chciałam rozmawiać o paliwie i zakładałam, że Lee też. Położyłam dłoń na jego ramieniu.

- Lee, chciałam tylko to powtórzyć: bardzo mi przykro z powodu twoich rodziców.

- Rozmawiałaś z nimi kiedyś?

- W zasadzie nie. Kilka razy byliśmy w restauracji. I od czasu do czasu widywałam twoją mamę w szkole.

Westchnął i spojrział przez okno. Na zewnątrz było ciemno, ale wyglądał tak, jakby coś widział.

- Spotkało ich tyle zła. To nie w porządku.

Milczałam.

- Moja mama wyjechała z Wietnamu, kiedy miała jedenaście lat.

- Razem z uchodźcami?

Bardzo mało wiedziałam o tych sprawach, o powodach emigracji.

- Jej ojciec zapłacił kapitanowi statku, żeby ich zabrał.

- Więc wyjechali nielegalnie?

- O tak. W dodatku sporo ich to kosztowało. Na szczęście byli dość bogaci: dziadek handlował ubraniami i meblami. Ale zanim zorganizował ich ucieczkę z kraju, niewiele z tego pozostało. Zabrał ze sobą trochę złota, to wszystko. - Lee znowu westchnął. - Na statku znajdowało się ponad pięćdziesiąt osób, ale łódź była w dobrym stanie, a dziadek przyjaźnił się z kapitanem, więc podróż zapowiadała się dobrze. Odpłynęli bez większych problemów. Jednak gdzieś na Morzu Południowochińskim napadli na nich piraci. Wtedy to było powszechne zjawisko i kapitan był na to przygotowany. Rozdał pasażerom strzelby i próbowali odeprzeć atak. Ale przegrali. Piratów było zbyt wielu i okazali się zbyt dobrze uzbrojeni. No więc wtargnęli na pokład. Wszystkich przeszukali i przy dziadku znaleźli złoto. Wszystkich mężczyzn, którzy jeszcze nie zginęli, wyrzucili za burtę. Kobiety zabrali ze sobą. Dzieci zostawili. Pewnie uznali, że i tak niedługo umrą. Więc gdy moja mama po raz ostatni widziała swojego ojca, unosił go morski prąd, a gdy po raz ostatni widziała matkę, jej twarz niknęła w oddali razem ze statkiem piratów.

Lee na chwilę zamilkł. Nadal trzymałam go za rękę, ale zupełnie o tym zapomniałam. Byłam zahipnotyzowana, zmrożona tą przerażającą historią, którą opowiadał tak spokojnie, z pozoru bez emocji.

- Dzieci przeżyły - ciągnął. - Półtora dnia później znalazła je łódź patrolowa singapurskiej marynarki i wzięła je na hol. Ta historia stała się dość sławna. Gazety nazwały to „statkiem sierot”. Moja mama przyjechała do tego kraju po spędzeniu półtora roku w obozie dla internowanych. Dołączyła do wietnamskiej rodziny, którą mój dziadek znał jeszcze w Nha Trang. W końcu ci ludzie ją zaadoptowali i zostali jedynymi dziadkami, jakich kiedykolwiek poznałem. Ten zwój, o którym kiedyś ci wspominałem, to jedyna rzecz, jaką mam po ojcu mojej mamy. Mama zachowała go pomimo tego wszystkiego, co wydarzyło się na tamtym statku.

- Jak się poznali twoi rodzice?

- W liceum. Przez krótki czas się przyjaźnili, ale potem na trzy lata stracili kontakt. Przypadkiem spotkali się w pociągu. Zaczęli rozmawiać, doszli do wniosku, że się sobie podobają i historia potoczyła się dalej.

- A... - Zaschło mi w gardle, więc musiałam odchrząknąć i zacząć od początku. - A twój tata? Jak się tutaj znalazł?

- Jego historia wyglądała trochę inaczej. Ojciec mojego taty pracował dla amerykańskiego przedsiębiorstwa w Bangkoku jako programista komputerowy. Przenieśli go do Australii. Spodobało mu się tutaj i w końcu zdobył obywatelstwo. Rozzłościł się jednak, kiedy mój tata poślubił Wietnamkę, w dodatku taką, która w oczach dziadka nie miała prawdziwej rodziny. A kiedy moi rodzice przyjechali do Wirrawee i otworzyli restaurację, całkowicie zerwał z nimi kontakt. Uważał, że mój tata powinien mieć większe ambicje. Nie wiem, gdzie teraz jest rodzina taty. Pewnie już nigdy jej nie odnajdę.

Znowu zamilkł.

- Widzisz, dlatego to wszystko wydaje się takie niesprawiedliwe. Zwłaszcza dla mojej mamy. Tyle przeszła tylko po to, by zabił ją jakiś uzbrojony frajer na terenie wystawowym w Wirrawee.

- Jesteś... jesteś zły na tatę, że wdał się w bójkę z tymi wartownikami?

- Nie, jasne, że nie. Wpojono mi większy szacunek do rodziców niż wam, Angolom. Nigdy nie skrytykowałbym rodziców tak, jak wy to robicie. Zresztą jak mógłbym mówić, co powinni byli zrobić, a czego nie? Przecież mnie przy tym nie było.

Po raz pierwszy słyszałam, żeby Lee zwracał uwagę na różnice między naszymi rodzinami. To pokazało, jak bardzo poruszyła go śmierć rodziców.

Myszę, że potem postąpiłam niewłaściwie. Pochyliłam się, wzięłam twarz Lee w dłonie i pocałowałam go. Z zakłopotaniem i rozczarowaniem zdałam sobie sprawę, że on mnie nie całuje. Znowu usiadłam. Nagle zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie dojdzie do wniosku, że próbuję do niego wrócić. Miałam nadzieję, że nie. Raczej nie. To wszystko było zbyt skomplikowane. Nadal czułam jednak przygnębienie, patrząc, jak siedzi bez ruchu. Potem, na domiar złego, wstał i bez słowa, nawet na mnie nie patrząc, wyszedł z narzędziowni.

Dlatego byłam trochę roztrzęsiona. Ostatnio zdałam sobie sprawę, że nadal żywię do Lee silne uczucia. Historia jego rodziny bardzo mnie zafascynowała. Ogarnął mnie rozpaczliwy smutek, nie tylko z powodu Lee, lecz również jego rodziców i ludzi, których nigdy nie widziałam, takich jak jego dziadkowie z Wietnamu. Współczułam wszystkim uchodźcom, każdej sierocie, każdej ofierze wojny i okrucieństwa. Pocałowałam go na fali tych wszystkich emocji. Nie wiem jednak, jak on to odebrał. Pewnie uważał, że zachowałam się niedojrzale.

Dlatego nie potrafiłam się skupić na tym, co miałyśmy robić z Fi. Oczywiście widziałam, że trzyma taczki. Jak mogłam nie wiedzieć, skoro same je przyprowadziłyśmy.

Pożegnałyśmy się z chłopakami. Była to jedna z naszych standardowych sentymentalnych scen, w której sypaliśmy słabymi dowcipami i rzucaliśmy poruszające teksty w rodzaju: „Do zobaczenia”, „Powodzenia” i inne romantyczne powiedzonka. Myślałam, że nie będę w stanie spojrzeć Lee w twarz, ale on patrzył na mnie ze spokojem swoimi smutnymi oczami i nawet pocałował mnie w policzek.

Czasami, zwłaszcza po naszej kilkudniowej rozłące, miałam wrażenie, że jest ze dwadzieścia lat starszy ode mnie, a to było bardzo wkurzające. Teraz też tak się czułam. Może po śmierci rodziców ludzie nagle się starzeją.

Zdobycie tacek tak bardzo mnie zestresowało, że zastanawiałam się, jak sobie poradzę w trudniejszych chwilach, na przykład gdy trzeba będzie się włamać do supermarketu albo przepchać na taczkach torby cukru ulicami Wirrawee, albo dostać się do składu paliwa. Przynajmniej o trzeciej w nocy powinno tam być dość spokojnie. Nadal pamiętałam jednak, jak puściły mi nerwy, kiedy szłam z Nowozelandczykami i zobaczyłam wrogiego żołnierza. Byłam pewna, że to się nie powtórzy, ale czasami tamto wspomnienie nadszarpywało moją pewność siebie.

Chodziłyśmy od podwórka do podwórka, szukając tacek, i znalazłyśmy je dopiero za czwartym podejściem. Chociaż nie, niezupełnie. Zarówno na drugim, jak i na trzecim podwórku stały taczki, ale pierwsze były za małe, a drugie miały flaka. Te, które wybrałyśmy,

były najlepsze: duże, głębokie i dobrze napompowana. Martwiło mnie jednak to, że czuję coraz większe zdenerwowanie. Przecież ryzyko było raczej małe. Wchodziliśmy wyłącznie na łatwe podwórka, domy stały w sporej odległości od sąsiednich zabudowań i nie było żadnych wysokich płotów, które musiałybyśmy pokonywać. Nie spieszyliśmy się i poruszałyśmy się cicho. Dlaczego zatem tak się trzęsłam?

Dopchałyśmy taczki do parku Jubilee i schowałyśmy je w krzakach. Nadal miałyśmy mnóstwo czasu. Specjalnie wyruszyliśmy wcześniej, żeby uniknąć pośpiechu. Powodzenie całej tej operacji zależało od dobrej koordynacji czasowej. Ustaliliśmy, że kiedy my będziemy gotowe włamać się do składu paliw, chłopcy wzniesą pożar, który odwróci uwagę żołnierzy pilnujących paliwa. Potem miałyśmy szybko dołączyć do chłopaków i wydostać się z miasta. O świcie musieliśmy być już daleko. Zamierzaliśmy wrócić do Piekła, połączyć się z pułkownikiem Finleyem i zorganizować ucieczkę do Nowej Zelandii.

Z parku Jubilee było widać supermarket. Wdrapałyśmy się na wielki stary dąb i usiadłyśmy na niskiej gałęzi, by obserwować Wirrawee. Drzewo było piękne. Uwielbiam ludzi, którzy sadzą drzewa rosnące przez wieki. To oznacza, że myślą o innych - nie są egoistami, lecz troszczą się o przyszłe pokolenia, które będą mogły podziwiać efekty ich pracy. Z rolnictwem - z dobrym rolnictwem - jest chyba trochę podobnie. „Żyj, jakbyś miała umrzeć jutro, ale uprawiaj ziemię, jakbyś miała żyć wiecznie”. Tata zawsze to powtarzał.

To drzewo musieli zasadzić brytyjscy osadnicy, kiedy przybyli w te okolice. Pewnie spędziło tu całe swoje życie, radząc sobie z tym, co przynosił los. Nie okazywało strachu. Nie chowało się ani nie uciekało. Nie wzywało pomocy, kiedy coś szło nie tak jak trzeba.

- Ellie, nadal rozmyślasz o tym, że krzyknęłaś na widok tamtego żołnierza przy Warrigle Road? - zapytała nagle Fi.

Omam nie spadłam z drzewa. Skąd wiedziała?

Długo zwlekałam z odpowiedzią.

- Tak - przyznałam w końcu.

Myślałam, że walnie wielką mowę o tym, że nie powinnam się obwiniać i tak dalej, ale ona znowu mnie zaskoczyła. Nic nie powiedziała. Potem zaczęłam panikować, myśląc, że może według Fi powinnam się obwiniać, może żałowała, że nie towarzyszy jej ktoś bardziej niezawodny. Dlatego wypaliłam:

- Myślisz, że zawałam sprawę?

Lecz Fi znowu zachowała się niezgodnie ze scenariuszem, który pisałam dla niej w myślach.

- Chyba się nie dowiesz, dopóki znowu nie zostaniesz poddana próbie. - Zamilkła. - Kiedy czekałyśmy na moich rodziców, spisałaś się dobrze, ale to nie było zbyt niebezpieczne. W lesie i w punkcie widokowym byłaś fantastyczna, ale to też inna sytuacja, prawda?

- Tak - przyznałam. - Bo byliśmy w lesie i nie mieliśmy wyboru. I dlatego, że aby przetrwać...

- Wtedy działaliśmy pod wpływem chwili - przerwała mi Fi. - A teraz działamy z zimną krwią.

Miała rację. To robiło ogromną różnicę.

- Boisz się coraz bardziej czy coraz mniej? - zapytałam ją.

- Za każdym kolejnym razem, kiedy coś takiego robimy?

- Tak.

- Jasne, że bardziej.

- Ale czy nie powinniśmy bać się coraz mniej? Przecież mamy coraz większe doświadczenie. Powinno być coraz łatwiej.

Fi zadrzała. Siedziałyśmy bardzo blisko siebie i prawie poczułam jej gęsią skórę.

- Więzienie w Stratton - szepnęła. - Śni mi się w koszmarach, w tysiącach koszmarów. Nie potrafię o nim zapomnieć. Za każdym razem, kiedy zaczynamy jakąś akcję, myślę tylko o tym.

O twarzy Robyn...

- Nie myśl o tym - powiedziałam dość brutalnie. Nagle poczułam, że znowu muszę być twarda. - Nie myśl o tym. Inaczej te myśli cię sparaliżują. Pomyślisz o tym później, jeśli będziesz chciała, ale nie teraz.

Spuściła głowę.

- Tak, wiem, że masz rację.

Doszłam do wniosku, że lepiej jak najszybciej zmienić temat. Ale przez minutę nie byłam w stanie wymyślić nic, co nie sprawiłoby nam bólu. Corrie, rodzice Fi, rodzice Lee, rodzice pozostałych, nowozelandzki żołnierz, w którym podkochiwała się Fi - wszystko w naszym życiu wiązało się teraz z wojną. Zrozpaczona szukałam w przeszłości jakiegoś bezpiecznego tematu.

- Ciekawe, jak Courtney radzi sobie na terenie wystawowym.

Oczywiście Fi wiedziała, co robię - nie byłam zbyt subtelna - ale przyłączyła się do mojej gry. Courtney była najgłupszą lalą w naszym liceum. Bez makijażu, dodatków i discmana musiała się czuć zagubiona.

- Pewnie łązi za wszystkimi żołnierzami i trajkocze: „O, cześć, mam na imię Courtney, a ty?”. Mówiła tak do każdego nowego ucznia. Doprowadzała mnie tym do szału.

- Homer zawsze powtarzał, że obejrzenie *Sixty minutes* w CBS zajmuje jej półtorej godziny.

Fi zachichotała.

- Rozmiar jej stanika odpowiada jej IQ. Pamiętasz, co powtarzała, kiedy jej mama zwiodła Ryana, podając mu przez telefon błędną godzinę randki?

- Nie, co?

- Powtarzała: „Moja mama uwiiodła Ryana”.

O mało nie spadłyśmy z drzewa.

- Ciii - syknęłam. - Musimy być ciszej.

Mimo to w końcu zaczynałam dobrze się bawić. Od wieków nie plotkowałyśmy. W każdym razie miałam wrażenie, jakby minęły wieki. Tak naprawdę poplotkowałyśmy chyba pierwszej nocy ukrywania się w liceum.

- Wiesz, kogo jeszcze nie znoszę? - zapytałam. - Celii Smith.

- Nie, Celia jest fajna. Dlaczego jej nie lubisz?

- To okropna kłamczucha. Wszystko, co mówi, trzeba dzielić na pół, potem jeszcze raz na pół, odjąć liczbę, która przyjdzie ci na myśl jako pierwsza, i dopiero wtedy można się zbliżyć do prawdy.

- W ósmej klasie była bardzo lubiana. Pamiętasz, jak wszyscy do niej Ignęliśmy?

- No tak, jest całkiem zabawna. Ale powiedziałaaby wszystko, byleby tylko dobrze wypaść. Pamiętasz imprezę u Bernarda? Powiedziała, że ją zaprosił, a pół godziny wcześniej Bernard mi oświadczył, że Celia jest ostatnią osobą na świecie, którą chciałby zaprosić. Dodał, że gdyby musiał wybierać między Celią a panią Gilchrist, wybrałby panią Gilchrist. A pamiętasz, jak pani Kawolski zapytała Celię, czy spisała ode mnie wypracowanie z angielskiego, a Celia wstała i kłamała jak z nut? W podstawówce była dokładnie taka sama. Nie potrafiłabym jej zaufać.

Nagle musiałyśmy przestać rozmawiać, bo wystraszył nas warkot jakiegoś pojazdu w oddali. Z niepokojem obserwowaliśmy go z gałęzi. Był to jakiś samochód terenowy - nie jestem pewna, jakiej marki - który sunął powoli Barker Street, zwalniając jeszcze bardziej przed większymi budynkami. Umieszczony na dachu reflektor omiatał front każdego budynku, szukając czegoś, co budziłoby podejrzenia. Potem samochód skręcił i zniknął. Westchnęłyśmy i wróciłyśmy na swoje stanowiska.

- Jakie jest najgorsze kłamstwo, które kiedykolwiek powiedziałaś? - zapytała Fi.

Roześmiałam się.

- Powiedziałam rodzicom, że to nie ja wgniotłam karoserię land-rovera. Miałam zakaz prowadzenia samochodu pod ich nieobecność, ale pojechałam nad rzekę, żeby popływać z Homerem. Cofając, wjechałam na drzewo. Powiedziałam rodzicom, że to nie ja, ale pół godziny później się przyznałam. Oczywiście wiedzieli, że to moja sprawka. Nie było zbyt wielu innych podejrzanych.

- Ja chyba nigdy nie okłamałam rodziców - powiedziała Fi. - Ale w trzeciej klasie przyznałam się do czegoś, czego tak naprawdę nie zrobiłam, więc to też było kłamstwo.

- Co ci strześliło do głowy?

- Wiesz, nauczycielka strasznie na nas naciskała. Ktoś zakradł się do klasy na przerwie obiadowej i napisał brzydkie słowa na zeszytach Jodie. Bo wszyscy jej nie znosili. A pani Edelstein powiedziała, że nie będziemy mogli wrócić po lekcjach do domów, dopóki ta osoba się nie przyzna. Musieliśmy siedzieć w milczeniu, bez ruchu. I w końcu nie wytrzymałam, po prostu nie mogłam dłużej znieść tego napięcia, więc zgłosiłam się i powiedziałam, że to byłam ja.

- Boże - westchnęłam z podziwem. - Ja nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła.

- Rodzice byli wściekli, kiedy im o tym powiedziałam.

- Jak to? Byli wściekli, że napisałaś brzydkie słowa na zeszytach Jodie? Przecież tego nie zrobiłaś.

- Nie, byli wściekli, bo przyznałam się do czegoś, czego nie zrobiłam. Następnego dnia tata poszedł do szkoły i nawrzeszczał na panią Edelstein. Potem oczywiście trzeba było wznowić śledztwo i było jeszcze gorzej niż poprzedniego dnia. Ale nikt się nie przyznał.

- Chyba coś takiego pamiętam - powiedziałam. - Ale byłam wtedy w innej klasie. Tylko w tamtym roku nie uczyłyśmy się w tej samej. - Zerwałam liść i zaczęłam go przekłuwać paznokciem. - Twoi rodzice są zupełnie inni niż moi - powiedziałam. - Mój tata nigdy nie przychodził do szkoły. Chyba uważał, że edukacja to babska sprawa. - Westchnęłam. - Cieszysz się, że się z nimi zobaczyłaś?

- O tak, jasne. Było... Sama nie wiem. Miałam poczucie winy, że wy nie możecie zobaczyć swoich rodziców. To wydawało mi się takie niesprawiedliwe. Poza tym myślałam, że moi rodzice mogą być źli z powodu pewnych rzeczy, które zrobiliśmy. To znaczy oczywiście popieram wszystkie nasze działania, ale czasami myślę: „Och, szkoda, że nie ma z nami dorosłych, którzy mogliby nam powiedzieć co robić”. To strasznie pogmatwane. No i wiedziałam, że moja matka zmartwi się na widok blizny. - Mówiąc to, dotknęła twarzy palcami. - I rzeczywiście się zmartwiła. Słyszałaś, co powiedziała?

- Tylko początek. - Czułam się niezręcznie.

- No tak, tych słów nie da się już cofnąć. Nie przejmuję się, naprawdę. Prawdopodobnie jestem w lepszym stanie niż większość ludzi. Po prostu moja matka przeżyła szok, to wszystko.

Po raz pierwszy zauważyłam, że Fi często mówi „moja matka” zamiast po prostu „mama”.

Nie było jednak czasu, żeby się nad tym wszystkim zastanawiać. Usłyszałyśmy, że zbliża się następny pojazd i przestałyśmy rozmawiać. Powoli minął nas ten sam samochód terenowy. Gdy tylko zniknął, delikatnie dotknęłam kolana Fi.

- Pora ruszać.

- No tak. Okej.

Zeszłyśmy z drzewa i wyciągnęłyśmy taczki z krzaków. Fi popchnęła je na skraj parku, a potem znowu schowała w ciemności. Opracowałyśmy prosty plan. Ja miałam podejść do budynku i wejść do supermarketu przez okno. Gdyby udało się otworzyć drzwi od środka, miałam to zrobić, a wtedy Fi miała wprowadzić taczki. Gdyby okazało się to niemożliwe, miałam pomachać chusteczką, żeby Fi ustawiła taczki pod oknem i zaczęła, aż wyrzucę przez nie worki z cukrem. Najważniejsza była szybkość. Zakładałam, że żołnierze w samochodzie terenowym nie są aż tak głupi, by krążyć po ulicach w równych odstępach czasu. Z drugiej strony mogli być bardzo głupi. Najprawdopodobniej nie miało to większego znaczenia. Głupi żołnierz z bronią był równie niebezpieczny jak inteligentny żołnierz z bronią.

Przebiegłam przez ulicę w stronę supermarketu. Z boku budynku było małe okienko, które postanowiłyśmy wypróbować. Z walącym sercem przysunęłam do niego ręcznik i uderzyłam w szybę młotkiem. Byłam jednak zbyt wystraszona, żeby zrobić to jak trzeba, więc nic się nie stało. „No, dalej, Ellie” - ponagliłam się w myślach i uderzyłam jeszcze raz. Rozległ się zadowolający głuchy trzask i moje dłonie poczuły słabość sztuczonego szkła. Wyglądało na to, że szyba pękła na dwa albo trzy duże kawałki. Wepchnęłam je do ciemnego wnętrza sklepu i usłyszałam, jak rozpryskują się na podłodze.

Nie rozległ się alarm antywłamaniowy, więc działałam dalej. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na Fi, a ona dała mi znak ręką. Wcześniej uzgodniłyśmy, że jeśli się obejrzę i jej nie zobaczę, będzie to znaczyło, że coś jest nie tak. Owinęłam rękę ręcznikiem i strąciłam wszystkie odłamki szkła, które pozostały w ramie. Znowu spojrzałam na Fi, która znowu dała mi znak, więc zanurkowałam do środka, mając nadzieję, że skończy się najwyżej na powierzchownych zadrapaniach.

Okno było zaledwie dwa metry nad podłogą, więc mogłam wylądować całkiem zgrabnie. Wszędzie leżały odłamki szkła, a kilka z nich przyczepiło się do moich rąk, lecz na szczęście nie przecięły skóry i mogłam je zwyczajnie strzepnąć.

Potem zaczęłam krążyć po ciemnym sklepie.

Kiedy byłam małym szkrabem, marzyłam, by przez przypadek zamknięto mnie na noc w supermarkecie. Snułam fantazje o tym, jak wpadnę do działu z zabawkami, do działu z cukierkami, do działu ze zwierzętami i przez całą noc będą robiła to, czego dusza zapragnie, nie musząc słuchać dorosłych, którzy mówią: „Nie dotykaj tego”, „Wyjdź stamtąd”, „Nie, więcej już nie można, zjadłaś wystarczająco dużo”.

No cóż, marzenie się spełniło, ale za późno, jak większość marzeń. Wspominałam je jednak, chodząc po omacku po różnych działach, i lekko się uśmiechnęłam - uśmiechem, którego nikt nie widział, nawet ja.

Na środku supermarketu, tam, gdzie nie docierało światło z ulicy, było strasznie ciemno, ale stopniowo mój wzrok przyzwyczajał się do mroku. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż przed inwazją. Na większości półek było pusto i zauważyłam duże ogołocone przestrzenie, w których za dawnych czasów piętrzyły się ubrania, artykuły elektryczne i stały sklepowe manekiny. Mimo to sklep najwyraźniej dalej działał, tak jak powiedział Lee, który obserwował go przez otwarte drzwi magazynu. Tu i tam zauważyłam małe sterty różnych przedmiotów opatrzonych czymś, co wyglądało jak metki. Były to zwyczajne zapisane ręcznie kawałki papieru. Na przykład w części, gdzie dawniej sprzedawano odzież męską, stały sterty narzędzi ogrodniczych: motyki, grabie i łopaty.

Wiedziałam, dokąd mam iść. Niezbyt często przyjeżdżaliśmy na zakupy do miasta, ale kiedy już to robiliśmy, wracaliśmy naprawdę obciążeni. Mam na myśli cztery pełne kosze. Mama nie lubiła robić zakupów, więc starała się kupić jak najwięcej za jednym zamachem. Żeby to wszystko zabrać, podjeżdżaliśmy samochodem aż pod drzwi. Dlatego dość dobrze wiedziałam, gdzie co jest. Byłam w niewidocznej z ulicy części sklepu, w której przechowywano hurtowe ilości towaru ułożone na paletach i gdzie Lee widział worki z cukrem.

Właśnie tam się znalazłam. I rzeczywiście tam były. Paleta na palecie. Miałam wrażenie, że nie trzymają tam niczego poza cukrem. Gdyby był czas, rozerwałabym jeden worek i z radością spałaszowała kilka łyżek. Martwiłam się jednak, że i tak trwa to zbyt długo.

Nie miałam pojęcia, ile worków nam potrzeba, ale oszacowałam, że na taczkach zmieści się tylko sześć. I tyle powinno wystarczyć. Zaczynałam czuć dreszczyk emocji.

Gdyby nam się udało, powiedzielibyśmy o tym pułkownikowi Finleyowi i Nowozelandczycy mogliby zbombardować dowolne cele w regionie, nie napotykając żadnego oporu ze strony wrogich samolotów. To byłby wielki przełom.

Nadal była to jednak odległa przyszłość. Najpierw musiało się wiele wydarzyć. Wzięłam wózek na zakupy z głównej części sklepu i szybko wypełniłam go workami. Prawie nie było widać, że coś zniknęło z palety. Pomyślałam, że przy odrobinie szczęścia nikt tego nie zauważy. Wózek skrzypiał pod ciężarem i ciągle skręcał w bok. Z wysiłkiem skierowałam go jednak pod drzwi, które wcześniej z Fi wybrałyśmy. Na dole i u góry miały zasuwę, a do tego zamek yale i poprzeczną sztabę, ale żadne z tych zabezpieczeń nie wydawało się problemem. Napociłam się tylko przy dolnej zasuwie, która zacinała się i skrzypiała. Siłując się z nią, jęknęłam cicho ze zniecierpliwienia. Takie przeszkody zawsze mnie wkurzały. Poza tym bałam się hałasu. Ostatecznie zasuwę gwałtownie ustąpiła, pozbawiając mnie skrawka skóry z knykcia.

Otworzyłam drzwi. Na ulicy panował spokój. Spojrzałam w stronę Fi i zobaczyłam, że z niepokojem obserwuje mnie spomiędzy drzew. Pomachałam do niej. Złapała taczki i popędziła przez ulicę.

- Strasznie długo to trwało! - zawołała zduszonym szeptem.

Nie odpowiedziałam. Chwyciłam tylko taczki, wprowadziłam je do środka i zamknęłam drzwi.

- Jak myślisz, co powinniśmy zrobić? - zapytałam Fi. - Lepiej zaczekać, aż przejedzie patrol, czy zaryzykować i ruszyć już teraz?

Cały czas ładowałam worki na taczki.

Wbiła we mnie wzrok.

- Nie wiem. O matko, co za pytanie.

Z każdą mijającą minutą czułam się silniejsza.

- Ruszajmy od razu - powiedziałam. - Zawsze słyszałyśmy, jak się zbliżają. Jeśli zaczniemy czekać, może upłynąć godzina, a nie wolno nam sobie na to pozwolić.

Taczki były pełne. Złapałam ręczki.

- Wyślizgnij się na zewnątrz i nadstaw uszu - powiedziałam do Fi. - Jeśli nic się nie zbliża, krzyknij.

Patrzyłam, jak wyślizguje się z magazynu. Przecięła ścieżkę i stanęła za słupem telegraficznym. Zauważyłam, że jest niewiele szerszy od niej. Czy Fi cokolwiek jadła? Jasne, nasze posiłki zrobiły się bardzo nieregularne. Fi zawsze była szczupła, ale teraz wydawała się chuda. Westchnęłam. Wszyscy straciliśmy na wadze. Robyn żartowała, że ma anoreksję.

Mieliśmy po prostu zbyt wiele problemów na głowie. Ale nie mogłam sterczeć pośrodku strefy wojny i zastanawiać się, czy Fi dobrze się odżywia.

Dała mi znak ręką. Wzięłam głęboki oddech, uniosłam ręczki taczek i ruszyłam za Fi na drugą stronę ulicy. Taczki były ciężkie, ale gdy już udało mi się je rozbijać i złapać równowagę, nie szło tak źle.

Dopóki nie usłyszałam warkotu samochodu. Jak zwykle miałam pecha i zbliżał się w najgorszej chwili. Byłam w połowie drogi. Za daleko, by zawrócić, i za daleko, by zdążyć uciec. Znalazłam się w punkcie bez wyjścia. Nagle park wydał mi się oddalony o milion kilometrów. Zapomniałam o sile i opanowaniu. Gorączkowo spojrzałam na Fi. Czułam się bezradna. Nie chciałam porzucić taczek, bo to by oznaczało, że poniosłyśmy porażkę już na samym początku. Ale z pewnością nie chciałam zginąć za taczki pełne cukru. Fi wcale mi nie pomogła. Patrzyła na mnie równie zrozpaczona, jak ja na nią. Odwróciłam się szybko, żeby sprawdzić, czy znajdę za sobą coś, co nas uratuje. Ale na ulicy było pusto. Jediną malutką osłoną była budka telefoniczna, do której przylegała skrzynka pocztowa. To musiało mi wystarczyć. Zawróciłam i przebijając chudymi nogami, pobiegłam w tamtą stronę. Fi ruszyła za mną, co nie wydawało się zbyt mądre z jej strony, bo w parku było znacznie bezpieczniej. Z poślizgiem zatrzymałam taczki za budką telefoniczną dokładnie w chwili, gdy zza rogu rozbłysły światła samochodu. Przykucnęłam między ręczkami taczek, a Fi skuliła się tuż za mną. Czułam każde drżenie jej ciała, a było ich mnóstwo. Samochód powoli jechał ulicą. Widziałam, jak ciemność ustępuje miejsca światłu jego reflektorów.

I wtedy się zatrzymał.

Przez ułamek sekundy miałam nadzieję, że zatrzymał się z jakiegoś błahego powodu. Rozpaczliwie wymyślałam różne miłe możliwe powody tego przystanku, by poczuć się trochę lepiej, by się pocieszyć. Ten luksus trwał jednak tylko chwilę. Usłyszałam, że drzwi samochodu gwałtownie się otwierają, a potem rozległy się krzyki i tupot biegnących stóp. Drżenie Fi wzmogło się stukrotnie. Zerknęłam w stronę ścieżki i zobaczyłam największy błąd, jaki popełniłam od początku wojny. Niewiarygodnie głupi błąd. Tak potwornie głupi, że na chwilę zamknęłam oczy z przerażenia.

19

Zostawiłam otwarte te cholerne drzwi magazynu.

A zadałam sobie tyle trudu, żeby ostrożnie stłuc szybę w oknie. Wszystkie moje wysiłki poszły na marne.

Zobaczyłam, że żołnierze wchodzą do środka, trzymając karabiny w gotowości i osłaniając się nawzajem. Drzwi znajdowały się w tej części supermarketu, która wychodzi na ulicę, więc byli do nas zwrócenii plecami. Był to jedyny pozytywny element tej sytuacji, na który zresztą niczym sobie nie zasłużyliśmy.

Doszłam do wniosku, że mamy około pół minuty, zanim postanowią wyjść ze sklepu. Gdy zdałam sobie sprawę, że pozostaje nam tylko jedno wyjście, poczułam ucisk w żołądku. W parku było tak mało roślinności, że nie mogliśmy tam pójść - nie miałybyśmy żadnej osłony. Na środku ulicy stał jednak samochód terenowy, którego silnik cały czas cicho pracował. Pojazd wydawał się pusty. Pozostawało nam mieć nadzieję, że rzeczywiście nikt w nim nie został. Ruszyłam w jego stronę, a potem podjęłam szaloną decyzję, by zabrać cukier. Obróciłam się gwałtownie, chwyciłam taczki i jak wariatka pobiegłam do samochodu, a Fi popędziła za mną jak cień. Na tym krótkim odcinku sześć razy omal nie przewróciłam tacek. Podbiegłyśmy do samochodu od tyłu i otworzyłyśmy drzwi. Czułam mdłości ze strachu, ale okazało się, że w środku nikogo nie ma. Fi próbowała mi pomóc, lecz raczej tylko przeszkadzała. Zaczęłam wrzucać worki do tylnej części samochodu. Jeden się rozerwał i cukier gwałtownie się wysypał, ale wcale się tym nie przejęłam. Załadowałyśmy worki i Fi próbowała zatrzaskać drzwi.

- Nie, zaczekaj - powiedziałam.

Chwyciłam taczki i podniosłam je. Sporo ważyły, ale nie byłam w nastroju, w którym człowiek poddaje się przeciwnościom losu: żołnierzom, cukrowi, Fi, a tym bardziej taczkom. Wzięłam zamach i wkładając w to całą siłę, wrzuciłam taczki na worki z cukrem. Potem zostawiłam Fi przy drzwiach, a sama pobiegłam, by wskoczyć za kierownicę.

Dobłą rzeczą, jeśli chodzi o diesle, jest to, że ludzie zawsze zostawiają je na chodzie. Wskoczyłam do środka, wrzuciłam bieg i zwolniłam ręczny hamulec.

Fi obserwowała drzwi magazynu i gdy tylko ruszyłyśmy, wydała zduszony okrzyk:

- Wracają!

Naszym celem było jak najszybsze dotarcie do końca ulicy. Puściłam sprzęgło i ruszyliśmy z piskiem opon. Usłyszałam go, siedząc za kierownicą, a trzeba dobrze zakręcić kołami, żeby tak się stało. Pomyślałam, że żołnierze będą się mogli delektować miłym zapaszkiem palonej gumy i podziwiać czarny ślad na drodze. Samochód zakotłosał się na boki. Wbiłam wzrok w skrzyżowanie, mając nadzieję, że upłynie kilka chwil, zanim żołnierze podniosą karabiny, wycelują i pociągną za spust...

Gdy od skrzyżowania dzieliło nas jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt metrów, Fi, która przez cały czas patrzyła do tyłu, powiedziała zupełnie spokojnym głosem:

- Strzelają.

Przekonałam się, że mówi prawdę, kiedy usłyszałam okropne stukotanie, jakby ktoś nawalał w bok terenówki młotem pneumatycznym. Po pierwszej serii nastąpiła chyba przerwa, a potem zaczęło się od nowa. Próbowałam jechać zygzakiem, ale skrzyżowanie było tuż-tuż, więc nie chciałam ryzykować. Zresztą nawet pomimo moich zygzaków celowali coraz lepiej. Wszystkie szyby po stronie kierowcy, czyli mojej, były już potłuczone. Ja i Fi jechałyśmy nisko pochylone. Praktycznie leżałyśmy na podłodze. Pokonałam zakręt na wycucie. Gdyby nadjechał inny samochód, zaliczyłybyśmy największe zderzenie czołowe wszech czasów. Poza tym musiałyśmy unikać drzew, chodników i słupów telegraficznych. Zarzuciło nami, kiedy wjechałyśmy na chodnik, i rozległ się huk, bo skosiłyśmy coś po stronie Fi. Potem w samą porę zauważyłam zbliżające się drzewo. Nadal jechałyśmy bardzo szybko, więc wiedziałam, że grozi nam koziołkowanie albo uderzenie w drzewo z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

O dziwo, nie koziołkowałyśmy. Nadal nie wiem, jakiej marki był tamten samochód. Szkoda - okazał się niezły. Dobrze się go prowadziło. Wpadłyśmy w poślizg, którym pokonałyśmy pół ulicy, ale ostatecznie samochód zatrzymał się zwrócony w odpowiednią stronę i jego silnik nadal chodził. Jeszcze raz dodałam gazu.

Gdy tylko pokonałyśmy następny zakręt, zwolniłam. Celowo. Mój umysł nadal pracował. Wiedziałam, że jeśli będziemy gnały przez miasto z taką prędkością i rozjeżdżały różne rzeczy po drodze, obudzimy wszystkich żołnierzy w Wirrawee. Byli przyzwyczajeni do całonocnych patroli przemierzających się cicho i powolnie. Dlatego musiałyśmy udawać patrol.

Fi najwyraźniej też o tym wiedziała, bo nie odezwała się słowem. Siedziała tylko, rozglądając się na boki, a ja skupiałam się na tym, co było widać z przodu. Gdy poprzednim razem byłam w takiej sytuacji, towarzyszyła mi Robyn. Sprawdziła się znakomicie i czułam

się dziwnie, nie mając jej teraz przy sobie. Ale z Fi też było w porządku. W zasadzie dawno temu włamałyśmy się już do tego samego składu paliw.

A może Robyn jednak przy nas była.

Pokonałyśmy następny zakręt. Nadal chciałam zrobić to, co zaplanowałyśmy: włamać się do składu paliw Currs. Próbowałam szybko znaleźć najlepszy sposób. Właściwie jechałam prosto w tamtą stronę. Musiałyśmy zrezygnować z planu zsynchronizowania się z pożarem wznieconym przez chłopaków. Nie miałyśmy czasu, by siedzieć i czekać, aż pojawi się ogień. Wiele zależało od jakości systemów komunikacji, z których korzystali ci ludzie. Jeśli mieli dobry sprzęt, lada chwila w Wirrawee mogło się zaroić od żołnierzy.

Zaparkowałam półtorej przecznicy od składu paliw. Obie wyskoczyłyśmy z samochodu i podbiegłyśmy do niego od tyłu. Wyciągnęłam taczki i wrzuciłyśmy na nie worki z cukrem. Fi zatrzasnęła drzwi, zostawiając w środku rozerwany worek. Ja jednak wyjęłam go stamtąd i też wrzuciłam na taczki. Udało mi się nawet szybko zmieścić wysypany cukier rękami. Nie chciałam, żeby od razu było widać, co wiozłyśmy, bo wiedziałam, że ci ludzie nie są głupi. Mogliby się domyślić, po co nam cukier, a to pogrzebałoby całą sprawę. Jasne, mogliby też zauważyć, że z supermarketu zniknęło trochę cukru, ale wcale nie musieli. Na tamtych paletach było tyle worków, że brak kilku sztuk nie rzucał się w oczy.

Potem zapytałam Fi, czy mogłaby odjechać samochodem kilka przecznic dalej. Wyglądała na przerażoną.

- Po co?

- Bo im dalej stąd go zostawimy, tym lepiej. Nie chcę, żeby skojarzyli cukier ze składem paliw.

- To automatyczna skrzynia biegów?

- Nie, to poważna terenówka.

- No, w takim razie chyba nie... No nie wiem...

- Och, daj spokój, Fi. Po prostu to zrób.

Złapałam taczki i zaczęłam odchodzić. Wiedziałam, że Fi nie jest wystarczająco silna, by się nimi zająć, więc musiała odprowadzić samochód. Nie mogłam robić wszystkiego sama.

Ale zanim zdążyłam przejść sto metrów, musiałam się zatrzymać. Silnik zgasł Fi już trzy razy. Bałam się, że hałas zbudzi wszystkich mieszkańców okolicznych domów. Pobiełam do niej z powrotem.

- Nie przejmuj się tym - szepnęłam. - Zostaw go tutaj. Chodźmy.

Wydawała się bardzo zestresowana, chyba prawie płakała. Zdałam sobie sprawę, że postąpiłam źle, prosząc ją, by uczyła się prowadzić w takich warunkach. Gdy biegiem wracaliśmy do taczek, lekko ścisnęłam jej ramię.

- Przepraszam - powiedziałam.

- Nie ma sprawy - szepnęła w odpowiedzi. - Nic mi nie jest.

Martwiłam się o nią, ale jeszcze bardziej martwiłam się tym, jak dostać się do składu paliwa, zanim wpakujemy się w jeszcze większe kłopoty. Nadal przeklinałam swoją głupotę, przez którą zostawiłam drzwi do supermarketu otwarte. Nie mogłam uwierzyć, że szło nam aż tak źle. Co za bajzel.

Nic jednak nie dodaje człowiekowi sił tak jak złość. Jest lepsza niż bezołowiowa benzyna klasy premium. Wściekłość z powodu naszej pomyłki zapewniła mi dopływ świeżej energii. Znowu złapałam taczki i dość szybko ruszyliśmy wąską drogą, która wiodła skrótem na zaplecze Currs. Nie musiałyśmy tam za bardzo się ukrywać, a zresztą i tak nie miałyśmy na to czasu.

Mimo to gdy zbliżyłyśmy się do składu paliw, znowu zwolniłam. Nie chciałam popełnić samobójstwa.

- Pójdę pierwsza i sprawdzę, czy wszystko jest w porządku - szepnęła mi na ucho Fi.

Skinęłam głową, zatrzymałam taczki i oparłam się o czyjś płot. Zamknęłam nawet oczy. Jeśli Fi chciała zrobić coś odważnego, by się lepiej poczuć, nie miałam nic przeciwko temu. Mój krótkotrwały przyływ energii już się kończył.

Znowu otworzyłam oczy i zaczęłam ją obserwować. Przemykała w cieniu drzew rosnących wzdłuż drogi i w końcu znalazła się przy tylnym rogu budynku. Próbowałam sobie przypomnieć, jak wygląda tylna część składu paliw. Pomyślałam, że rośnie tam trawa i wała się mnóstwo starych, porzuconych gratów: zbiorników na paliwo i pojazdów. Obok było schludniej: żwir i lśniące nowe zbiorniki. Z przodu stał mały budynek z blachy. Nie było tam nic interesującego: jedynie szopa z kalendarzem na ścianie i tablicą informacyjną z numerami telefonów i zasadami bezpieczeństwa. W kalendarzu zawsze były zdjęcia roznegliżowanych dziewczyn, które jako dziecko uważałam za bardzo niegrzeczne. W połowie przypadków odwracałam od nich głowę, a w drugiej połowie rzucałam w ich stronę ukradkowe, zafascynowane spojrzenia, zastanawiając się, czy kiedykolwiek będę wyglądała tak jak one. Teraz już wiem, że nie.

Fi dała mi znak ręką. Rozejrzałam się. Droga wydawała się czysta, więc popchnęłam taczki dalej. Dziesięć metrów od rogu ogrodzenia znowu się zatrzymałam. Podeszła do mnie Fi. Zbliżyła usta do mojego ucha i szepnęła:

- Chyba nie musimy ciąć ogrodzenia. Myślę, że wystarczy je podnieść.

Ta wiadomość bardzo mnie ucieszyła. Jeśli Fi miała rację, groziło nam znacznie mniejsze niebezpieczeństwo. Cięcie drutu może się wydawać łatwe, ale wcale takie nie jest. Zajmuje dużo czasu i powoduje sporo hałasu.

- Czy żołnierze zrobili już rundkę wzdłuż płotu?

- Nie.

- Chyba będziemy musiały poczekać, aż ją zrobią. Inaczej groziłoby nam zbyt duże niebezpieczeństwo.

- I tak nam grozi.

Wiedziałam, że ma rację, ale nie miałyśmy wielkiego wyboru. Pod supermarketem spróbowałyśmy pójść na skróty i skończyło się katastrofą. Z drugiej strony wiedziałam, że choć zostawiłyśmy terenówkę w zacisznym miejscu, niedługo ktoś ją zauważy. Żałowałam, że Fi nie udało się odjechać dalej.

Czekałyśmy i czekałyśmy. Ciągle oglądałam się za siebie, bojąc się, że w każdej chwili na drogę mogą wyskoczyć żołnierze walący do nas z karabinów. Na drodze nadal było pusto, ale kawałek dalej już coś się działo. Od czasu do czasu widziałam błyski na niebie - chyba reflektorów. A po chwili wydało mi się, że słyszę warkot pojazdów: najpierw jednego, a potem chyba jeszcze dwóch albo trzech.

- Słyszysz samochody? - zapytałam Fi.

Pokiwała głową.

Zaczęło do mnie docierać, że sytuacja robi się coraz bardziej niebezpieczna. Przemycenie worków pod ogrodzeniem, zanieśenie ich do zbiornika z paliwem lotniczym i wysypanie cukru z jednego po drugim wymagało dość sporo czasu. A szukający nas żołnierze byli coraz bliżej. Na myśl o tym zaczęłam się pocić i oczami wyobraźni zobaczyłam zimną i wrogą dłoń łapiącą mnie za kark. Nie wiedzieć czemu sprowokowało mnie to do kichania, które wcześniej męczyło mnie w parku z Fi, i trzy razy szybko kichnęłam, raz za razem. Fi o mało nie umarła ze strachu. Zasłoniła mi usta dłonią i nie cofnęła jej. Nie mam do niej żalu. Zrobiłabym to samo. Oczywiście nie chciałam kichać. To wszystko wydarzyło się po prostu zbyt szybko.

Nie miałam pojęcia, jaka to poważna sprawa, dopóki Fi nie szepnęła mi na ucho:

- Wartownicy.

Wtedy zastygłam w bezruchu jak zwierzę, które poczuło zagrożenie. Widywałam to wiele razy, kiedy polowaliśmy w nocy z reflektorem: zachowywały się tak lisy, króliki, kangury, a nawet owce, na które przez przypadek padł snop światła. One wszystkie zamierały

w bezruchu. To jeden z uniwersalnych odruchów natury. Niestety, nie chroni przed myśliwym ze strzelbą i reflektorem i niestety nie ochroniłby mnie i Fi przed uzbrojonymi żołnierzami. Nie miałyśmy jednak niczego innego. Przypomniałam sobie, że dawno temu, kiedy to wszystko się zaczęło, zachęcałam pozostałych do wzięcia pod uwagę zaopatrzenia się w broń. Wtedy bardzo szybko doszłam do wniosku, że jednak nie jest to dobry pomysł, przede wszystkim dlatego, że gdyby nas złapano z bronią, natychmiast zostalibyśmy straceni. Ale w takich chwilach jak ta śrutówka lub strzelba mogłyby się przydać. Albo też znacznie pogorszyć sprawę.

Fi była trochę bliżej składu paliw niż ja, ale wkrótce też usłyszałam patrol. Byli to mężczyźni albo kobiety - na tej wojnie nigdy nie można mieć pewności. Robili to, o czym mówił Lee: szli wzdłuż ogrodzenia, rozglądając się w poszukiwaniu ewentualnych problemów. Każda komórka mojego ciała miała nadzieję, że nie zdadzą sobie sprawy, jak wielki problem czai się zaledwie kilka metrów dalej. Byli tak blisko, że widziałam ich cienie, które skręciły i poszły dalej wzdłuż płotu za składem paliw.

Potem, zaledwie pięć metrów dalej, gwałtownie się zatrzymali. Z niepokojem obserwowałam ich cienie. Co oni wyrabiali, na Boga? Jeden z nich wsunął coś w usta i wtedy zrozumiałam: chcieli zapalić papierosa!

Zawsze mnie uczono, że palenie zabija, i oto miałam przed sobą dowód. Ich palenie mogło nas zabić. Byłyśmy już prawie w pułapce. Każdy, kto przejechałby teraz ulicą, z pewnością by nas zauważył i zaczął strzelać, a nasza jedyna droga ucieczki właśnie została zgrabnie odcięta.

Rzuciłam zaniepokojone spojrzenie na pobliskie płoty. Czy w razie pilnej potrzeby dałybyśmy radę przez nie przejść? Jasne, pod warunkiem że miałybyśmy na to pięć minut. Ogrodzenia nie były łatwe do sforsowania. Zanim dotarłybyśmy na górę, kule rozdarłyby nas na strzępy.

Mogłam zrozumieć, dlatego te głupki palą akurat tutaj. Na terenie składu paliw roiło się od tabliczek ostrzegających przed niebezpieczeństwem związanym z paleniem i zakazujących ludziom palenia w pobliżu zbiorników. Ci kolesie zachowywali się prawidłowo. Tak się jednak złożyło, że postępując właściwie, krzyżowali nam plany.

Razem z Fi leżałyśmy plackiem pod ogrodzeniem domu sąsiadującego ze składem paliw. To też niewiele by nam pomogło, bo taczki stały na widoku, choć kilka metrów od nas. Położenie się na ziemi było kolejnym odruchem. Tak robiły króliki, kiedy unosił się nad nimi drapieżny ptak. Czasami działało. Czasami nie.

Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak długo palił. Miałam ochotę do nich podejść i wyrwać im papierosy z ust, mówiąc: „No, dość tego, wracajcie do pracy”. Najgorsze - niemal nie do zniesienia - było to, że światła w oddali coraz bardziej się do nas zbliżały. Na moje oko były już tylko trzy przecznice dalej. Wyglądało na to, że tym razem prowadzą bardzo staranne poszukiwania. Chyba zaczęli mieć nas dość.

Na wojnie często tak było: czuło się obezwładniający strach, czekając, aż ktoś zrobi coś zupełnie zwyczajnego, zanim ty zaryzykujesz życie.

Odetchnęłam swobodniej, dopiero gdy pierwszy, a po chwili drugi żarzący się pet zatoczył łuk w powietrzu, by następnie spaść na ziemię i potoczyć się w dal, rozsiewając małe iskierki. W końcu cienie odkleiły się od ogrodzenia, o które się opierały, i powoli podjęły swój monotony marsz. Nawet po ich ruchach było widać, jak nudna jest ta robota.

No cóż, jeśli o mnie chodzi, miałam nadzieję, że nadal będą się nudzić. Nie chciałam, żeby się ożywiły.

Zbliżyłyśmy się do ogrodzenia i zerknęłyśmy za róg. Plecy wartowników znikwały, oddalając się w stronę blaszanego budynku. Warkot silnika za naszymi plecami stał się trochę głośniejszy niż wcześniej. Zaniepokojona spojrzałam za siebie. Na drodze nadal było pusto, ale czułam, że pościg się zbliża. Szkoda, że nie ukryłyśmy terenówki tak, jak należało.

Spojrzałam na dół ogrodzenia. Fi miała rację. Można je było z łatwością podnieść. Miałyśmy przed sobą najbardziej niedbale postawione ogrodzenie, jakie kiedykolwiek widziałam. Mój tata dostałby szału, gdyby któryś z jego pracowników - albo ja - odwalił tak kiepską robotę.

Żołnierze weszli do blaszanego budynku. Pomyślałam: „Teraz albo nigdy”. Przeprowadziłam taczki i wyjęłam z nich worki.

- Wejść tam, a ty przepchniesz do mnie worki - szepnęłam do Fi. - Potem zaczekasz na końcu drogi. - Wskazałam drugi koniec, przeciwległy do tego, gdzie zostawiłyśmy terenówkę.

Ale Fi gwałtownie pokręciła głową.

- Nie! Idę z tobą. Zawsze sama nadstawiasz karku.

Byłam zaskoczona, bardzo zaskoczona, ale nie było czasu się spierać. Poza tym czułam wzruszenie. Czasami myślałam, że nikt nie docenia tego, jak bardzo ryzykuję. Sensowniej byłoby zostawić kogoś na czatach przy drodze - jestem pewna, że właśnie tak postąpiliby Iain i Ursula - ale rozpaczliwie potrzebowałam towarzystwa na terenie składu paliw, więc byłam wdzięczna Fi.

Przysunęłyśmy worki jeszcze bliżej i Fi uniosła dół siatki. Bez większego problemu przeczołgałam się na drugą stronę ogrodzenia. Nie było już odwrotu. Fi z pewną trudnością podniosła pierwszy worek i przepchnęła go pod płotem. I znowu: rozsądnie byłoby zanieść ten worek od razu do zbiornika, nie czekając, aż Fi przepchnie pozostałe, ale teraz, gdy zaproponowała mi wsparcie, nagle poczułam, że nie jestem w stanie iść sama. Naprawdę chciałam, żeby mi towarzyszyła. No więc wpełchnęłyśmy wszystkie worki na podwórze, a potem Fi ukryła taczki z powrotem w ciemności. I przeszła pod ogrodzeniem.

Muszę przyznać, że prześlizgnęła się tamtędy z większą gracją niż ja.

Każda z nas podniosła worek. Fi zachwiała się pod jego ciężarem, ale zarzuciła go sobie na ramię. Potrzebowałyśmy obu rąk, żeby je utrzymać prosto. Miały nieporęczny kształt.

Gdzieś niedaleko, może na Nicholas Street, rozległ się pojedynczy strzał, głośny i przerażający. Oczekałyśmy chwilę, ale nic więcej nie było słychać, więc musiałyśmy założyć, że to nie miało nic wspólnego z nami. Skradając się najciszej, jak umiałyśmy, wolno pobiegłyśmy po trawie do zbiorników.

Pierwszy odcinek nie był taki zły. Dokładnie tak, jak zapamiętałam, na podwórku wałało się mnóstwo starych gratów. Mogłyśmy je wykorzystać jako osłonę. Kłopoty zaczęły się kawałek dalej. Był tam chrzęszczący żwir, hałaśliwy żwir, i nic, tylko przestrzeń dzieląca nas od dużego podziemnego zbiornika. Na zbiorniku był nawet napis: „Lotnictwo”, więc w tej sprawie Lee również się nie pomylił. Niespełna pięćdziesiąt metrów od zbiornika docierało światło z małej stróżówki. Pomyślałam ponuro, że cholernie ryzykujemy. Ale zaszłyśmy zbyt daleko, żeby się wycofać. Zwyczajny ludzki głupi upór i poczucie, że jeśli się poddasz, jesteś do niczego. Maratończyk na olimpiadzie, który ryzykuje życiem, by ukończyć bieg, mimo że jego ciało jest na granicy wytrzymałości. Ostatnia dzika owca na pastwisku Nellies, która opierała się wszystkim próbom okiełznania jej, a mimo to ciągle ją goniliśmy. Facet, który wszedł na Mount Everest, choć wiedział, że odmarzają mu palce. Widziałam ich zdjęcie w książce - nie wyglądały zbyt ładnie.

To głupie, ale wszystkie te przypadki mają w sobie coś godnego podziwu. Tam, w składzie paliw, osiągnęłam podobny stan.

Spojrzałam na Fi, Fi spojrzała na mnie. Skrzywiłam się, wzruszyłam ramionami i zmarszczyłam nos. To miało znaczyć: „Dasz wiarę, że robimy coś tak szalonego?”.

Fi szeroko się uśmiechnęła, więc chyba zrozumiała. Ruszyłyśmy po żwirze.

Chrup, chrup, chrup. Nie znam nic, co robi tyle hałasu co żwir. To przypominało dźwięk, który wydobywa się z ust podczas jedzenia selera naciowego. Poruszałyśmy się

powoli, ale właśnie na tym polegał problem: nie mogliśmy iść zbyt wolno, bo czekały nas jeszcze dwa takie kursy. Gdybyśmy poruszały się w takim tempie, w jakim chciałam, podczas drugiego kursu zaskoczyłby nas wschód słońca.

Prawie nie patrzyłam, dokąd idziemy, bo całą uwagę skupiałam na blaszanej stróżówce. Szkoda, że żadna z nas nie spojrzała na zbiornik, bo oszczędziłoby nam to wysiłku. Popatrzyłam na niego, dopiero gdy przed nim stanęłyśmy.

Był zamknięty na kłódkę.

Leżała na nim brudna szara kłódka wielkości mojej pięści, zrobiona z utwardzonej stali.

Poczułam, że płonę. Zupełnie jak na wakacjach na plaży: pierwszego wieczoru, kiedy poparzona skóra szczypie i piecze. Potem poczułam złość, dziką złość. Gdyby nie obecność Fi, rąbnęłabym w zbiornik głową albo spróbowałabym zerwać kłódkę gołymi rękami. Od razu wiedziałam, że nic nie wskóramy. Znowu spojrzałam na Fi. To było prawie zabawne. Stała i gapiła się na kłódkę z rozdziawioną buzią, mrugając, jakby właśnie zadano jej jakieś pytanie po kantońsku, bułgarsku albo w języku pitjantjatjara. Kiedy zdała sobie sprawę, że na nią patrzę, szepnęła gorączkowo:

- Nożyce do cięcia drutu?

Pokręciłam głową.

- Już lepiej byłoby ją przegryźć.

- Przecież musi być jakiś...

- Nie ma. Chodźmy stąd.

Pomyślałam, że lepiej zabrać cukier z powrotem. Nie wiem dlaczego. Po części dlatego, że dobrze byłoby się wyprzeć sabotażu i działalności partyzanckiej. Poza tym nadal miałam nadzieję, że uda się wrócić i spróbować trochę później. Pomyślałam o tamtym szesnastolatku z zachodniej Australii, przed wojny. O tym, który wyruszył w samotny rejs dookoła świata i miał wystarczająco odwagi, by zawrócić po tygodniu, kiedy przestało działać radio. Pamiętam, że widziałam w telewizji, jak wyruszał po raz drugi.

Cierpliwość i wytrwałość. Przeciwnieństwo ślepego uporu. I znacznie mądrzejsze od niego.

Kiedy podniosłam swój worek, Fi poszła za moim przykładem. Zaczęłyśmy się wycofywać.

Na skraju zwirowego podwórza poczułam, że zbliżają się kłopoty. Znowu stało się to szybko, zbyt szybko, bym zdążyła rzucić worek i zatkać sobie nos. Dlatego kichnięcie - tym razem tylko jedno - odbiło się echem w ciszy składu paliw jak pierdnięcie na pogrzebie.

W następnej chwili zgasło światło w stróżówce.

20

Tak się skończyła moja próba ocalenia cukru. Cała ta noc była porażką, od początku do końca. Jedyne, co mogliśmy jeszcze ocalić, to nasze życie.

W tym oto miejscu leżymy martwi, gdyż nie chcieliśmy
Życ, hańbiąc ziemię, z której wyrosliśmy.
Jedno jest pewne: życie to niewielka strata;
Lecz młodzi mężczyźni myślą inaczej, a my byliśmy młodzi.

Miliony, setki milionów ludzi zginęły na wojnach. Niektórzy w bardzo głupi sposób. Inny wiersz o pierwszej wojnie światowej, który dostałam od nauczyciela w Dunedin, opowiadał o żołnierzu, który nie chciał skorzystać z tej samej toalety co wszyscy. Oddalił się, żeby wysikać się z dala od kolegów, a wtedy snajper go zauważył i zastrzelił. Facet, który napisał ten wiersz, stwierdził, że nie ma w tym nic śmiesznego: żołnierz zapłacił cenę za życie według własnych reguł.

Jak można się z tego śmiać?
Niech każdy będzie sądzony za jego czyny.
Ja zapłaciłem cenę, by żyć na własnych warunkach.

Zaznaczam, że nauczyciel musiał mi to wytłumaczyć. Wtedy tego nie rozumiałam.
Czasami myślę, że na każdą okazję znajdzie się jakiś wiersz.

No więc wielu ludzi zginęło na wojnach, niektórzy z błahych powodów. Dlaczego z nami miałyby być inaczej? Czy stałoby się coś wielkiego, gdybyśmy umarły z Fi z powodu kichnięcia albo dwóch worków cukru? Po prostu dołączyłybyśmy do setek milionów innych osób.

Biegłyśmy co sił w nogach. Tamtej nocy zdążyłyśmy już znieruchomieć jak króliki, rozplaszczyc się na ziemi jak króliki, a teraz biegłyśmy jak króliki, które poczuły zapach króliczej kolonii i myślą, że być może uda im się w niej schronić. Położyłyśmy uszy po sobie, pochyliłyśmy się i pobiegłyśmy. Z początku nic nie słyszałyśmy. To mnie zaskoczyło.

Spodziewałam się krzyków, tupotu. Potem pomyślałam jednak, że ci żołnierze nie wiedzą, kto lub co czai się za oknem. Nie wybiegną w niebezpieczny mrok. Popędziłam jeszcze szybciej.

Stało przede mną ogrodzenie. Dałam nura, by przejść pod spodem. Znów jak królik. Obok mnie Fi zrobiła to samo. Gdy padłyśmy na ziemię, nad naszymi głowami świsnęła pierwsza kula. Jeśli cokolwiek w życiu zrobiłam w samą porę, to właśnie tamto.

Gdy pełzłyśmy pod siatką, jej ostre końce boleśnie mnie podrapały. Czułam głębokie bruzdy na plecach, ale wcale się nimi nie przejmowałam. Na chwilę zapadła cisza: chyba żołnierzom utrudniało zadanie to, że padłyśmy na ziemię, oraz te wszystkie graty walające się na podwórzu.

Przelazłyśmy pod ogrodzeniem i nadal żyłyśmy. Dokąd uciec? Po obu stronach rozciągała się długa nieosłonięta droga. Fi ruszyła w prawo, ale ja nagle uznałam, że lepiej pobiec w lewo. Oznaczało to powrót tam, skąd przyszłyśmy, co wydawało się szalone, ale zbliżał się pościg, więc pozostała nam tylko jedna prawdziwa nadzieja: terenówka. Gdy tak bez troski ją porzuciłyśmy, nawet przez myśl mi nie przeszło, że ten samochód znowu pojawi się w naszym życiu. Musiałyśmy jednak jak najszybciej opuścić ten rejon. Robiło się naprawdę gorąco. Wszędzie widziałam światła. Nie tylko białe światła reflektorów i latarek, ale także te w oknach domów. Wyglądało na to, że obudziłyśmy pół Wirrawee.

Fi pobiegła za mną, chociaż pewnie myślała, że to szaleństwo. Gnałyśmy drogą, a nasze stopy stukwały o twardą nawierzchnię. Wysokie ogrodzenia po obu stronach dodatkowo wzmacniały ten dźwięk. To był wyścig, w którym brałyśmy udział my i żołnierze ze składu paliw. Musiałyśmy dotrzeć na koniec drogi, zanim oni dotrą do ogrodzenia. Tylko co może tam na nas czekać? Zabawny to wyścig, gdy na linii mety stoi koleś, który ładuje ci kulę. Normalnie to starter ma pistolet.

Od końca drogi dzieliło nas pięćdziesiąt metrów, potem czterdzieści, potem trzydzieści. Pozwoliłam sobie pomyśleć o niemożliwym: o tym, że nam się uda. Taka myśl zawsze jest niebezpieczna. Zaledwie sekundę później obok mojego ucha rozległ się charakterystyczny świst kuli. Już po nas, pomyślałam. Koniec tej alei będzie ostatnim obrazem, jaki zobaczę w życiu.

Nie po raz pierwszy tej nocy zadziałał jednak instynkt. I po raz ostatni zainspirowały mnie króliki. Padłam na ziemię i szybko poczołgałam się w stronę zakrętu. Zobaczyłam, że po mojej lewej Fi robi to samo. Nagle stałyśmy się bardzo trudnym celem. Na dodatek dziesięć ostatnich metrów pokonałam zygzakiem. Wokół latały kule. Inni żołnierze, którzy nas szukali, nie mieli już pewnie żadnych wątpliwości, gdzie jesteśmy. Panował straszny hałas. Jakby w powietrzu latało mnóstwo owadów. Najbardziej niebezpiecznych owadów na

świecie: szybkich, głośnych i śmiercionośnych. Uderzały w bruk, w ogrodzenie po obu stronach albo po prostu odlatywały w dal. Ostre ukłucie w nogę uświadomiło mi, że jeden mnie dopadł. Znowu pomyślałam, że nigdy nie dotrę do zakrętu.

I nagle znalazłyśmy się na końcu alejki. Fi odbiła w lewo, a ja ruszyłam za nią. Cieszyłam się, że mogę jej przekazać dowodzenie. Miałam wrażenie, że droga za nami zniknęła, jakby nigdy nie istniała. Usłyszałam jeszcze kilka strzałów, a potem zrobiło się cicho. Jakies sto pięćdziesiąt metrów z przodu zobaczyłam ciemny kształt terenówki. Trochę utykałam i bolała mnie noga, ale gorszy od bólu był strach: strach, że w końcu mnie postrzelono i być może wykrwawię się na śmierć. Fi była już pięć metrów przede mną.

- Samochód! - wydyszałam, na wypadek gdyby nie wiedziała, że właśnie tam zmierzamy.

Skinęła głową, nie odwracając się. Znowu jej nie doceniłam. Jak zwykle.

Nie zdołałyśmy się jednak zbliżyć do samochodu. Strzały przy składzie paliw zrobiły dokładnie to, czego się obawiałam. Przyciągnęły żołnierzy tak, jak martwe jagnię przyciąga kruki. Nagle na końcu ulicy pojawili się trzej albo czterej żołnierze, rozbiegli się na całej jej długości, jakby doskonale wiedzieli, co robić. Przyspieszyłam, czując ostre klucie w nodze. Od strony drugiego końca ulicy biegli za nami żołnierze, jeden za drugim. Nadal dzieliła ich od nas jedna przecznica.

Czułam taki sam strach przed więzieniem w Stratton, jakim Fi podzieliła się ze mną na drzewie obok supermarketu. Miałam takie same koszmary. Nie mogłabym wrócić do takiego miejsca. Byłam rozpaczliwie - naprawdę rozpaczliwie - zdeterminowana, by uciec tym żołnierzom za wszelką cenę. Nie sądzę, żebyśmy w tamtej sytuacji miały wiele możliwości. Bez słowa obie skrzyłyśmy w lewo i wbiegłyśmy przez otwartą bramę na podwórze domu obok. Miałam jedynie nadzieję, że żołnierze nas nie zauważyli.

Nie wiem, kto tam mieszkał przed inwazją. W każdym razie był to ktoś bogaty. Dom był dość duży, parterowy, ale bardzo elegancki: z dachu szerokiej werandy biegnącej wokół budynku zwisało mnóstwo kwiatów, a w ogrodzie była fontanna. O ile dobrze zauważyłam, dom miał ciemny kolor, ale był ładny, prawdopodobnie wzniesiono go w XIX wieku. Wszystko było solidne i konserwatywne. Żadnych plastikowych mebli ogrodowych ani aluminiowych okien.

Pobiegłyśmy prosto na werandę. Fi się zawahała. Ja nie wahałam się nawet przez chwilę. Złapałam za klamkę, nacisnęłam ją i popchnęłam drzwi. Nie były zamknięte. Otworzyły się cicho i bez problemu. Wtedy się zawahałam. Możliwe, że pakowałyśmy się w

pułapkę. Możliwe, że nie zdołamy stamtąd uciec. Żołnierze byli jednak zbyt blisko, by dać nam inne wyjście. Wzruszyłam ramionami i wkuśtykałam do środka, a Fi poszła za mną.

Moje zmysły były tak wyostrzone, że nie umykał mi żaden szczegół. W domu były wypolerowane podłogi, hol, stojak na parasolki, wieszak na płaszcze, wysoki kredens i kolejne rośliny w doniczkach. Hol był ogromny, wielki jak salon w moim domu, i oświetlony słabym światłem lampy w rogu, prawdopodobnie zaledwie dwudziestopięciowatowej. Na wieszaku wisiała górna część munduru obładowana złotymi galonami i lśniącymi guzikami. Przed wojną mieszkał tu ktoś bogaty - teraz ktoś ważny.

Rozejrzałam się po pomieszczeniu tak szybko, że czarny kij obok stojaka na parasole wzięłam za parasol. Bardzo się cieszę, że spojrzałam w tamtą stronę po raz drugi. Wtedy zdałam sobie sprawę, że to karabin. Niedaleko niego, na stoliku z kwiatem w doniczce i przepelnioną popielniczką, leżał mały pistolet z czarną rękojeścią. Przypomniałam sobie, co mówił pułkownik Finley: że oficerowie mają zarówno pistolety, jak i karabiny. Ten dom został przydzielony jakiemuś oficerowi. Nie rozmyślałam o tym jednak zbyt długo. Zrobiłam trzy szybkie kroki do stolika, wzięłam pistolet, włożyłam kulę do komory, odbezpieczyłam i podałam go Fi. Sama chwyciłam karabin.

Fi wytrzeszczyła oczy.

- Ale ja... Ja nie mogę... - zaczęła i gwałtownie urwała.

Nie dlatego, że zabrakło jej słów, ale dlatego, że podobnie jak ja usłyszała zbliżające się kroki.

Drzwi wolno się otworzyły, a wtedy ja uniosłam karabin. Zjawił się jakiś mężczyzna. Cała ta sytuacja przypominała mi gry Timezone, gdzie strzela się do setek oprychów, ale co jakiś czas pokazuje się niewinny facet z podniesionymi rękami. Gdy wyskakuje jakaś osoba, czekasz ułamek sekundy, żeby sprawdzić, czy jest dobry, czy zły. Strzelać czy wstrzymać ogień?

Ten facet nie trzymał jednak rąk nad głową. Timezone przyszedł mi na myśl najprawdopodobniej tylko dlatego, że niewinni kołesie w tych grach mają na sobie jasne ubrania, a oprychy zawsze są ubrane na czarno. A ten facet miał na sobie tylko białe bokserki, ziewał i drapał się po kłacie.

Muszę jednak przyznać, że miał godność. Nawet stojąc w samych bokserkach. Na nasz widok nie wystraszył się ani nie spanikował. Powoli się wyprostował i przestał się drapać. Był wysoki, młody, miał czarne włosy i czujną, uważną minę, jakby się zastanawiał, co się dzieje i jak może zapanować nad sytuacją.

Musiał być niezły, skoro w tak młodym wieku był już grubą rybą w armii.

Nie miałam do niego ani krztyny zaufania.

Unosząc wcześniej karabin, odbezpieczyłam go, a teraz bardzo szybko pociągnęłam zamek do tyłu i popchnęłam go z powrotem, czując zadowolające szczęknięcie naboju wpadającego do komory.

- Ręce do góry! - zawołałam.

Lekko się uśmiechnął i zaczął podnosić ręce, ale robił to powoli. Nie spodobał mi się ten uśmiech. Chyba zobaczył, że jesteśmy tylko nastolatkami, i doszedł do wniosku, że poradzi sobie z nami bez większego problemu. Jasne, w swoim wojsku też mieli nastolatków, ale zdążyłam już zauważyć, że raczej nie szanują naszych umiejętności w zakresie walki, oceniając je niżej niż własne. Wiedziałam, że muszę zdobyć ten szacunek, i to szybko. Tak bardzo się bałam, że karabin dygotał w moich rękach jak szalony, ale odsunęłam go lekko w prawo i pociągnęłam za spust.

Chryste, co za huk. W tej ograniczonej przestrzeni ogłuszyła nas wszystkich. Ściana nie ucierpiała tak bardzo, jak się spodziewałam. Nagle pojawiła się w niej dziura, wokół której szybko zrobiło się kilka pęknięć. To wszystko. Najgorszy był hałas. Za moimi plecami Fi krzyknęła. Najprawdopodobniej głośno, ale byłam tak ogłuszona, że ledwie to usłyszałam. Wystrzał zrobił jednak wrażenie na mężczyźnie. Facet bardzo zbladł i lekko ugięły się pod nim kolana. Zobaczyłam, jak na jego czoło tuż nad brwiami nagle występuje pot. Wcale mu się nie dziwię. Strzał zrobił ogromne wrażenie nawet na mnie, a to przecież nie ja stałam naprzeciwko lufy karabinu. Pomyślałam, że muszę to wykorzystać, by się nie stawiął. Już wiedziałam, co musimy zrobić. To był najbardziej ryzykowny pomysł w naszym dorobku, najbardziej niebezpieczne posunięcie, ale w przeciwnym razie czekała nas śmierć. Naprawdę pewna śmierć. Nie pozwoliliby nam znowu uciec, zwłaszcza że przed chwilą oddałam strzał do jednego z ich starszych oficerów. Machnęłam karabinem w stronę drzwi.

- Wychodź - powiedziałam do mężczyzny.

Nadal dzwoniło mi w uszach. Przez ten hałas okropnie bolała mnie głowa. Poza tym nadal czułam pieczenie w nodze. Nie ośmieliłam się na nią spojrzeć. Nawet o niej nie wspomniałam Fi.

Mężczyzna wahał się tylko przez chwilę, a potem ruszył w stronę drzwi z podniesionymi rękami.

- Zaczekaj! - zawołała Fi.

- Co? - zapytałam, nie patrząc w jej stronę. Nie odrywałam oczu od oficera.

- Każ mu włożyć marynarkę - powiedziała.

Od razu pomyślałam: „No tak, jasne, jesteś geniuszem, Fi”. Żołnierze na zewnątrz mogliby go nie rozpoznać w bokserkach, ale w mundurze go rozpoznają.

- Wkładaj marynarkę - krzyknęłam do niego.

Miałam nadzieję, że rozumie po angielsku. Zatrzymał się, ale wzruszył ramionami i odpowiedział płynną angielszczyzną:

- A jeśli nie? Zastrzelisz mnie?

Jedyny raz w życiu całkowicie puściły mi nerwy. Nie dbając o to, czy przypadkiem go nie zastrzelę, pociągnęłam za spust. Gdyby karabin był automatyczny, opróżniłabym cały magazynek. I tak strzeliłam ze trzy, cztery razy. Chyba wszyscy od tego ogłuchli i tym razem dom dość mocno ucierpiał. Odpadło pół frontowej ściany. Wokół było pełno tynku, pyłu, drzazg, dymu i potłuczonego szkła.

Ale facet włożył marynarkę.

Wymaszerowaliśmy z domu. Od razu ruszyliśmy ścieżką przed drzwiami. Razem z Fi mierzyliśmy do niego z broni i szłyśmy tak blisko, jak tylko pozwalały zasady bezpieczeństwa. Fi nie miała większych szans, żeby go trafić, nawet z tej odległości i zakładając, że w ogóle wiedziała, gdzie jest spust, ale miałam nadzieję, że nikt tego nie zauważy. Oficer nie szedł już z podniesionymi rękami, tylko trzymał je za głową, ale nie miałam mu za złe tej drobnej zmiany scenariusza. Najważniejszą rolę miał jeszcze przed sobą.

Kiedy szłyśmy ścieżką, skierowano na nas sześć latarek, ale zrobiliśmy z oficera żywą tarczę. Wyszliśmy na ulicę. Spojrzałam w drugą stronę, czyli w prawo. Nikogo tam nie było. Wszystkie latarki świeciły z lewej strony. Zatem dwie grupy żołnierzy spotkały się przy terenówce i wszystko wskazywało na to, że zbiły się tam w większą gromadę. I dobrze. To oznaczało, że możemy nadal używać oficera w charakterze tarczy.

Czułam jednak, że musimy działać naprawdę szybko, zanim zdążą wymyślić jakąś strategię. Nie potrzebowaliby dużo czasu, by ulokować dwóch snajperów na pozycjach, z których mogliby nas obie zastrzelić. Musiałyśmy jak najszybciej stamtąd zniknąć. Trzeba było się pospieszyć.

- W lewo! - krzyknęłam do oficera.

Nie zmieniając tempa, odwrócił się i ruszyliśmy w stronę terenówki. Po dziesięciu metrach zawołałam:

- Stój!

Wtedy podjęłam największe ryzyko. Kazałam Fi ukryć się trochę bardziej za oficerem, by reszta widziała, że trzyma lufę przy jego głowie. Potem stanęłam obok. To było konieczne.

Musiałam ich wszystkich odsunąć od pojazdu. Stałam zupełnie odsłonięta w gorącym nocnym powietrzu i krzyknęłam do nich:

- Macie pięć sekund, żeby odsunąć się od samochodu!

Tym razem też nie wiedziałam, czy mówią po angielsku, ale założyłam, że potrafią liczyć. Zawołałam na całe gardło:

- Pięć, cztery, trzy...

Odliczając, zdecydowanie skierowałam lufę w stronę zgrai żołnierzy. Kiedy się rozpierschli, miałam ochotę się uśmiechnąć. Nie zrobiłam tego jednak. Musiałam ich przekonać, że jestem supertwarda i superbezwzględna. Niechący stworzyłam nowy problem. Żołnierze szybko się rozchodzili, a ja nie miałam żadnej kontroli nad tym, dokąd idą. Musiałyśmy się dostać do samochodu, zanim zdążą wykorzystać ciemność, by nas otoczyć.

- Szybko - powiedziałam do Fi.

Trąciłam oficera lufą. Po dwudziestu szybkich krokach byliśmy już obok pojazdu. Niektóre latarki śledziły każdy nasz ruch i słyszałam krzyki jakiegoś mężczyzny, ale wyglądało na to, że nadal nikt nic nie robi.

Gdy dotarliśmy do samochodu, pojawił się jednak duży problem. Fi nie umiała prowadzić, a ja bałam się tego, że oficer zauważy, jak fatalnie moja przyjaciółka radzi sobie z bronią. Nie mogłam oczekiwać, że będzie go pilnowała, kiedy ja zacznę prowadzić. Wystarczyło jej się przyjrzeć, by to zauważyć. Istniało tylko jedno rozwiązanie. Wrzasnęłam na oficera najgłośniej, jak umiałam, wiedząc, że pewnie nadal dzwoni mu w uszach tak jak mnie.

- Siadaj z przodu!

Otworzył drzwi, a ja szybko otworzyłam tylne drzwi za nim. Wsiedliśmy równocześnie i szybko przesunęłam się w lewo. Fi usiadła obok mnie.

- Jedź! - zawołałam.

Nastąpiła chwila oczekiwania, podczas której wpatrywałyśmy się w kontrolkę świecy żarowej, modląc się, żeby zadziałała. Kiedy zadziałała, oficer uruchomił silnik.

- Jedź, jedź! - krzyknęłam. - Skręć w prawo, dojeżdż do końca ulicy. Potem znowu skręć w prawo.

Kiedy duży samochód powoli ruszył naprzód i zaczął skręcać, miałam ochotę zapiąć ze szczęścia. Nie zamierzałam jednak pokazać temu facetowi, jak bardzo się cieszę.

- Szybciej! - wrzasnęłam do niego.

Oddałam kolejny strzał obok jego głowy. Kula pozbawiła nas przedniej szyby i popędziła w ciemność. Byłam strasznie nabuzowana. Nigdy wcześniej nie byłam tak bliska

utruty samokontroli. Normalnie czułabym się zawstydzona taką burzą emocji. Trochę się bałam, ale przede wszystkim czułam złość. Nie, coś silniejszego niż złość: wściekłość.

Gdyby ktoś mnie zapytał, powiedziałabym chyba, że byłam zła z powodu porażki akcji z cukrem i paliwem lotniczym, ale tak naprawdę moja złość sięgała głębiej. Tamtej nocy skupiła się jak jeszcze nigdy przedtem. Na tych ludziach. Ni mniej, ni więcej, tylko wyłącznie na nich, na ich sercach. Na tym, że zabrali nam nasze miasto, nasz region i kraj, na tym, że pozbawili mnie wszystkiego, na czym mi zależało. Zwłaszcza prawa do dorastania pod opieką rodziców. W przeciwieństwie do Fi nie miałam nawet szansy, by się z nimi zobaczyć. Nadal jej zazdrościłam, ale jednocześnie cieszyłam się jej szczęściem. Tyle tylko, że chciałam tego samego. Chciałam tego samego dla nas wszystkich.

Oczywiście nie myślałam o tym, kiedy jechaliśmy terenówką - szybciej, odkąd rozwaliłam przednią szybę - ale te sprawy ciągle tkwiły gdzieś z tyłu mojej głowy.

Kiedy przyspieszyliśmy, zobaczyłam, że dwóch żołnierzy biegnie za nami, ale robili to bez przekonania. Wyglądało na to, że szybkość nam sprzyjała. Myślę, że minęło najwyżej sześć minut między chwilą, w której weszliśmy do tego domu, a momentem, w którym dotarliśmy do skrzyżowania i skręciłyśmy w prawo. I najwyżej trzy minuty od chwili, w której wyszłyśmy z tamtego domu.

Jechaliśmy w kierunku lotniska, bo właśnie po tamtej stronie miasta miałyśmy się spotkać z chłopakami. Powiedziałyśmy, że spotkamy się z nimi na torze wyścigowym, do którego prowadziła pylista, rzadko używana droga. Była osłonięta od pożaru, który - jak mieliśmy nadzieję - szalał już na lotnisku, podsycany wiatrem wiejącym w przeciwną stronę, oraz dość bezpieczna, bo zakładaliśmy, że wróg skupi się na innych sprawach niż nocne przeczesywanie odległych zakątków Wirrawee i wyścigi konne.

Szacowałam, że łącznie musimy pokonać z oficerem cztery kilometry. To nie powinno stanowić żadnego problemu, bo facet już współpracował. Tylko że w pewnej chwili zaczął kombinować. Lotnisko minęliśmy zgodnie z planem, ale nigdzie nie było widać eksplodujących samolotów i budynków. Nie zauważyłam ani śladu ognia. Próbowałam zachować optymizm. Chłopcy mogli mieć opóźnienie - zamieszanie, które spowodowałyśmy, prawdopodobnie utrudniło im zadanie. Z niepokojem zerknęłam na Fi. Nie potrafiłam zgadnąć, o czym myśli.

Nie mogłam na nią spojrzeć jeszcze raz, bo nie śmiałam oderwać wzroku ani odsunąć lufy od faceta za kierownicą.

Zbliżyliśmy się do zjazdu prowadzącego na tor wyścigowy. Dalej droga prowadziła na teren wystawowy. Chciałabym tam pojechać i uratować jeńców, ale nie było na to czasu. Nie było czasu, żeby choćby o tym myśleć.

- Skreć w lewo! - krzyknęłam do oficera.

Zaczął obracać kierownicę, a potem szarpnął nią jeszcze mocniej i dodał gazu. Zaskoczył mnie. Samochód wyrwał do przodu, prosto na kępę drzew, i w tym samym czasie mocno nim zarzuciło. Oficer gwałtownie obrócił kierownicę w drugą stronę. Samochód się zakotywał. Byłam pewna, że zaczniemy koziołkować. Ani Fi, ani ja nie zapięłyśmy pasów bezpieczeństwa i rzuciło mną w jej stronę. W tej samej chwili samochód uderzył w pierwszą kępę drzew. I to mocno. Zaczęliśmy się przechylać. I stało się to, co było nieuniknione. Wypalił karabin, który cały czas ścisnęłam w rękach. Chyba odruchowo ścisnęłam go mocniej i mój palec pociągnął za spust. Przez parę sekund strzelał na wszystkie strony i mocno kopał, dopóki nie zdołałam rozluźnić palców. Rozległo się jeszcze więcej gwałtownych huków, pojawiło się więcej dymu i poczułam w sercu większy strach. Pomyślałam, że umrzemy. Oczywiście miałam na myśli siebie i Fi, facet na siedzeniu kierowcy niewiele mnie obchodził. Terenówka coraz bardziej się przechylała, aż w końcu osiągnęła punkt, z którego nie sposób wrócić. Zawisała tak na chwilę, jakby się zastanawiała: przewrócić się czy nie? Po raz drugi tej nocy groziło jej koziołkowanie. Ale tym razem z tego nie wyszła. Runęła. Ja i Fi wylądowałyśmy przyciśnięte do drzwi po lewej stronie. Obie wyciągałyśmy ręce, próbując znaleźć coś, czego można się złapać, ale żadnej z nas się nie udało. Kierowcą nie rzucało aż tak bardzo jak nami i zdałam sobie sprawę, że ma zapięty pas bezpieczeństwa. Drań, widocznie planował to od samego początku.

Z głośnym trzaskiem, hukiem i szczękiem samochód zatrzymał się ślizgiem na następnym drzewie. Potem usłyszałam syk pary wydobywającej się z chłodnicy oraz piski i skrzypienie umęczonego metalu, którym towarzyszyły huki i terkotanie z tyłu.

Szukałam po omacku karabinu, który wypadł mi z rąk w ostatniej sekundzie kraksy. Przez cały czas miałam na oku głowę faceta za kierownicą. Ale on się nie ruszał.

Potem zobaczyłam krew.

Była wszędzie. Spływała po oparciach foteli, kapłała na odłamki szkła, które zostały ze stłuczonej szyby, przesiąkała przez oparcie przedniego siedzenia. Strużki płynęły obok mnie i Fi, lądując na bocznej szybie. Duże, ciężkie krople, naprawdę gęste, spadały powoli z lewej strony przedniego siedzenia. Niektóre z nich rozpryskiwały się na mnie, a inne docierały aż na tył samochodu. Spojrzałam na kierowcę. Jego głowa powoli opadała na bok. Dopiero wtedy zauważyłam dziurę w oparciu jego fotela. Zrobiło mi się niedobrze, ale muszę

przyznać, że poczułam też okrutną radość z powodu naszego zwycięstwa. Próbował nas pokonać, ale przegrał. Dostałyśmy jeszcze kilka minut cennego życia. A on nie. Brutalna rzeczywistość.

- Fi, nic ci nie jest?

- Nie... Nie wiem. Po czym mam poznać?

Roześmiałam się. To była dziwna pora na śmiech, ale właśnie to zrobiłam.

- Skoro stać cię na żarty, to nic ci nie jest.

- Przez chwilę myślałam, że to twoja krew.

- Jeszcze w mieście trafiła mnie jedna kula, ale tutaj już nie.

- Czy on nie żyje?

- Nawet bardzo. Ale sprawdzimy.

Podczołgałam się do drzwi, które były teraz naszym dachem. Wyglądały na nieuszkodzone. Trudno było je otworzyć, bo wydawały się znacznie cięższe, kiedy musiało się je popchnąć od dołu. Zabawne - zdumiewające - było to, że kiedy je otworzyłam, w środku rozbłysło światelko. Prawdziwy światelkowy twardeł. Wcześniej miałyśmy tylko księżyc, który wcale nie był zły, ale na pewno nie świecił tak jasno jak to światelko.

Naparłam na drzwi ramieniem, ale nie było łatwo, bo nie mogłam znaleźć miejsca, żeby zaprzeć się nogami. Wdrapałam się trochę wyżej i w końcu zdołałam się zaprzeć w niewygodnej pozycji między dwoma przednimi fotelami.

- Jesteś cała upaprana we krwi - powiedziała Fi z niesmakiem.

Najśmieszniejsze, że jej oburzenie było prawdziwe. Ryknęłam dzikim śmiechem. Chyba miał dużo wspólnego z histerią. Chichotałam jak szalona. Tylko Fi potrafiła się przejmować bałaganem w takich chwilach jak ta. Nie nadawała się na rolnika. Kiedy przestałam się śmiać, byłam jeszcze bardziej ubrudzona krwią, bo w ataku śmiechu opadłam na siedzenie. Fi nieśmiało się do mnie przyłączyła, ale niezbyt entuzjastycznie. Jak ktoś, kto zauważa, że śmieją się właśnie z niego.

Ostatecznie udało mi się jednak otworzyć drzwi. Podciągnęłam się ostatkiem sił i wygramoliłam z samochodu. Potem pomogłam wyjść Fi. Spojrzałam do środka, na młodego oficera. Jego kariera się skończyła. Chyba kula przeszła przez siedzenie, a potem przez jego klatkę piersiową, która była rozdarta, jakby czyjeś olbrzymie ręce złapały ją z dwóch stron i rozciągnęły. Wszędzie była krew, kości i zmielone czerwone mięso. Głowa opadła mu już całkiem na bok, szeroko otwarte oczy wpatrywały się w pustkę, a twarz straciła kolor. Fi spojrzała tylko raz i szybko się odwróciła. Sama też za bardzo się temu nie przyglądałam. Widok był dość makabryczny.

Aż do tej chwili nie byłam pewna, czy zabił go wypadek, czy może kula.

Teraz zastanawiam się, co by się stało, gdyby przeżył kraksę. Ale wtedy w ogóle o tym nie myślałam.

- Chodź, Fi - powiedziałam. - Musimy znaleźć resztę.

Chciałam, żeby się ruszyła, bo zaczynała kiepsko wyglądać.

Słaniając się na nogach, ruszyliśmy drogą. Okropnie piekła mnie noga. Zaczynała mnie naprawdę niepokoić. Przypomniałam sobie historię opowiedzianą przez nowozelandzkich żołnierzy o facecie, który został śmiertelnie ranny, ale przez pół godziny nawet tego nie zauważył i dopiero potem osunął się na ziemię martwy. Fi dopiero teraz spostrzegła, że utykam. Wcześniej, kiedy powiedziałam, że oberwałam, nie zareagowała. Zdałam sobie sprawę, że w ogóle tego nie zarejestrowała, bo nagle zapytała:

- Zraniłaś się w nogę?

- Przecież ci mówiłam.

- Nie, nie mówiłaś.

- Właśnie, że mówiłam. Trafiła mnie kula, kiedy uciekałyśmy drogą.

- O Boże. Pokaż.

- Nie mamy czasu. Poza tym chyba jest w porządku.

- Nie, Ellie, zatrzymaj się. Pozwól mi to obejrzeć.

Z lekkim oporem - choć jednocześnie ciesząc się z takiego zainteresowania - zatrzymałam się. Fi przyklękła, żeby obejrzeć ranę. Po chwili wstała i spojrzała na mnie z niesmakiem.

- Ellie, masz tam kawałek żwiru albo jakiś kamyk, to wszystko.

Tak więc sprawcą mojej rany postrzałowej był fragment lecącego kamyka, który miał pewien związek z ostrzałem, ale nie tak bezpośredni, jak myślałam. Byłam zrozpaczona. Zaczęłyśmy biec. Po chwili odezwałam się do Fi:

- Obiecuj, że nie powiesz chłopakom o mojej ranie postrzałowej.

- Jeśli ty im nie wygadasz, co powiedziałam, kiedy ubrudziłaś się krwią.

- Umowa stoi.

I nagle noga prawie przestała mnie boleć. Wygląda na to, że jestem większą hipochondryczką, niż sądziłam.

21

Za sprawą jednego z tych niezwykłych zbiegów okoliczności, które rzadko się zdarzają podczas tej wojny, dotarliśmy na tor wyścigowy w tej samej chwili co chłopcy. My przybyliśmy z południowego wschodu, a oni z północnego zachodu.

Sytuacja była już dość napięta. Chyba w Wirrawee ktoś znalazł czas, żeby ruszyć głową, bo słychać było charakterystyczne odgłosy następnego pościgu. Wyło siedem syren, tak jak w czasie pokoju, kiedy gliniarze gonili jakiegoś przestępcę. Nie żeby często dochodziło wtedy do takich policyjnych pościgów. W naszym miasteczku wielką zbrodnią było wyrycie swojego imienia na ławce na przystanku autobusowym.

Poza tym widziałam światła reflektorów, które strasznie szybko się zbliżały. Moim zdaniem pościg znalazł wrak terenówki mniej więcej w tym samym czasie, w którym my znalazłyśmy chłopaków. Wyobrażam sobie, co pomyśleli żołnierze: wyglądało to tak, jakbym zastrzeliła faceta z zimną krwią, powodując wypadek. Niezbyt sprzyjająca scenka, jeśli mnie złapią. Mój umysł szybko sunął w stronę stanu pod tytułem „Nigdy nie wezmą mnie żywcem”, który tak często widuje się w filmach. Ten oklepany tekst zaczynał brzmieć jak całkiem sprytny pomysł.

Spotkaliśmy się przy trybunie głównej. Było tam zdecydowanie cicho i zdecydowanie odludnie, co sprawiło mi ulgę. W tamtej chwili mogliśmy być bezpieczni tylko w nielicznych miejscach w Wirrawee. Mimo to nasze spotkanie było trochę śmieszne. Wszyscy dyszeliśmy, wszyscy szaleliśmy ze strachu i wszyscy byliśmy skonani.

Homer spojrział na mnie z przerażeniem.

- Jesteś ranna? - zapytał surowym tonem. - Co się stało?

Przez chwilę myślałam, że Fi już zdążyła mu opowiedzieć o kawałku żwiru w mojej nodze. Potem zdałam sobie sprawę, że jestem cała umazana krwią.

- To nic - powiedziałam. - To nie moja krew. Wznieciliście pożar?

Oczywiście nie było czasu na rozmowy. Nadal znajdowaliśmy się w ogromnym niebezpieczeństwie. Łudziłam się, że syreny, które słyszałam, wyją z powodu pożaru na lotnisku, a nie dlatego, że nas ścigają. Ale Homer pokręcił głową i już wiedziałam, że lepiej nie pytać o szczegóły.

Byliśmy kompletnie wykończeni. Naprawdę kompletnie. Ledwie staliśmy. A poczucie porażki wcale nie dodawało nam sił. W każdym razie nie mnie. Nie mogliśmy jednak nic poradzić na zmęczenie i wkurzenie. Nie mogliśmy liczyć na żadną pomoc, nie licząc tej, którą byliśmy w stanie zaoferować sobie nawzajem.

I dla odmiany zrobiłam coś, z czego mogę być dumna. Sięgnęłam głębiej, po dodatkowy zapas energii. Wiedziałam, że jeśli ktoś nie rozrusza naszej piątki, to będzie koniec. Koniec nas.

- Okej, ludzie - zwróciłam się do przyjaciół. - Zapomnijcie o tym, że jesteście cholernie zmęczeni. Lee, zdołasz nas zaprowadzić do plecaków?

- Tak - odpowiedział. Ale mówił tak bezbarwnym głosem, jakby miał wszystkiego dość.

- Lee! - wrzasnęłam.

Podbiegłam do niego, odwróciłam go, oparłam ręce na jego plecach i popchnęłam dwadzieścia metrów dalej. To wszystko. Niewiele. Sprawiałam jednak, że wszyscy zaczęli się ruszać. A tylko ja sama wiem, jak okropnie i beznadziejnie byłam wtedy zmęczona.

Lee poprowadził nas po plecaki. Chyba musieliśmy stoczyć ze sobą walkę, by znaleźć siłę i zarzucić je na plecy. Ale pomogliśmy sobie nawzajem i jakoś się udało.

Próbowałam wymyślić, dokąd powinniśmy pójść, co powinniśmy zrobić. Oczywiście mieliśmy Piekło, ale musieliśmy być ostrożni, żeby nie zaprowadzić do niego wrogów. Gdybyśmy stracili to schronienie, wpadlibyśmy w większe tarapaty niż baton Mars w szkolnej stołówce. Na początku myślałam, że musimy wrócić do lasu. Tam czułam się bezpieczna. Nadal wierzyłam w las, uważając go za miejsce, w którym radzimy sobie lepiej niż oni. Mogłam żyć w lesie tak jak aligator na bagnach. Las działał na mnie pokrzepiająco.

Teraz jednak ucieczka w las stanowiła pewien problem. Przede wszystkim las otaczający Wirrawee był bardzo rzadki. I stał się jeszcze rzadszy po naszym ostatnim pożarze. Jasne, moglibyśmy się w nim ukryć na parę dni. Ale poszukiwania na szeroką skalę, trwające co najmniej tydzień i prawdopodobnie z udziałem psów, to była zupełnie inna historia. Gdybyśmy zostali w lesie obok Wirrawee, na pewno w końcu by nas znaleźli. A gdybyśmy wybrali drugie wyjście i ruszyli w prawdziwy las, w gęsty las, przypominałoby to powiedzenie im: „Słuchajcie, pobędziemy sobie niedaleko Mount Martin, dobrze? Spróbujcie na Szwie Krawca albo na Wombegonoo”. No, może nie byłoby to aż tak oczywiste, ale gdybyśmy ruszyli w tamtym kierunku, a oni by się o tym dowiedzieli, prędzej czy później by nas rozpracowali.

Nagle w umyśle mignął mi pewien obraz. Hol w domu w Wirrawee, w którym spotkałyśmy oficera w bokserkach. Przypomniała mi się tamta przepełniona popielniczka. I samotna marynarka wisząca na wieszaku oraz jedna broń i jedna oficerska czapka. Te obrazy wyraźnie mi coś uświadomiły: facet mieszkał sam. Nie miał nawet gosposi, która przychodzi i opróżnia popielniczki. W czasach darmowej siły roboczej, niewolniczej siły roboczej, było to zaskakujące, ale może po prostu nie lubił, kiedy ktoś po nim sprząta. Mój ojciec, który nigdy w życiu nie dotknął odkurzacza i prawdopodobnie nie miałby pojęcia, do którego końca podłączyć rurę, był taki sam. Nawet dźwięk odkurzacza go rozwścieczał. Zawsze mówił, żebył przysła poodkurzać kiedy indziej.

- Musisz to robić akurat teraz? Czy to nie może poczekać?

Wkładanie naczyń do zmywarki było szczytem jego wysiłków w zakresie prac domowych.

Próbowałam wniknąć w umysł wroga. Wyobrazić sobie, jak on myśli. Będzie zakładał, że uciekliśmy do lasu. To była pierwsza, najbardziej oczywista rzecz, jaka przychodziła do głowy. Powrót do Wirrawee byłby samobójstwem. Pewnie przypisywali nam większą inteligencję. Z pewnością wiedzieli, że jesteśmy ludźmi lasu. A miejscem w Wirrawee, w którym najmniej się nas spodziewano, był dom martwego oficera. Nie mieliśmy powodu, by do niego wracać, a ponieważ stał się centrum nocnej akcji, wydawał się zbyt niebezpiecznym punktem, by w ogóle brać go pod uwagę. Jedynymi ludźmi mogącymi się tam zjawić w najbliższym czasie byli jego przyjaciele, gdyby chcieli przyjść po jego rzeczy.

Nie powiedziałam pozostałym, co wymyśliłam. Mimo że Homer użył tego samego argumentu, kiedy byliśmy w punkcie widokowym - mówiąc, że powinniśmy pójść do Wirrawee, bo nikt się tego po nas nie spodziewa - tym razem postanowiłam, że najpierw trzeba szybko się rozruszać. W przeciwnym razie mógł wybuchnąć bunt. Byliśmy w jeszcze gorszej sytuacji niż w punkcie widokowym. Nie zdziwiłabym się, gdyby moi przyjaciele chcieli się zbuntować - myśl o dobrowolnym powrocie do siedliska żołnierzy, krwi i śmierci, w którym właśnie narobiliśmy zamieszania, mnie także przerażała. Równie dobrze można się wysmarować dżemem i wejść w gniazdo os. Czułam jednak wyraźnie, że to nasza największa szansa.

Znowu zaczęłam popędzać przyjaciół.

- Chodźcie, znam dobre miejsce, ruszcie się. No, dalej, Kev, jasne, jesteś zmęczony, ale po prostu się rusz. Możesz tego nie znosić, ale zrób, co mówię. Dalej, Fi, ciebie też popchnę na dobry początek.

Jestem pewna, że takie teksty strasznie ich wkurzały. Czułam się jak przedszkolanka: „No, dzieci, byliście już w toalecie? Tim, złap Jodie za rączkę. Charlotte, weź za rączkę Ricka. Simon, gdzie zgubiłeś sweterek?”.

Mimo wszystko udało mi się ich rozruszać. Co więcej, gdy już ruszyli, szło im całkiem nieźle. Lepiej, niż ośmielałam się przypuszczać w chwilach największej nadziei. Mieliśmy przed sobą kilka ważnych godzin. Nie było szans dostać się do Wirrawee od tej strony, bo zza drzew dobiegały nas odgłosy pościgu. Dźwięki i światła. Zanosilo się na coś większego niż finał Ligi Mistrzów. Musieliśmy uciec szybko i zatoczyć prawie pełne koło wokół Wirrawee. Pomyślałam, że gdybyśmy podeszli od, powiedzmy, drugiej strony Warrigle Road, mijając dom Mathersów, dom Robyn, byłibyśmy raczej bezpieczni. Oznaczało to jednak cholernie długi marsz przez zarośla, w ciemności, w stanie przerażenia, przygnębienia i wyczerpania.

Nasza jedyna przewaga polegała na tym, że według żołnierzy byliśmy uzbrojeni. Widzieli mnie i Fi z bronią oficera, a po znalezieniu jego ciała na pewno uznali, że z przyjemnością z niej skorzystamy. Całe szczęście, że nie wiedzieli, jacy jesteśmy naprawdę. Miałam nadzieję, że nie wiedzą, ile mamy amunicji. Nie zaglądałam do pistoletu, ale w karabinie został już tylko jeden nabój. W każdym razie ci żołnierze nie byliby zachwyceni perspektywą wchodzenia do lasu w środku nocy, by stanąć oko w oko z gangiem strzelających i na wpół szalonych nastolatków. Byłam całkowicie przekonana, że zaczekają do rana.

Poprowadziłam zatem gang strzelających i na wpół szalonych nastolatków, zataczając wielkie koło wokół Wirrawee. Po drodze powoli opowiadałam chłopakom o tym, co się stało. Nie spieszyłam się, bo im dłużej mówiłam, tym dłużej mogli się skupić na czymś innym niż własne wyczerpanie i poczucie porażki. Ja też mogłam się skupić na czymś innym. Omawiałam więc każdy szczegół, wtrącając każdy żarcik, jaki udało mi się wymyślić, bez względu na to, jak bardzo był kiepski, smutny albo wręcz tragiczny. Opowiedziałam chłopakom o tym, jak musiałyśmy uciec do tamtego domu, o tym, że moim zdaniem mieszkał w nim tylko jeden człowiek, i o tym, że ten człowiek już nie żyje. Aż w końcu dotarłam do miejsca, w którym mogłam powiedzieć:

- Naszą największą szansą jest powrót do tego domu. Wiem, że to się wam nie spodoba, ale musimy działać wbrew oczekiwaniom, robić to, czego się nie spodziewają, bo w przeciwnym razie będzie po nas.

- Zgadzam się - powiedział Lee.

- Wiedziałem, że zaproponujesz coś w tym stylu - stwierdził Homer.

- W porządku - zgodziła się Fi.

- O Boże, wszystko, tylko nie ponowne ukrywanie się w Wirrawee - jęknął Kevin.

Ale tylko on narzekał. Zresztą nawet mu współczułam. Nuda, godzina za godziną totalnej bezczynności, czekania, aż zegar odmierzy kolejny dzień, wrażenia, że dzień składa się ze stu dwudziestu godzin, grania w głupie, bezsensowne gry karciane, kłócenia się o bzdury, konieczności stania na warcie, podczas której gapisz się na pustą ulicę, ale jednocześnie wiesz, że jeśli odwrócisz wzrok choćby na sekundę, możesz zgotować śmierć swoim przyjaciółom, poczucie, że masz mnóstwo energii, ale nie możesz znaleźć sposobu, by ją spożytkować... Nienawidziłam, Kevin nienawidził, wszyscy nienawidziliśmy tych okropnych dni ukrywania się po kątach jak wystraszone szczury.

Ale nadal chcieliśmy przeżyć. Koniec końców był to nasz największy czynnik motywujący. Dlatego wlekliśmy się dalej, wyczekując już tylko prawa do trochę dłuższego życia. Gdy tak szliśmy, Lee zrównał się ze mną i choć niczego nie powiedział, w jego towarzystwie poczułam się trochę lepiej.

Szliśmy, szliśmy i szliśmy - miałam wrażenie, że nie robimy nic innego. Przed świtem musiałam wszystkich popędzić jeszcze bardziej, bo zdałam sobie sprawę, że zaczyna nam brakować czasu. Dlatego musieliśmy prawie biec, żeby dotrzeć do Warrigle Road.

Ostatni odcinek, już w Wirrawee, okazał się zaskakująco łatwy. Po wszystkich wcześniejszych problemach tak sprawne pokonanie tej części drogi zakrawało na żart. Biegliśmy ulicami, jak zwykle stosując taktykę żabich skoków i ukrywając się w ciemności. Usłyszeliśmy warkot paru samochodów i widzieliśmy w oddali parę świateł, ale tak naprawdę nic nam nie zagrażało.

Może wcale nie było w tym nic dziwnego. Żołnierze mieli za sobą emocjonującą noc, ale potem chcieli się wypaść. Ci, którzy jeszcze nie spali i nadal nas szukali, skupiali wysiłki na drugiej stronie miasta i wokół toru wyścigowego. Cała nasza strategia opierała się na tym przeświadczeniu. Chyba najbardziej zaskoczył mnie fakt, że coś, co wymyśliłam, sprawdziło się w praktyce. Życie byłoby wielkim szokiem, gdyby coś takiego zdarzało się zbyt często.

No więc dotarliśmy do celu bez większych przeszkód. Przeszkody sprowadzały się do strachu i wyczerpania, które towarzyszyły nam w drodze. Do oczekiwania i niepewności. Do obawy, że każdy krok może oznaczać niebezpieczeństwo. W powietrzu wisiało napięcie, gorąca noc pociła się równie mocno jak my. Ale cały ten dramat rozgrywał się w mojej głowie.

W domu było spokojnie i cicho jak na cmentarzu. Przeszliśmy na paluszkach przez wszystkie pokoje. Ja i Homer trzymaliśmy broń: on pistolet, ja karabin. Nie znaleźliśmy nic

oprócz zapachu mężczyzny, który tam mieszkał, oprócz zapachu i drobnych oznak jego pobytu. Wyglądało na to, że facet w zasadzie tam obozował: na podłodze w sypialni wały się dwa wojskowe plecaki i wszędzie leżały porozrzucane skarpetki. Na stole w kuchni stały dwie otwarte puszk. Pranie nadal czekało w pralce. Trochę smutno było patrzeć na te nieliczne ślady, które pozostały po jego życiu.

Nadal uważałam - a pozostali się ze mną zgodzili - że jedyne bezpośrednie niebezpieczeństwo grozi nam ze strony osób, które przyjdą posprzątać w domu i zabrać rzeczy tego oficera. A to mogło nastąpić tylko w ciągu dnia. Byliśmy bezpieczni od, powiedzmy, dziesiątej wieczorem do ósmej rano.

Później miało się pojawić zagrożenie ze strony nowych lokatorów domu. Ale wiedziałam, że najprawdopodobniej upłynie jakiś czas, zanim się wprowadzą. Wokół nadal było mnóstwo pustych budynków, a nie sądzę, żeby ludziom spieszyło się zamieszkać w domu martwego człowieka. Jasne, dom był ładny, ale nie aż tak.

Kiedy przekonaliśmy się z Homerem, że budynek jest pusty, popędziliśmy do kuchni. Wszyscy byliśmy bardzo głodni i spragnieni jakiegoś urozmaicenia w diecie. A kuchnia okazała się dość dobrze zaopatrzona. Oficerowi trafiały się najlepsze kąski. Na kółku teatralnym pan Kassar opowiedział nam kiedyś o amerykańskim konwoju w Wietnamie, który jechał na północ pod eskortą żołnierzy. Część z nich zginęła w dużej zasadzce. A gdy w końcu doprowadzili konwój do celu, okazało się, że wioził kawior i szampana dla oficerów. I za to ginęli ludzie.

No cóż, ten facet nie miał kawioru ani szampana, ale znaleźliśmy ładny zapas chipsów, herbatników i świeżego chleba oraz mnóstwo produktów, których nie znałam i nigdy wcześniej nie widziałam. To była dziwna pora na jedzenie, bo właśnie wschodziło słońce, ale nikomu z nas to nie przeszkadzało. Tylko raz odezwał się Kevin, który między jednym a drugim gryzem powiedział:

- Ellie, przyjdzie tutaj to był dobry pomysł.

Skrzywiłam się i jadłam dalej.

Przyjrzelśmy się podwórku za domem. Było dobrze osłonięte. Liczne wysokie drzewa uniemożliwiały sąsiadom zaglądanie przez płot. A na jednym z tych drzew - na ładnej starej jakarandzie, był duży drewniany domek. Wybraliśmy go na swoją dzienną kryjówkę. Jeśli naprawdę mieli tu przyjść tylko ludzie, którzy posprzątają po koledze, nie będą zadawali sobie trudu, by zajrzeć do domku na drzewie.

Byłam już trochę bardziej zadowolona z siebie. Wiedziałam - a przynajmniej myślałam - że beze mnie nie zaszlibyśmy tak daleko. Pod warunkiem że podczas pobytu w

tym domu nie wydarzy się żadna katastrofa. Ale teraz naprawdę wyświadczyłam przyjaciółom przysługę. Zgłosiłam się na ochotnika do pierwszej warty. Fi spojrzała na mnie z niedowierzaniem, ale nikt nie czekał, żeby się upewnić, czy mówię poważnie. Wzięli poduszki z bieliźniarki w korytarzu i ruszyli w stronę domku na drzewie, niosąc plecaki i śpiwory. Ja usadowiłam się w holu naprzeciwko drzwi, skąd miałam widok na ulicę.

W zasadzie zrobiłam wtedy coś niewybaczalnego. Myślę - nie: wiem - że na chwilę przysnęłam. Może na pół godziny albo nawet czterdzieści minut. Po przebudzeniu czułam do siebie niesmak. Kiedy coś takiego zdarzyło się raz Chrisowi, byłam dla niego bezlitosna. Przez resztę poranka zmuszałam się do wstawania i chodzenia w kółko za każdym razem, kiedy poczułam zmęczenie.

Chciałam podarować przyjaciółom jak najdłuższy sen. Tamtego dnia naprawdę byłam w nastroju do męczennictwa. To pewnie wpływ Robyn.

Ulicą przejeżdżały samochody. Ostatnio w Wirrawee znów panował spory ruch. Wołałabym, żeby towarzyszyły mu inne okoliczności, ale w pewnym dziwnym sensie było to lepsze niż martwica i mrok pierwszych etapów wojny.

Miałam wrażenie, że w zasadzie nikt w mieście nas nie szuka. W ruchu ulicznym nie zauważyłam pośpiechu. Bo i po co mieliby się spieszyć? Pewnie przeszukiwali las i to tam trwało polowanie zakrojone na szeroką skalę. W mieście musieli jednak zajmować się innymi sprawami, codziennymi sprawami. Byłam całkowicie pewna, że nie spodziewają się nas w Wirrawee. A jeśli nawet się spodziewali, mieliśmy pistolet i karabin.

W porze lunchu miałam już dość. Nawet chodzenie nie pomagało. Wiedziałam, że obudzenie Homera zajmie z pół godziny, ale musiałam to zrobić. Powłokłam się do domku na drzewie, ze zmęczenia idąc prawie zygzakiem, i wdrapałam się na górę, stawiając jeden powolny krok za drugim. Miałam rację - obudzenie Homera rzeczywiście zajęło z pół godziny, a nawet potem nie chciał się ruszyć. Ale nie zamierzałam pozwolić mu usnąć. Nie mogłam. Podobno zmęczenie zabija - i mnie z pewnością powoli zabijało. Gdy tylko wygoniłam Homera z domku na drzewie, spałam do zachodu słońca.

Obudziłam się około dziesiątej. Docierało do nas trochę światła z domu obok - niewiele, ale wystarczająco dużo, bym mogła zobaczyć, że oprócz mnie w domku na drzewie pozostał tylko Lee. Spał obok, oddychając cicho i miarowo. Ale nawet we śnie miał zatroskaną twarz. Było na niej zbyt wiele zbyt ciemnych zmarszczek. Gdy tak na niego patrzyłam, poruszył się niespokojnie. Przysunął rękę do ciała i trochę się odwrócił.

Nie zdołałam się powstrzymać i pochyliłam się, a potem pocałowałam go w usta. Chyba od razu się obudził, bo gdy tylko się wyprostowałam, zobaczyłam jego otwarte oczy. Nie wiedziałam, że moje pocałunki mają taką moc. Nie uśmiechnął się, ale ja też się nie uśmiechałam. Przypomniałam sobie, jak pocałowałam go poprzednim razem. Przez chwilę tylko na siebie patrzyliśmy, nie mrugając oczami. Gdy pocałowałam go jeszcze raz, objął mnie ramieniem i przysunął bliżej. Potem oparłam głowę na jego piersi. Zerknęłam w dół i przekonałam się, że moje pocałunki mają jeszcze większą moc, niż przypuszczałam.

Uśmiechnęłam się i powiedziałam:

- Myślałam, że chłopcy budzą się tak tylko rano.

- Co? - zapytał.

Nie dosłyszał.

- Nic - odpowiedziałam.

Nie wiedziałam nawet, czy mam rację, a nie chciałam wyjść na ignorantkę. Opierałam się na tym, co zapamiętałam ze szkolnych żarcików.

Pocałowaliśmy się jeszcze raz, namiętniej. Było mi tak ciepło. Miałam wrażenie, że wszystko spowalnia, i poczułam miękkość, bliskość i intymność. Nic nie może się równać z dotykiem czyichś dłoni na twojej skórze. Lee wsunął ręce pod moją koszulkę i zrobiło mi się bardzo przyjemnie. Głaskałam go po karku. Byłam coraz bardziej podniecona. Równocześnie zdałam sobie jednak sprawę - zupełnie niespodziewanie i trochę ku swojemu zaskoczeniu - że nie chcę pójść na całość. Wiedziałam, że obydwójce szybko zmierzamy ku strefie, w której trudno będzie się zatrzymać. Dlatego gdy wsunął ręce w moje dzinsy, wyjęłam je z powrotem. I z ociąganiem, niechętnie, zaczęłam się wycofywać, wyplątując się z jego objęć.

- Co? - zapytał, marszcząc brwi.

Sięgnął po mnie jeszcze raz.

- Przepraszam - powiedziałam. - Nie wiem dlaczego. Po prostu tego nie chcę. Na razie nie.

- Teraz mi to mówisz? - Naburmuszył się.

Zapięłam guziki, czując, jak ciepło już ulatuje. Ubranie nie wystarczało, by je zatrzymać.

- Przepraszam - powtórzyłam. - Tak ładnie wyglądałeś, kiedy spałeś. Nie mogłam się powstrzymać.

- Wielkie dzięki - powiedział.

Postanowiłam, że nie wpadnę w złość, więc zignorowałam ten komentarz. W pewnym sensie nie miałam do Lee pretensji. Gdybym tylko umiała zrozumieć, co się dzieje w mojej własnej głowie... Ale było to w najlepszym razie trudne. A to nie był najlepszy raz.

Włożyłam buty i zesłam po drabinie. Nadal się zastanawiałam, dlaczego tak się wycofałam. To nie miało nic wspólnego z Lee. Ciągle bardzo go lubiłam. Minęło mi już to, co czułam wieki temu - tamte negatywne uczucia. Więc chodziło o coś innego. Pomyślałam, że może ma to coś wspólnego z tamtym chłopakiem z Nowej Zelandii, którego imienia - co uświadomiłam sobie ze zgrozą - już nawet nie pamiętałam. Wiedziałam, że niedługo je sobie przypomnę, bez wątpienia, ale na razie nie byłam w stanie. I pomyślałam, że prawdopodobnie ma to również związek z martwym mężczyzną, który mieszkał w tym domu - choć ten dom wcale nie należał do niego. A w zasadzie z tym, że schroniliśmy się w domu martwego człowieka.

I oczywiście z tym, że to ja go zabiłam. Też nie wiedziałam, jak miał na imię. Dziwne: dwaj faceci, którzy odegrali w moim życiu ważną rolę, byli dla mnie bezimienni.

Zamiast od razu pójść do domu, przez kilka minut stałam na podwórku i rozmyślałam o tym wszystkim. Przez chwilę widziałam cień Fi w kuchennym oknie, ale ucieszyłam się, że nie ma innych śladów naszej obecności w domu. Całkiem dobrze nam szło ukrywanie się, życie w trudnych warunkach. To zabawne, że można być dumnym z takiej umiejętności, ale była naprawdę ważna. Podziwiałam lisa i jego spryt, dzięki któremu wkładał się do kurnika i wymykał z niego, nie pozostawiając za sobą nic oprócz krwi. Krwi, piór i kurzego gdakania. Coraz bardziej upodabnialiśmy się do lisów.

Z jakiegoś powodu znowu pomyślałam o Lee. Dlaczego nie chciałam poczuć go w sobie, leżeć z nim nago i robić rzeczy, które tak bardzo podniecały nas oboje?

Powoli zaczynałam rozumieć i tej świadomości towarzyszyło coś w rodzaju piekącego bólu. Tak, powodem był chłopak z Nowej Zelandii i facet, który mieszkał w tym domu. Oraz to, że krzyknęłam na widok żołnierza na ulicy. I to, że zostawiłam otwarte drzwi do

supermarketu. I kłódka na zbiorniku paliwa. I moje kichnięcie. Miałam poczucie, że nie zasługuję na ciepłe uczucia Lee, obejmującego mnie i kochającego się ze mną. Nie zasługuję na to.

Nadal czułam się zbrukana tym, co zaszło na tamtej imprezie w Wellington, oraz zniesmaczona i przerażona krwią, która zalała wnętrze terenówki. Krwią przelaną przez mój palec na spuście karabinu. Krwią człowieka, który w jednej chwili żył, a w następnej był martwy, bo zginął z moich rąk. Czułam się zakłopotana i zawstydzona, że krzyknęłam na widok żołnierza. Wiedziałam, że ten krzyk mógł kosztować życie dwunastu Nowozelandczyków.

Nie po raz pierwszy żałowałam, że nie jestem w gabinecie Andrei i nie rozmawiam z kimś, kto zdawał się mnie rozumieć.

Znowu zobaczyłam cień Fi w kuchennym oknie i znów poczułam przyływ czułości i podziwu dla mojej przyjaciółki. Te uczucia towarzyszyły mi mniej więcej od piątego roku życia. Pomyślałam, że przynajmniej mogę porozmawiać z Fi.

Może pewnego dnia będę w stanie porozmawiać o tym wszystkim z Lee. Miałam nadzieję, że zrozumie. Czułam, że do tej rozmowy nasz związek czekają trudne chwile. Trudno z kimś być, kiedy trwa wojna. Obydwoje będziemy musieli nad tym popracować.

Westchnęłam i weszłam do środka. Kiedy ja rozpalałam Lee, Fi rozgrzewała kuchenkę elektryczną. Wiedziałyśmy, że nie możemy ugotować niczego, co mogłoby zaalarmować sąsiadów zapachem, więc Fi ugotowała kilka jajek. Ciepły posiłek to chyba jeden z największych luksusów w życiu. Zjadłam trzy jajka, jedno po drugim. Potem wzięłam z szafek trochę jedzenia - suszone wodorosty, chipsy i kawałek sera - i przejęłam wartę od Kevina.

Przez trzy godziny gapiłam się na tę głupią ulicę. Nic się nie działo. Wiele razy, stojąc na warcie, niemal marzyłam o tym, by wydarzyło się coś, co przerwie nudę, lecz tym razem było inaczej. Wiedziałam, że nie zdołamy stawić czoła kolejnemu kryzysowi. W ostatniej godzinie mojej zmiany przyszedł do mnie Homer, co było naprawdę miłe. Ostatnio bardzo rzadko ze sobą rozmawialiśmy. I po raz pierwszy usłyszałam opowieść o tym, co wydarzyło się na lotnisku.

O dziwo, Homer zaczął mi o tym opowiadać ze śmiechem.

- To był taki bajzel - zaczął - że aż mi wstyd. A raczej byłoby mi wstyd, gdyby wam poszło lepiej. Ale z tego, co usłyszałem od Fi o waszej wyprawie do składu paliw, poszło wam równie kiepsko. Ta akcja była niezbyt profesjonalna w porównaniu z, powiedzmy, tamtą w Zatoce Szewca.

Nie byłem jeszcze gotowa śmiać się z tego, co nas spotkało w składzie paliw. Dlatego zignorowałam słowa Homera.

- No, opowiadaj, opowiadaj.

- Chyba założyli tam jakiś supernowoczesny system ochrony. Serio, nie mam pojęcia, jak mogliby nas nakryć bez użycia jakiegoś specjalnego gadżetu. Byliśmy cholernie ostrożni. Zrobiliśmy z pięćdziesiąt kilometrów wokół lotniska z plecakami na plecach, no wiesz, żeby zachować odpowiednią odległość i nie aktywować żadnych alarmów. Potem zostawiliśmy plecaki i wróciliśmy, równie ostrożni jak wcześniej. Weszliśmy do lasu i bez problemu ruszyliśmy w górę. Mieliśmy mnóstwo czasu. Przez chwilę myśleliśmy, że mamy opóźnienie, więc dość mocno przyspieszyliśmy i ostatecznie dotarliśmy przed czasem. Wybraliśmy najlepsze miejsce, zgodnie stwierdziliśmy, że wiatr wieje w odpowiednią stronę, i usiedliśmy obok małej beczki z benzyną Lee, powtarzając sobie, że niedługo zostaniemy bohaterami. Potem usłyszeliśmy wrzawę w mieście: warkot pojazdów, huk wystrzałów i tak dalej. Pomyśleliśmy: cholerne dziewczyny, znowu narobiły kłopotu, nie można ich spuścić z oka na pięć minut. Ale poza tym uznaliśmy, że chyba lepiej będzie rozpaść ogień, żeby odwrócić uwagę tych, którzy was ścigają. Podjęcie tej decyzji zajęło nam z półtorej sekundy. Lee podskoczył i zaczął wylewać benzynę, a ja wyjąłem zapalki, które sprytnie zabrałem ze sobą. I kiedy już miałem potrzebę zapalkę, Kevin powiedział: „Patrzcie, żołnierze”. Spojrzałem w dół, na lotnisko, i zobaczyłem trzy dzipy wyładowane żołnierzami, które po chwili wyjechały główną bramą. Myślałem, że skręcą w prawo i popędzą do miasta, by dołączyć do strzelaniny. I oczywiście taką miałem nadzieję, bo zawsze wolę, żeby ścigali was niż mnie. Ale oni skręcili w lewo i ruszyli prosto na nas. Kevin wrzasnął: „Idą po nas!”, a ja pomyślałem, że ma rację. Potarłem zapalkę, rzuciłem ją na ziemię i uciekliśmy. Za naszymi plecami rozległ się cichy syk i pomyślałem: super, rozpaściło się, powinno pójść z wiatrem, ale się nie obejrzałem. Nie było czasu. Słyszałem, jak dzipy pędzą pod górę, i gdy biegliśmy na drugą stronę grzbietu, rozległo się parę strzałów. Było gorąco, uwierz mi.

- Jak długo tam siedzieliście, zanim dzipy wyjechały z lotniska? - zapytałem.

- Mniej więcej pięć minut. Właśnie to jest dziwne. Jakby wiedzieli, że tam jesteśmy. Pomyśleliśmy, że nas wrobiłyście.

Musiałam być bardzo zmęczona, bo spojrzałam na Homera z takim przerażeniem, że szybko dodał:

- Tylko żartowałem.

- A, no tak, okej. Więc jak myślisz, skąd o was wiedzieli?

- Jak już powiedziałem, chyba mieli jakiś gadżet. Na przykład radar albo coś w tym rodzaju. Nie wiem. Ale to by wyjaśniało, co się stało z Nowozelandczykami. Iain uważał, że nie napotkają tego typu problemu. W zasadzie myślał, że to będzie łatwizna.

- Tak, też miałam takie wrażenie. - W głębi serca ogromnie mi ulżyło. Może jednak wcale nie sabotowałam działań Nowozelandczyków. - Co zrobiliście potem?

- Następne kółko. Mówię ci, całkiem dobrze poznałem tamten kawałek lasu. Wyszliśmy zza grzbietu wzgórza mniej więcej trzy czwarte kilometra dalej. Przede wszystkim chcieliśmy nacieszyć oczy widokiem ognia pędzącego ku lotnisku i samolotów, które stają w płomieniach, zanim zdążą oderwać się od ziemi.

- Ale...?

- No właśnie: ale. Ten cholerny ogień zupełnie zgasł. Zobaczyliśmy kilka tłących się czerwonych miejsc, ale nie było płomieni. A najgorsze jest to, że żołnierze chyba wcale nie musieli go gasić. Chyba w ogóle się nie rozpalili. Nie załamabyś się? Zwykle człowiek się pilnuje, żeby nie zaproszyć ognia, a i tak ani się obejrzy, jak zdejmuje jakiś pożar.

Była to tylko lekka przesada, bo z tego, co wiedziałam, Homer jako mały chłopiec spowodował co najmniej trzy pożary. Ugryzłam się jednak w język, a mój przyjaciel ciągnął dalej.

- No więc robiliśmy, co w naszej mocy, żeby wzniecić ogień, mieliśmy nawet benzynę, a mimo to się nie udało. Jak w tej piosence: „Czy to nie ironia?”

Uśmiechnęłam się. Bez względu na to, w jakim byłam nastroju, Homer zawsze umiał mnie rozśmieszyć. Pomyślałam, że być może właśnie dlatego przyszedł ze mną pogadać - bo wyczuł, że jestem w dołku i potrzebuję rozweselenia. Zrobił to nie po raz pierwszy. Nie chciałam oskarżać Homera o bycie ciepłym, wrażliwym facetem, ale czasami przejawiał takie cechy.

Podkreślam: tylko czasami.

- I co było potem? - zapytałam.

- Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że żołnierze rozbiegli się po lesie. I to szybko. To byli zawodowcy. Chyba zaangażowali elitarną jednostkę do ochrony lotniska. Nagle jeden z nich pojawił się jakieś pięćdziesiąt metrów od nas. Zauważyliśmy go, zanim on zauważył nas, więc mieliśmy szczęście. Odwróciliśmy się i pobiegliśmy. Wpadliśmy między drzewa, zanim zaczął strzelać, ale parę kul śmignęło tuż obok mnie. - Zadrżał. - Chyba mógłbym wyciągnąć rękę i złapać którąś z nich. Jak to się nazywa w futbolu? Czysty chwyt czy jakoś tak?

Homer znowu się wygłupiał. Nie znosił futbolu. W zasadzie nie znosił prawie wszystkich dyscyplin sportowych i często próbował udawać że w ogóle się na nich nie zna.

- Raczej samobójstwo - powiedziałam. - No więc co się stało? Uciekliście, tak?

- Nie, następna kula przeszła mi prosto przez serce i zginąłem. Podaj mi resztę tych chipsów, dobrze? Dzięki. Jesteś bardzo hojna, więc jednak przyznam, że skłamałem. Wcale nie zginąłem. Nie, biegliśmy dalej. Trafiliśmy na tor wyścigowy okrężną drogą i dotarliśmy tam w tej samej chwili co wy. A potem zaliczyliśmy następną długą wycieczkę, żeby się dostać tutaj. Całe szczęście, że taka z ciebie tyranka, Ellie, bo byliśmy wykończeni. Gdybyś nas nie poprowadziła, pewnie spróbowalibyśmy pójść krótszą drogą i wpadlibyśmy prosto w ręce tych żołnierzy. Byli sprytni. Domyślałam się, że weszli w lesie dłużej niż niektórzy idioci, których widzieliśmy w akcji w przeszłości. Ale wczoraj w nocy w ogóle o tym nie myślałam. Przeklinałam cię za to, że ciagniesz nas aż do miasta.

Homer powiedział to wszystko, beztrąsco wrzucając chipsy do ust, ale ja pękałam z dumy. Homer normalnie nie mówił ludziom komplementów. Gdyby ukazał nam się Bóg, Homer powitałby go słowami: „Słuchaj, koleś, kiepsko się spisałeś, jeśli chodzi o mój pępek. I po co nam dałeś palce u nóg? Jaki z nich pożytek? Ciągłe tylko cholernie przeszkadzają”.

Dlatego choć w żaden sposób nie dałam mu poznać, że się cieszę, naprawdę sprawił mi przyjemność.

- No - powiedziałam jak gdyby nigdy nic. - W poprzednim życiu byłam chyba psem pasterskim.

23

Byliśmy tam cztery dni. Tylko raz poczuliśmy prawdziwy strach, kiedy dwóch żołnierzy przyszło po rzeczy zabitego oficera. Zjawili się o ósmej wieczorem naszego ostatniego dnia w Wirrawee, w niedzielę. Fi stała na warcie, a reszta z nas była w domku na drzewie i z niecierpliwością czekała na chwilę, w której będzie można bezpiecznie wejść do domu. Wracaliśmy tam najwcześniej o dziesiątej.

Fi zobaczyła, że zbliżają się żołnierze, i zrobiła to, co wcześniej uzgodniliśmy. Wybiegła z domu tylnymi drzwiami. Przebiegając przez podwórko, pociągnęła za sznurek, który przymocowaliśmy do domku na drzewie. To było nasze ostrzeżenie. Potem schowała się w pnączach passiflory, które tworzyły ogromną masę liści i kwiatów pod płotem za domem.

Żołnierze spędzili w domu zaledwie pół godziny. Pewnie nie podobała im się ta robota. Gdy odgłosy w domu ucichły, a światła zgasły, odczekaliśmy pełne trzy godziny, prawie do północy, zanim w końcu podeszliśmy do tylnych drzwi. I wtedy odkryliśmy, że są zamknięte.

Nie paliliśmy się do tłuczenia szyby w oknie. Moglibyśmy to zrobić bez większego hałasu, ale każdy, kto przyszedłby tu następnego dnia, zauważyłby, że coś jest nie tak. Spojrzeliśmy po sobie, zastanawiając się, co robić.

- I tak powinniśmy się stąd wynieść - powiedział Homer. - Teraz jest już pewnie dość bezpiecznie. W zasadzie nie ma sensu wchodzić do środka. Zjedliśmy prawie wszystkie zapasy, a ci żołnierze prawdopodobnie zabrali resztę. Głosuję za tym, żeby wracać do Piekła, połączyć się z pułkownikiem Finleyem i zabukować bilety do Nowej Zelandii, w pierwszej klasie.

Zgodziliśmy się szybko i z ulgą. Wszyscy byliśmy gotowi do drogi. Czuliśmy, że na razie w Wirrawee nic nie działyśmy. Może pułkownik Finley coś zaproponuje, kiedy zdamy mu raport, ale najwyraźniej lotnisko było poza naszym zasięgiem, a los nowozelandzkich żołnierzy nadal stanowił zagadkę. Nie mogłam się wypowiadać w imieniu pozostałych, ale jeśli chodzi o mnie, tak bardzo pragnęłam wrócić do bezpiecznej Nowej Zelandii, że o mało nie zemdlałam, kiedy Homer o tym wspomniał. Kolejny raz od naszego powrotu zmieniałam zadanie.

I tak wyruszyliśmy w znajomą podróż. Ponownie staliśmy się nocnymi cieniami, mrocznymi psami dingo przemykającymi z powrotem do swojego legowiska. Nawet nie mrugnęliśmy na dźwięk dziwnego chichotu, który wydają żerujące razem lisy, ani gdy usłyszeliśmy przeciągły skrzek płowych żab, stukot kory odpadającej z pnia eukaliptusa albo ostry trzask gwałtownie złamanej gałęzi. W milczeniu przeciskaliśmy się przez suche zarośla, a gdy się kończyły, szybko i cicho przemykaliśmy przez nagie pola. Bydło szło za nami, zaciekawione, a owce beczały i uciekały, zaskoczone naszym najściem.

Czasami jakiś ptak, równie wystraszony jak owca, odlatywał z gwałtownym trzepotem skrzydeł. Na żadną z tych rzeczy nie zwracaliśmy uwagi i szybko szliśmy dalej.

Gdy wdrapaliśmy się na Szew Krawca, słońce było już wysoko, a ziemia i powietrze szybko robiły się gorące. Jak zwykle w ostatnich czasach, nadłożyliśmy sporo drogi, by ominąć mój dom szerokim łukiem. Nie wiedziałam, kto w nim teraz mieszka, i nie chciałam wiedzieć. Bezpieczniej czułam się w Piekło niż w pobliżu własnego domu.

Zrobiliśmy to samo, co jakiś czas wcześniej z Nowozelandczykami: zaczekaliśmy na stoku Szwu Krawca, aż się ściemni. Było to jedno z tych opóźnień, z powodu których czasami miałam ochotę krzyknąć z nudy, a czasami okazywały się całkiem przyjemne i upływały mi na rozmowach, rozmyślaniu albo marzeniu na jawie.

Ten dzień upłynął w tempie dnia spędzonego na traktorze, kiedy nawet wieczorem wiesz, że czekają cię jeszcze trzy pola i na każdym z nich będzie dokładnie tak samo jak na pierwszym.

Ten dzień wydawał się chyba jeszcze dłuższy, bo dla odmiany mieliśmy cel, którego można było wyczekiwać. Wiedzieliśmy, że jeśli tamtej nocy uda nam się skontaktować z pułkownikiem Finleyem ze szczytu Wombegonoo, być może za trzy, cztery dni będziemy już w Nowej Zelandii. Upłynął prawie tydzień - dokładnie mówiąc, pięć dni - odkąd mieliśmy się z nim połączyć, więc zakładałam, że się ucieszy, kiedy nas usłyszy. I choć nie mieliśmy dla niego dobrych wieści, myślałam, że na dźwięk jego głosu poczuję ulgę. Jakbym już była z powrotem w Nowej Zelandii. Tęskniłam do chwili, w której nawiążemy z nim łączność, i łączywie odliczałam godziny, minuty, które dzieliły nas od włączenia małego przekaźnika.

O dziewiątej gorliwie wspięliśmy się na najwyższy punkt Wombegonoo, gdzie panowały najlepsze warunki do nadawania.

Epilog

Chyba już nigdy nie zaufam pułkownikowi Finleyowi. W pewnym sensie nawet go lubiłam. Był taki angielski, jak aktor wyjęty z tych starych czarno-białych brytyjskich filmów. Miał wąsy, palił fajkę i pracował w kancelarii z tonami książek ustawionych na dębowych regałach oraz z ładnymi zdjęciami koni, pól i oceanów.

Może to wszystko było zbyt ładne, by było prawdziwe, trochę za bardzo przypominało angielskiego dżentelmena z filmu.

Sama nie wiem. Kłócimy się o to z Fi. Ona twierdzi, że oceniam go zbyt surowo. Możliwe, że ma rację. Nadal jednak uważam, że wystawił nas do wiatru. Jasne, wiem, że czasy są ciężkie, że trwa wojna, że Nowozelandczycy nie mogą sobie pozwolić na trwonienie zapasów, ale i tak myślę, że powinien był wysłać helikopter. Moim zdaniem zrobiliśmy wystarczająco dużo, by trochę nam pomógł. Okej, może tym razem nie spisaliśmy się najlepiej, zawaliliśmy prawie każdą sprawę. Ale w przeszłości osiągnęliśmy całkiem sporo, zwłaszcza w Zatoce Szewca.

Oczywiście mogą jeszcze po nas przylecieć. Nie powiedział, że olewają nas na zawsze. Nie jest aż tak bezwzględny. To pewnie tylko szok. Albo rozczarowanie. Tak bardzo chciałam stąd uciec. Tak bardzo się cieszyłam, że znowu będziemy bezpieczni, znowu będziemy normalnie żyć, jeść, spać i rozmawiać z innymi ludźmi.

Gorące jedzenie, gorące kąpiele i czysta pościel. Tylko tego chciałam, tylko na to liczyłam. To niewiele, prawda? Niewiele w porównaniu z tym, co mieliśmy kiedyś i co wydawało nam się oczywiste.

Dlatego nie potrafię się zdecydować co do pułkownika. Może jest dobrym człowiekiem, który próbuje jak najlepiej wykorzystać kiepską sytuację? Rozdziela zasoby, nie kierując się strachem i nikogo nie faworyzując? Za wszelką cenę trwa przy swojej zasadzie „opłacalności”? A może jest cynicznym, bezwzględnym łajdakiem bez serca, który najpierw nas wykorzystał, a potem porzucił?

Może czas przyniesie mi odpowiedź na te pytania, a może nie.

Wygląda na to, że nasz los jest teraz w naszych rękach. Oczywiście już to znamy. Jest to w pewien dziwny sposób dość pocieszające. Czegoś się nauczyliśmy. Wiemy, że mamy kilka atutów. Trochę wyobraźni, czasami trochę odwagi, trochę pomysłowości. Pamiętam, jak

naszego starego psa, Millie, potrafił traktor. Millie podniosła się z wysiłkiem i próbowała się pozbierać. To chyba tak jak my. Niektóre z naszych doświadczeń przypominają potrącenie przez cały konwój czołgów.

Ale nadal tu jesteśmy, nadal żyjemy, jeszcze się nie poddaliśmy.

Tak jak powiedział Homer tamtego ranka, kiedy mu mówiłam, żeby we wtorek zadzwonić do pułkownika Finleya jeszcze raz:

- Wiesz co, powiedz mu, żeby się wypchał. Poradzimy sobie sami.

Od pierwszego dnia tej inwazji wiedziałam, że jeśli chcemy żyć na własnych warunkach, będziemy musieli zapłacić pewną cenę. Tak jak ten człowiek z wiersza. I rzeczywiście: codziennie za to płacimy. Drogo. Facet z wiersza też się o tym przekonał. Ale nie chcę iść na łatwiznę ani żyć bez celu. Nigdy tego nie chciałam i nigdy tego nie lubiłam. Tak wychowali mnie rodzice. To dlatego nie podoba mi się to, co zrobiłam z tamtym chłopakiem w Nowej Zelandii. Dlatego podoba mi się moja przyjaźń z Fi, Lee, Homerem i Kevinem. Dlatego kocham i szanuję pamięć o Corrie i Robyn. Dlatego jest mi smutno, że Chris nigdy się tego nie nauczył.

Kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że przed wojną byłam taka sama. Tyle że wtedy o tym nie wiedziałam. Szkoda, że musiała wybuchnąć wojna, żebym to odkryła. Wierzcie mi, gdybym mogła cofnąć czas, kilka rzeczy zrobiłabym inaczej. Nawet w czasie pokoju słono się płaci za bycie tym, kim chce się być, za życie, które jest takie, jakie powinno być.

No cóż, wiem jedno: bez względu na wysokość tej ceny warto ją zapłacić. Nie wolno iść na łatwiznę i nie wolno żyć bez celu. Myślę, że trzeba zapłacić cenę i być z tego dumnym.

Wiersze, które pojawiły się w tekście

s. 162: Rudyard Kipling, *The Refined Man*, w: *A Choice of Kiplings Verse*, red. T.S. Eliot, London 1963.

s. 4 i 162: A.E. Housman, *Here Dead We Lie*, w: *Up the Line to Death*, red. B. Gardner, London 1976.

s. 72: „Dym wije się i wznosi” - australijska piosenka.

s. 34: Banjo Paterson, *The Man from Snowy River*.